

Nauka - Dydaktyka - Praktyka

27437 *szofe2*

Jadwiga Kołodziejska

Biblioteki publiczne w strukturze społecznej



WYDAWNICTWO
SBP





Przed domem dzieciństwa w Święcianach

Prof. dr hab. JADWIGA KOŁODZIEJSKA – bibliotekoznawca, wieloletnia pracownica Biblioteki Narodowej – wykładowca w Instytucie Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Członkini Zespołu Recenzentów w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, prezeska Polskiego Towarzystwa Czytelniczego, członek International Reading Association. Lubi zwiedzać kraj, muzykę poważną i towarzystwo przyjaciół.

Biblioteki publiczne w strukturze społecznej

Polish Librarians Association
SCIENCE-DIDACTICS-PRACTICE

Jadwiga Kołodziejska

Public libraries in social life

WYDAWNICTWO

SBP



Warsaw 2010

Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich
NAUKA-DYDAKTYKA-PRAKTYKA

Jadwiga Kołodziejska

**Biblioteki publiczne
w strukturze społecznej**

WYDAWNICTWO
SBP



Warszawa 2010

Komitet Redakcyjny serii wydawniczej
«NAUKA – DYDAKTYKA – PRAKTYKA»

Marcin DRZEWIECKI (przewodniczący), Stanisław CZAJKA, Artur JAZDON,
Barbara SOSIŃSKA-KALATA, Danuta KONIECZNA, Dariusz Kuźmina,
Krzysztof MIGOŃ, Mieczysław MURASZKIEWICZ, Janusz NOWICKI (sekretarz),
Joanna PAPUZIŃSKA-BEKSIĄK, Wanda PINDŁOWA, Maria PRÓCHNICKA,
Jadwiga SADOWSKA, Barbara STEFANIAK, Elżbieta STEFAŃCZYK,
Hanna TADEUSIEWICZ

**Publikacja dofinansowana przez Instytut Informacji Naukowej
i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego.**

Recenzent
Prof. dr hab. Elżbieta GONDEK

Projekt okładki
Tomasz KASPERCZYK

Redakcja techniczna i korekta
Anna LIS

© Copyright by Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich

ISBN 978-83-61464-34-1

CIP - Biblioteka Narodowa

Kołodziejska, Jadwiga

Biblioteki publiczne w strukturze społecznej /

Jadwiga Kołodziejska ; Stowarzyszenie Bibliotekarzy

Polskich. - Warszawa : Wydawnictwo Stowarzyszenia

Bibliotekarzy Polskich, 2010. - (Nauka, Dydaktyka,

Praktyka; 114)



Wydawnictwo Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich
00-335 Warszawa, ul. Konopczyńskiego 5/7, tel. (22) 827-52-96

Warszawa 2010. Wyd. I. Ark. wyd. 7,9. Ark. druk. 9,75.

Łamanie: Anna Lis

Druk i oprawa: MKJ druk. 15-703 Białystok,

ul. Zwycięstwa 3a, tel./faks (085) 652-52-30

e-mail: mkjdruk@wp.pl

27437/10/12

--- 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12

Spis treści

Wprowadzenie	7
Przywileje piśmienności	18
Wiedza - informacja - konsumpcja	34
Spółeczny zasięg książki	44
Państwo - społeczeństwo - biblioteki	58
Cenzura	70
Niespokojne czasy. Lata 1918-1939	88
Biblioteki publiczne w II Rzeczypospolitej	114
Biblioteka częścią kapitału intelektualnego	129
Podsumowanie	151
Bibliografia	153

Contents

Introduction	7
The priviledge of literacy	18
Knowledge - information - consumption	34
Social impact of a book	44
The state - the public - the libraries	58
Censorship	70
Troublous time: 1918-1939	88
Public libraries in the Republic of Poland II	114
Library as a part of intellectual capital	129
Conclusions	151
Literature	153

Wprowadzenie

Od starożytności przez średniowiecze i po czasy współczesne piśmiennosc dzieliła ludzi na umiejących czytać i pisać oraz na tych, którzy z różnych względów pozostali analfabetami. Podział ten funkcjonuje do dziś, wyznaczając drogi zarówno karier indywidualnych i grupowych, jak i wykluczenia kulturalnego. Dzieje się tak we wszystkich głównych cywilizacjach: chińskiej, japońskiej, indyjskiej, islamskiej i zachodniej.

Wynalazku druku, jakim go znamy i stosujemy, dokonał Gutenberg w XV w. n.e., choć już w VIII wieku n.e. stosowano w Chinach powielanie tekstów, oparte wszakże na innej technice. Papier zaczęto wytwarzać w II wieku, a do Japonii technologia jego wyrobu dotarła w VII wieku, w Azji Środkowej poznano ją w VIII wieku, w Afryce Północnej w X wieku, w Hiszpanii w XII, na północy Europy w XIII wieku¹.

Wynalazek druku zamknął trwającą tysiące lat epokę ujmowania myśli ludzkiej w różnych postaciach graficznych z użyciem różnych materiałów, na których mogła ona być zapisana (kamień, tabliczki gliniane, jedwab, papirus, skóry zwierzęce – pergamin, wreszcie papier). Dopiero wynalazek druku w cywilizacji zachodniej wpłynął na zmianę w strukturze zawodowej tych, którzy trudnili się powielaniem tekstów. Rację bytu utracili ich przepisywacze, czyli kopiści. Żeby szerzej udostępnić dzieło, wiersz, wystąpienie polityczne, zarządzenie władz, wyrok sądowy, testament itp. trzeba go było wiernie przepisać. Różnie z tym bywało, bowiem wielu kopistów nie zawsze rozumiało przepisywany tekst. Wynalazek czcionki ruchomej spowodował, że zastąpili ich drukarze, zecerzy, z czasem linotypiści, czyli nowe zawody, dzięki którym książka i czasopismo

¹ S. Huntington: *Zderzenie cywilizacji*. Warszawa 2008, s. 62.

zyskały możliwości szerszego upowszechnienia. Nie nastąpiło to szybko. Musiało najpierw rozwinąć się szkolnictwo oraz struktury społeczne, wchłaniające ludzi piśmiennych, musiała potanieć produkcja papieru, musiały powstać drukarnie itp. Nowe technologie usprawniały powielanie tekstów, ale sposoby pisania nie zmieniały się. Ręczne pisanie tekstów trwało nadal.

Najdłużej utrzymało się pisanie gęsim piórem. Dopiero na początku XIX wieku (1806 r.) wynaleziono stalówkę. Ale musiało upłynąć kilkadziesiąt lat (1860 r.) by potaniała na tyle, że użycie stało się opłacalne. Przypadkowe znalezisko grafitu (początkowo sądzono, że to węgiel) umożliwiło podjęcie produkcji ołówków, które zastąpiły rylce używane do pisania na woskowych tabliczkach powszechnie używanych w szkołach.

Na przełomie XIX i XX wieku w urzędach istniała rzesza urzędników kopiujących różne dokumenty. Ich pozycja społeczna była niska a zarobki bardzo niewielkie. Ale wnet w nich uderzył wynalazek maszyny do pisania. Już w 1873 r. zaczęto ją produkować w zakładach Remington Rand w stanie Nowy Jork. W latach I wojny światowej maszynopisanie stało się normą w wojsku, a następnie w urzędach. Bardzo szybko szeregowy urzędnik musiał tę umiejętność opanować. Tak więc znikł zawód kopisty, a jego miejsce zajęły maszynistki, dziś używające laptopa. Była to ogromna zmiana na rynku pracy. Kobiety-maszynistki pomnożyły tradycyjne kobiece zawody: pielęgniarki, nauczycielki, misjonarki, zaznaczyły swoją aktywność w handlu, korporacjach, bankowości, służbie zdrowia i innych instytucjach².

Pisanie ręczne utrzymało się najdłużej w bibliotekach i to tych największych. Jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia w Bibliotece Narodowej katalogowano ręcznie, błędy wyskrobywano żyletkami do golenia. Dopiero zastosowanie maszyny do pisania przerwało tę nudną i czasochłonną praktykę.

Trzecią zmianę po Gutenbergowskiej i Remingtonowskiej wyznaczyły komputery. W latach sześćdziesiątych XX wieku w Stanach Zjednoczonych ich zastosowanie w różnych dziedzinach życia społecznego stało się tak powszechne, że przyczyniło się do powoła-

² M. Micińska: *Inteligencja na rozdrożach 1864-1918*. Warszawa 2008, s. 49.

nia 600 kolegów kształcących w zakresie ich obsługi. Stworzyło to szansę młodzieży pochodzącej z różnych mniejszościowych środowisk etnicznych: murzyńskich, azjatyckich, ale też i słowiańskich, w tym polskich. To była niepowtarzalna szansa dla młodych ludzi, których nie było stać na studia w wyższych szkołach publicznych i prywatnych ze względu na wysokie czesne. Absolwenci tych kolegów awansowali do klasy średniej, co oznaczało, że mogli zamieszkać w lepszej dzielnicy, kupić droższy samochód, udzielać się w życiu lokalnej społeczności, a w perspektywie posłać dzieci do dobrej szkoły.

To były czasy, gdy w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej komputeryzowały się banki, korporacje, szpitale, handel, poczta, produkcja i cała sfera usług, łącznie z bibliotekami. Nie omięło to również produkcji książki, gazet i czasopism. Kto nie był w stanie się przekwalifikować, wypadał z rynku pracy. Skład komputerowy zastąpił tradycyjny wykonywany przez zecerów, linotypistów. Zmienił się również system sprzedaży materiałów drukowanych. Internet umożliwił kupowanie książek, czasopism i innych materiałów bez osobistych wizyt w księgarniach i punktach sprzedaży. Podobnie jak wypożyczanie książek z bibliotek, choć nie jest to jeszcze powszechne.

Na przełomie XX i XXI wieku dzięki upowszechnieniu się Internetu miliony ludzi uzyskały wpływ na rozwój procesów społecznych i to w tak istotnych sprawach jak globalizacja, czy kampanie wyborcze. W 2002 r. w Korei Południowej do pałacu prezydenckiego młodzi ludzie za pośrednictwem Internetu i telefonu komórkowego wprowadzili swojego kandydata. W Stanach Zjednoczonych do zwycięstwa Baracka Obamy (2008) w ogromnej mierze przyczynili się wyborcy skrzykujący się za pośrednictwem telefonii komórkowej. Do przegranej PIS-u w 2007 r. w wyborach parlamentarnych też przyczynili się młodzi ludzie łączący się w grupy poprzez SMS-y. W grupach tych ujawniali się samorzutni przywódcy, którzy pewnie nie potrafiliby przemawiać na wiecach, ale w anonimowym tłumie internautów radzili sobie świetnie. Dzięki nowym narzędziom komunikacji antyglobaliści zablokowali w 1999 r. w Seattle szczyt Światowej Organizacji Handlu (WTO). Przykładów dowodzących

zwiększania się udziału jednostki w różnych dziedzinach życia społecznego jest znacznie więcej. Ale jest też i druga, negatywna strona tego obrazu, a mianowicie funkcjonujące systemy elektronicznej inwigilacji obywateli (Wielka Brytania, Stany Zjednoczone) na ulicach miast, w miejscach pracy – i o zgrozo – w szkołach.

Powszechny dostęp do Internetu sprawia, że ci, którzy za jego pośrednictwem wypowiadają się, nie zawsze reprezentują, odpowiedni poziom. Dyskusja, jaka toczyła się ostatnio na łamach prasy, związana z wulgaryzmami w Internecie, dowiodła, że anonimowość umożliwia demonstrowanie nie tylko skrajnych i nieodpowiedzialnych wypowiedzi, ale wręcz „ochlapywanie różnych osób insynuacjami, jeżeli nie błotem”. Agresorzy są bezkarni, ponieważ atakowani nie mogą dać odporu, chyba że podejmą dyskurs na identycznym poziomie, a nie każdy ma na to ochotę. Ma więc rację znawca tych zagadnień, twierdząc, że skutków rewolucji technologicznych, społecznych i politycznych nie sposób przewidzieć ani zaplanować³. Wypadałoby jeszcze dodać, że nie sposób kontrolować ich przebiegu, że mimo ich globalnego charakteru zmiany przebiegają z różnym natężeniem nie tylko w poszczególnych regionach świata, ale nawet w poszczególnych krajach. Co z tego, że w najbiedniejszych krajach Afryki jest powszechny telefon komórkowy i umożliwia porozumiewanie z najdalej położoną wioską. Nie przybywa od tego żywności, wody i pracy dającej minimalne utrzymanie rodzinie.

Można na to patrzeć jeszcze inaczej. W Polsce telefonów komórkowych jest więcej niż obywateli. Na ulicy, w tramwaju, w miejscach publicznych trudno dziś spotkać kogoś, kto nie dzierżyłby w ręku komórki. Niby tworzymy nową sieć komunikacyjną i informujemy się, a jednocześnie nasze zaufanie do innych jest najniższe w Europie, udział w życiu społeczności lokalnych i ogólnokrajowych minimalny. Okazuje się, że łatwiej porozumieć się ze znajomymi na drugiej półkuli niż przynieść staremu sąsiadowi chleb czy mleko.

O zmianach w strukturze społecznej wiemy dziś tylko tyle, że w najbogatszych krajach świata (głównie w Stanach Zjednoczonych) wyodrębniła się grupa ludzi twórczych (naukowcy, nauczyciele, ar-

³ E. Bendyk: *Niezapowiedziane rewolucje*. „Niezbędnik inteligenta”, 2004, nr 27.

chitekci, projektanci, muzycy i specjaliści od rozrywki masowej) i że jest ich już około 38 mln, czyli 30% ogółu obywateli. Są oni beneficjentami rewolucji informacyjnej: pracują w domu, świetnie zarabiają, mają domy z ogródkami i basenami, posyłają dzieci do renomowanych szkół. To są rzeczywiście obywatele społeczeństwa wiedzy i to przed nimi rysuje się jasna i dostatnia perspektywa życiowa. To, że są to ludzie najzdolniejsi i twórczy jest oczywiste. Ale w związku z tym rodzi się pytanie, co z tą resztą, tymi 70%? Czy przypadkiem nie jest tak, że jak dawniej piśmienność, tak dziś rewolucja informacyjna podzieliła ludzi na tych od pracy fizycznej i tych od umysłowej, i że proces ten się pogłębia?

Wniosek z tego płynie taki, że postępu technicznego nie można traktować w oderwaniu od struktur społecznych, które w każdym kraju i w regionie świata mają swoją specyfikę i wydaje się, że dla rozwoju bibliotek jest to sprawa podstawowa.

Wypadałoby rozważyć, jakie główne elementy tej polskiej specyfiki weźmiemy pod uwagę i dla jakiego okresu historycznego. Dla kontekstu społecznego, w którym działały i nadal funkcjonują biblioteki publiczne, wydają się najistotniejsze:

1. Struktura ludnościowa Polski z uwzględnieniem mniejszości narodowych i etnicznych.

2. Podział na mieszkańców miast i wsi – na dominujące grupy zawodowe robotników, chłopów, rzemieślników oraz inteligencję.

3. Struktura wykształcenia: organizacja szkolnictwa, efekty nauczania w stosunku do wtórnego analfabetyzmu.

4. Ruchliwość przestrzenna poszczególnych grup zawodowych, zmian pokoleniowych i rodzinnych, awansu albo degradacji.

Jako podstawowe przyjmujemy w tej pracy dwa okresy historyczne, a mianowicie lata II Rzeczypospolitej (1918-1939) oraz czasy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (1945-1989) łącznie z Rzeczpospolitą Polską (1989-2009). Scalamy te dwa ostatnie okresy celowo, choć diametralnie różnią się one pod względem ustrojowym, politycznym, ekonomicznym, oświatowym i strukturalnym, to biblioteki publiczne zachowały swoją organizacyjną ciągłość rozwojową. Jeżeli zaś chodzi o zjawiska społeczne, to zmieniło się prawie wszystko i to dwukrotnie. Po 1945 r. Polska przestała niemal być

dem. Mniejszości narodowe stanowią niecałe 1,5% ogółu ludności i przestały być źródłem sporów politycznych, ideologicznych i ekonomicznych. Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Czesi, Niemcy przestali wzbogacać polską kulturę. Przedwojenną multikulturowość można odnaleźć jeszcze w języku, funkcjonujących powiedzeniach, stereotypach, muzyce, tańcu, bardzo rzadko w codziennym obyczaju. Mniejszości narodowe przed 1939 r. rzutowały na tworzenie się sieci publicznych bibliotek samorządowych. Współcześnie problemy te prawie nie istnieją, utraciły swoją ważność.

Struktura zawodowa ludności Polski w okresie międzywojennym była w porównaniu z krajami Zachodu anachroniczna i tkwiąca głęboko w drugiej połowie XIX wieku, a nawet jeszcze dawniej. Byliśmy społeczeństwem chłopskim; prawie 70% ogółu ludności mieszkało na wsi. W grupie tej 10% było robotnikami rolnymi. Robotnicy przemysłowi stanowili 17% ogółu ludności. Grupa ta była wielce zróżnicowana, tak pod względem kwalifikacji, jak i zarobków, udziału w życiu politycznym, świadomości przynależności do grupy itp. Najwyżej w hierarchii lokowali się robotnicy fabryczni, głównie w uprzemysłowionych ośrodkach miejskich lub tworzących się od podstaw (Centralny Okręg Przemysłowy 1936-1939). Po nich wypada wymienić robotników-specjalistów (np. drukarzy), sezonowych robotników kwalifikowanych. Na dalszych miejscach sytuowali się robotnicy niewykwalifikowani (głównie ze wsi), chałupnicy, drobni przekupnie i wyrobnicy, rzemieślnicy, domokrażcy, służba domowa. Do klasy robotniczej zaliczano też najniższe stopnie urzędników oraz bezrobotnych⁴.

Warszawa była miastem robotniczym. W 1938 r. wśród zawodowo czynnych robotnicy i rzemieślnicy stanowili 42,4% ogółu ludności, pracownicy służb publicznych 17,5%, a służba domowa 10,3%. Taka struktura zawodowa ludności stolicy stanowiła dziedzictwo historii, kiedy to po powstaniu styczniowym Warszawa została zdegradowana do prowincjonalno-gubernialnego miasta imperium carskiego (1864), pozbawiona możliwości swobodnego rozwoju politycznego, kulturalnego i oświatowego. W takich warunkach nie mogła się rozwijać warstwa pracowników umysłowych⁵.

⁴ M. Drozdowski: *Klasa robotnicza Warszawy 1918-1939*. Warszawa 1968, s. 81.

⁵ Tamże, s. 116.

Istotne zmiany w strukturze społecznej nastąpiły po 1945 r. Opinie na ten temat są podzielone. Dla jednych były to zmiany rewolucyjne, uwarunkowane historycznie, dla innych stanowiły efekt przechwycenia władzy politycznej przez nowe elity wspierane z zewnątrz, w tym przypadku przez Związek Radziecki. Dla jednych elity te, zdobywając władzę dążyły do przeprowadzenia zasadniczych reform społecznych, dla innych najważniejsze było zerwanie ciągłości okresu międzywojennego – głównie w dziedzinie struktur politycznych i ekonomicznych – za aprobatą części społeczeństwa⁶. Inaczej rzecz ujmując, rewolucja, która się dokonała w pierwszych powojennych latach, jakkolwiek inspirowana z zewnątrz, nie byłaby możliwa bez udziału znacznej części społeczeństwa, głównie chłopstwa. Przekształceniu uległy podstawowe struktury społeczne: władza, układy klasowe, stratyfikacja społeczna, systemy normatywne i kultura, choć oczywiście najszybciej zmieniały się struktury polityczne państwa. Przekształcenia w niewielkim stopniu dotknęły sferę życia rodzinnego, głównie w warstwie obyczajowej. Tradycje religijne zachowały swoją ciągłość. Odtworzyły się tradycje regionalne i lokalne. Dopiero rozwój kultury masowej osłabił ich znaczenie.

Nowa struktura władzy państwowej oraz zasady, według których miała funkcjonować gospodarka, były dla większości Polaków nierozpoznawalne. Do pewnej części chłopstwa przemawiał dekret o reformie rolnej. Między innymi, było tak dlatego, że w okresie międzywojennym o wprowadzenie jej w życie toczyły boje partie i stronnictwa chłopskie. Mało kto zdawał sobie sprawę z tego, czym jest gospodarka planowa oraz centralne sterowanie niemal wszystkimi dziedzinami życia społecznego od oświaty, poprzez handel, ochronę zdrowia, świadczenia społeczne, aż do organizacji bibliotekarstwa.

Dla milionów Polaków stało się jasne, że ustrój polityczny i ekonomiczny II Rzeczypospolitej nie ma szans na kontynuację, że już nie wróci, a ten nowy socjalistyczny trzeba poznać i znaleźć w nim swoje miejsce. To, co działo się w strukturze społecznej było widoczne dla większości obywateli. Przestała istnieć jednoprocentowa grupa właścicieli ziemskich, robotnicy rolni zmienili dzięki reformie

⁶ P. Sztompka: *Socjologia*. Kraków 2008, s. 541.

rolnej swój status, stali się właścicielami kilkuhektarowych działek, powiększyła się grupa pracowników umysłowych oraz fizycznych (robotników) w przemyśle ciężkim i wydobywczym. Zachęcone przez władze kobiety podjęły na masową skalę pracę zawodową: w szkolnictwie, handlu, służbie zdrowia i w kulturze (biblioteki, domy kultury, kolportaż prasy, księgarnie). Ta masowa feminizacja, zwłaszcza w szkolnictwie i służbie zdrowia, ale też w bibliotekach, miała rozmaite skutki. Wśród nich jako najważniejsze wypada wymienić w porównaniu z mężczyznami: dysproporcje w zarobkach, awansach, czasie pracy i innych. Do negatywów wypada zaliczyć niewielki udział kobiet w życiu publicznym, w instytucjach obieralnych, w Sejmie, Senacie, samorządach. Dla bibliotek publicznych dążenia kobiet do uzyskania równego statusu z mężczyznami jest ważne, ponieważ w porównaniu z nimi są one lepiej wykształcone, więcej czytają, są widoczne w środowisku lokalnym, wnosząc do niego wiele ciekawych inicjatyw dotyczących pracy z dziećmi, ludźmi starszymi, rodzinami dotkniętymi losem, rodzinami ubogimi i wielodzietnymi.

Mimo różnych perturbacji, do zmian modernizacyjnych począwszy od lat osiemdziesiątych pały już inne niż w 1945 r. grupy społeczne. W 1980/1981 r. to nie chłopstwo, ale wywodząca się ze wsi klasa rolnicza formułowała rozbudzone aspiracje, kwestionowała nierówności społeczne, wytykała niesprawiedliwości i doznane krzywdy. Chodziło o godne życie, o zasadę równości szans w dostępie do dóbr materialnych, poszerzenie obszaru wolności osobistej, swobód i uprawnień obywatelskich. Dziesięć milionów członków „Solidarności” i sprawni organizacyjnie przywódcy, którzy stanęli na czele NSZZ, przygotowali grunt pod przyszłe zmiany rewolucyjne, które dokonały się w 1989 r. Stan wojenny w 1981 r. tylko na krótko dążenia te osłabił i przesunął w czasie.

Rok 1989 był drugą po 1945 r. zmianą ustrojową, która przyniosła zasadnicze przyspieszenie we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Jako najważniejsze wypada wymienić: wprowadzenie demokratycznych struktur państwa, dostosowanie gospodarki do wolnego rynku, zniesienie cenzury, wolność słowa, publikacji i twórczości artystycznej oraz swobodę poruszania się po świecie. Duże znacze-

nie miało powstanie szkolnictwa niepublicznego (prywatnego, społecznego, wyznaniowego), ułatwiony dostęp do szkół wszystkich stopni, a zwłaszcza akademickich itp. – wszystko to i wiele innych elementów wyzwoliło po raz drugi w ostatnim półwieczu energię społeczną, ukazało perspektywy na przyszłość, zwłaszcza młodym pokoleniom.

Przekształcenia w strukturze zawodowej ludności po 1989 r., jak nigdy dotąd, przybliżyły Polskę do rozwiniętych gospodarczo krajów Zachodu. Rzeczpospolita Polska się zurbanizowała. Rocznik statystyczny podaje, że w 2007 r. mieszkańcy miast stanowili 61,2% ogółu ludności kraju i to największych ośrodków miejskich liczących 200 tys. i więcej mieszkańców. Spośród 13 771,1 ogółu osób zatrudnionych we wszystkich dziedzinach gospodarki – w rolnictwie, leśnictwie i łowiectwie pracowało 2 184 tys., czyli mniej niż w przemyśle (2687,5). Rozwinął się sektor usług i to wszelkich: budownictwo, hotelarstwo, gastronomia, poradnictwo finansowe, służba zdrowia i pomoc społeczna, handel, transport, gospodarka magazynowa, informatyka, administracja publiczna, ubezpieczenia społeczne i zdrowotne.

Rozwinął się też sektor prywatny, który zatrudnia ponad 10 mln osób. Mieszczą się w nim właściciele drobnych i średnich firm, przedsiębiorstw (handlowych, budowlanych, remontowych, transportowych itp.), ale też pracownicy najemni. Skurczył się sektor publiczny (3619,8 tys. osób). Pojawiły się nowe zawody: informatyka, programisty, menedżera, specjaliści od marketingu, pośrednika mieszkaniowego (developer), organizatora sieci internetowych, specjaliści od informacji biznesowej, doradcy bankowego i innych. Niepostrzeżenie znikają zawody takie jak repasacja pończoch, napełnianie zapalniczek i wkładów do długopisów, coraz trudniej znaleźć szewca, którym straszono źle uczące się dzieci, podobnie do rzadkości należy zegarmistrz. Coraz mniej ludzi jest zatrudnionych w produkcji, coraz więcej w sieciach informacyjnych, bankowości, pośrednictwach i doractwach. Maleje zapotrzebowanie na pracę fizyczną, niewykwalifikowaną, wzrasta znaczenie zawodów wymagających wysokich kwalifikacji specjalistycznych i rzadkich umiejętności.

Przekształcenia w strukturze gospodarczej, przestrzenna ruchliwość ludności, wolny rynek pracy, wykształcenie, które stało się wartością, ale też rodzinną inwestycją, zmieniły styl życia jednostki i grup. W związku z tym wypadałoby rozważyć, jak w nowej rzeczywistości odnalazły się biblioteki publiczne. Czy bibliotekarze dostrzegają te zmiany i wyciągają z nich trafne wnioski, czy też przyjmują postawę na przeczekanie. Lekceważenie tego co dzieje w strukturze społecznej może drogo kosztować. Nienadążanie za rzeczywistymi potrzebami społecznymi, nieumiejętność ich rozpoznawania, wiara, że wszystkie problemy organizacyjne dadzą się rozwiązać za pomocą nowych technologii informacyjnych mogą sprzyjać postawom bezradności. Otwiera się pole dla różnych projektów dotyczących bibliotek, podejmowanych przez osoby i instytucje słabo lub całkowicie nieprzygotowane merytorycznie w tej dziedzinie.

Głównym zadaniem tej pracy jest więc zachęcenie bibliotekarzy do refleksji na temat ich bliższego i dalszego otoczenia, by stanowiły one podstawę do samodzielnych poszukiwań i ocen. Chodzi o zapobieżenie rutynie i stereotypom, których narosło sporo. Wśród nich najgorsze jest przeświadczenie, że biblioteka jest instytucją trwałą, że nic jej nie może zagrozić, tak jak w tej piosence „Z książek płynie odwaga, książka w życiu pomaga”, którą śpiewano przed laty.

Jeszcze parę lat temu cieszyliśmy się ze wzrostu liczby studentów i ludzi z dyplomami szkół wyższych. Obserwacje tego, co się dzieje w krajach od nas zamożniejszych, dowodzą, że rynek pracy wchłania tych najlepiej wykształconych z wysokimi kwalifikacjami, że dyplom wyższej uczelni nie jest polisą na życie i wysokie zarobki. To ci z najwyższymi kwalifikacjami, twórczy w wielu dziedzinach nauki, będą tworzyli – i już tak się dzieje – społeczeństwo wiedzy. To im sprzyja globalizacja umożliwiająca ulokowanie się w mniejszościowej grupie wyspecjalizowanej w dziedzinie zarządzania, przepływu kapitału, udziałowców wielkich, międzynarodowych koncernów, organizatorów produkcji w wielkich firmach. Wśród nich będą się wyróżniać wynalazcy i realizatorzy programów naukowych, tworzący zespoły międzynarodowe, przepływające z jednego do drugiego kraju.

Reszta, różnie oceniana pod względem wielkości (przeważnie na 3/4 ogółu populacji), ulegnie dalszej degradacji, walcząc coraz mniej skutecznie o zachowanie tzw. miejsc pracy, o jakieś minimalne płace, równie niskie emerytury albo zapomogi społeczne. Podział taki służy anonimowym światowym korporacjom, żywi się konfliktami zbrojnymi, które napędzają koniunkturę gospodarczą i niewyobrażalne zyski, a jednocześnie generuje bezrobocie i coraz większą nędzę w krajach Trzeciego Świata.

Nikt przytomny nie będzie kwestionował ważności modernizacji bibliotek: digitalizacji zbiorów, odkwaszania papieru, sprawnej obsługi informacyjnej, ale są to działania, które bibliotekarze amerykańscy i nie tylko oni określają jako „work in”, gdy współcześnie potrzebne są działania mieszczące się w pojęciu „work out”, czyli wyjście na zewnątrz, oswojenie z procesami społecznymi, które są od bibliotek niezależne, ale wymagają rozpoznania i aktywności. Bibliotekarze nie mogą się dać wypchnąć za burtę rynku pracy i powinni uświadamiać to swoim użytkownikom, zwłaszcza tym mniej zaradnym, niepełnosprawnym, biernym intelektualnie. Trzeba mówić prawdę, że nie da się wrócić do dawnego podziału prac i dawnych zawodów. Nie da się również zlikwidować automatów bankowych ani bankowych kart płatniczych, telefonów komórkowych, komputerów i Internetu. Można organizować folklorystyczne festiwale, ale nikt nie będzie paradował w łowickim czy krakowskim stroju na konferencjach i oficjalnych spotkaniach. W jednym z filmów mój ulubiony aktor, Jean Gabin nagabywany przez wnuczkę, że przecież świat się zmienia, odpowiedział, że owszem, ale on nie musi. Ale to był tylko film.



Przywileje piśmienności

Odkąd człowiek nauczył się mówić, mógł nie tylko porozumiewać się z innymi, ale magazynować w swojej pamięci wszelkie informacje potrzebne do tego, by przeżyć. W życiu plemion nieznających pisma, określanych przez Greków i Rzymian jako barbarzyńskie, zbiorowa pamięć historyczna i normy prawne przekazywane były ustnie z pokolenia na pokolenie. Czynili to przeważnie ludzie starzy, ponieważ – jak mniemano – dzięki swojemu długiemu życiu mogli najwięcej zaobserwować i zapamiętać. Do dziś w niektórych plemionach afrykańskich głównym edukatorem dzieci i młodzieży jest tzw. siwa głowa (*white head*), czyli najstarszy człowiek, który przekazuje najważniejsze, niezbędne do przeżycia informacje¹.

Odkrycie możliwości zapisywania myśli zredukowało oralny sposób porozumiewania się ludzi, stworzyło nieznane dotąd możliwości ponadczasowego i nieograniczonego barierami przestrzennymi przekazywania informacji. Piśmienność zmieniła uprzednie struktury społeczne, nadała im zorganizowane formy, uporządkowała wzajemne relacje międzygrupowe, nadała im sensy niezależne od ulotnej i niepewnej wiedzy przekazywanej ustnie z pokolenia na pokolenie. Pismo stało się narzędziem pomocnym w sprawowaniu władzy, w zawieranych traktatach państwowych, w bankowości, wreszcie w nauce, sztuce, zwłaszcza literaturze. „Wynalazca pierwszych tabliczek porytych pismem – pisze Alberto Manguel – uświadomił sobie zapewne, jaką przewagę mają te kawałki gliny nad zapamiętywaniem przez mózg. Po pierwsze na tabliczkach można było zawrzeć nieskończenie wiele informacji, można je było wytwarzać *ad finitum*, podczas gdy zdolność zapamiętywania jest ograniczona. Po

¹ Szerzej o tych sprawach w: *Elitarność i powszechność czytania*. W: *Centrum i pogranicze w polskiej kulturze wydawniczej i czytelniczej*. „Studia Bibliologiczne”. T. 17. Katowice 2008, s. 18-28.

drugie, dzięki tabliczkom obecność pamiętającego nie była konieczna, bez niego też dało się informacje odtworzyć. Okazało się nagle, że coś nieuchwytnego – liczbę, wiadomość, myśl, porządek – można było uchwycić bez fizycznej obecności nadawcy komunikatu. W magiczny sposób można to było sobie wyobrazić, zanotować i przekazać ponad przestrzenią i czasem”².

Beneficjentów słowa pisanego można podzielić na kilka grup. Do pierwszej wypada zaliczyć wielkie cywilizacje: grecką i rzymską. Między rokiem 850 a 750 przed Chrystusem Grecy opracowali i przyjęli stosowany do dziś alfabet. Bez greckiej sztuki i literatury, rzymskiego prawa, modelu państwowych struktur, relacji z podbitymi prowincjami Cesarstwa, wiedzy w dziedzinie wojskowości nie byłoby dzisiejszej Europy, nie byłoby również nas.

Do drugiej grupy wypada zaliczyć mieszkańców miast. Trzy albo cztery tysiące lat przed Chrystusem ludzie zaczęli ograniczać swoje wędrowanie, polowania i zbieractwo. Ten tryb życia nie sprzyjał dalszemu rozwojowi, uniemożliwiał wyżywienie powiększającej się populacji plemiennej. A może też były i inne powody, o których po prostu nie wiemy. Według Zygmunta Kubiaka już w piątym tysiącleciu przed Chrystusem powstało w Sumerze pierwsze miasto. W następnym tysiącleciu powstawały inne. Zbiorowość miejska – w przeciwieństwie do rolniczej – wymagała zupełnie innej organizacji i przybrała inną strukturę. W miastach żyli administratorzy, rzemieślnicy, kupcy, wojskowi, kapłani, poborcy podatkowi itp.³. Ten osiadły organizm nie mógł sprawnie funkcjonować bez pisma. Potrzeba jest matką wynalazków, pismo przybrało zatem początkowo postać obrazków, przekształconych z czasem w kilkusylabowe słowa. W połowie trzeciego tysiąclecia przed Chrystusem pojawiły się już zapisy teologiczne, kronikarskie, prawnicze, poetyckie.

Oprócz międzygrupowego podziału pracy w mieście zmienił się również jej charakter. Mieszkańcy uczestniczyli w pracach samorządowych, zebraniach cechowych, obrzędach religijnych, politycznych, grupach edukacyjnych itp. Naturalnym ograniczeniem aktywności społecznej i kulturalnej był brak oświatlenia, zwłaszcza zimą.

² M. Alberto: *Moja historia czytania*. Warszawa 2003, s. 253.

³ Z. Kubiak: *Dzieje Greków i Rzymian*. Warszawa 2003, s. 14.

Pracę na wsi wyznaczały pory roku i pogoda. Oświetlenie było dostępne tylko wśród najzamożniejszych. Wszyscy, począwszy od kilkuletnich dzieci pracowali od świtu do nocy. Czytanie książek, z czasem też gazet traktowane było jako zajęcie elit. W Polsce dopiero po wprowadzeniu obowiązku szkoły podstawowej w latach dwudziestych XX wieku dzieci wiejskie po raz pierwszy uzyskały prawo do odrabiania lekcji.

Niezależnie od zróżnicowania w dostępie do słowa drukowanego między miastem i wsią, co ilustrują wyniki badań nad zasięgiem książki, jej kupowaniem, czy wypożyczaniem z bibliotek publicznych, w 2008 r. nastąpił spadek czytelnictwa w skali ogólnokrajowej. Ujawniły to rezultaty badań poświęcone społecznemu zasięgowi książki przeprowadzone przez Instytut Książki i Czytelnictwa. W ich świetle okazało się, że czytanie książek deklarowało 38% badanych. Dla wielu było to zaskoczenie, ale nie dla autorów kolejnych raportów, według których spadek zainteresowania książką w polskim społeczeństwie obserwowano od kilku lat. Początkowo zmniejszyła się intensywność czytania a następnie zmniejszała się liczba czytelników. I tak w 2004 r. deklarujących kontakty z książką w ciągu roku było 58%, w 2006 r. już 50% i w 2008 r. tylko 38%. Jedynie w wielkich miastach liczących ponad 500 tys. mieszkańców nie zanotowano zmniejszania się liczby czytelników. Analogicznie do zasięgu książki, również w sieci bibliotek publicznych zmniejszyła się liczba czytelników. W latach 2006-2007 w skali roku ubytki czytelników kształtowały się około 4,3%. W 2007 r. zarejestrowano w sieci 6 719 075 czytelników, mniej o 304 184 (4,3%) niż w roku poprzednim. W 2008 r. zarejestrowano 6 529 954 czytelników, czyli o 190 tys. mniej niż rok wcześniej. Mimo tych ubytków, biblioteki publiczne są w dalszym ciągu głównym źródłem dostępu do książki. Dotyczy to zwłaszcza małych miast i środowisk wiejskich. Dla dzieci i młodzieży uczących się są one źródłem niezastąpionym.

Powody spadku zainteresowań książką drukowaną są liczne. Dość popularnym przekonaniem jest, że to Internet stanowi główną dla niej konkurencję. Ale w świetle wyników badań nad zasięgiem książki okazuje się, że ponad połowa internautów (51%) sięga po książkę. Nie jest powszechny obyczaj kupowania książek. Jednostka

wydaje na książkę 16 albo 17 zł rocznie. W ogóle wydatki na tzw. kulturę w gospodarstwach domowych są minimalne i nie przekraczają 5,94% ogółu wydatków. Większość z nich pochłaniają opłaty abonamentowe i telefonia komórkowa. Uczestnictwo w spektaklach teatralnych, w operze i filharmonii, również na dobrym filmie są możliwe jedynie w wielkich miastach. Postulaty sprywatyzowania tych instytucji lub ich sponsorowania są mało realne – podobnie jak szersze upowszechnianie kultury alternatywnej.

Piśmienność podzieliła ludzi na pracujących fizycznie i posługujących się umysłem. Podział ten trwał przez tysiąclecia i jeszcze nie tak dawno używano określenia „pracownik fizyczny” i „pracownik umysłowy”: preferując zresztą raz jednych, raz drugich, w zależności od tego, kogo próbowano pozyskać. Dopiero w czasach najnowszych, w związku z postępem technicznym, a zwłaszcza rozwojem komputeryzacji, różnicowania między pracą umysłową a fizyczną zaczynają się zacierać.

Z upływem lat gliniane tabliczki zastąpił papirus, potem pergamin, kora brzoźowa, wreszcie papier. Ale nie to było najważniejsze. Organizacja życia miejskiego i potrzeby mieszkańców powołały do życia nie tylko piszących, ale również tych, którzy potrafili odczytać i zrozumieć to, co zawierały teksty. Aby się porozumieć i współdziałać, mieszkańcy miast musieli czytać i rozumieć kodeksy prawne, przepisy podatkowe, ocenić obroty handlowe, przesłać przelewy bankowe, wydać skrypty dłużne, konsekwentnie wszelkiego typu zarządzenia władz miejskich. Ktoś musiał uczyć czytania i pisanie. I tak powstawały szkoły i pojawili się nauczyciele. Powstawały więc grupy społeczne konstytuujące systemy administracyjne, urzędnicze, wojskowe skupione wokół dworu książęcego, królewskiego, samorządu miejskiego, wreszcie państwowego. Górne szczeble drabiny społecznej zajmowali ludzie piśmienni, dolne, ci, którzy nie umieli pisać i czytać. Osobną grupę stanowili twórcy: uczeni, pisarze, poeci, drukarze, kopiści. Grupa ta była różnicowana według stanu majątkowego. Zarówno w starożytnej Grecji, jak i w Rzymie, filozofii, malarstwa i rzeźby nie uprawiali biedacy, chyba, że wspomagał ich bogaty mecenas.

Grupy ludzi piśmiennych niechętnie dzieliły się swoimi umiejęt-

nościami. Przeciwnie, osoby te strzegły przywilejów wynikających z ich posiadania. W starożytności nauką pisania i czytania nie były objęte kobiety i niewolnicy, chociaż ci drudzy byli często kopistami nie rozumiejącymi tego, co przepisywali. Zarówno kobiety, jak i niewolnicy nie uczestniczyli w życiu publicznym. Piśmienność warunkowała to uczestnictwo. Tradycja ta przetrwała do naszych czasów. To prawda, że niewolników już nie ma, ale sytuacja kobiet nie mieniła się wystarczająco: wśród miliarda analfabetów na całym świecie stanowią one większość. W krajach afrykańskich, zwłaszcza muzułmańskich nie opłaca się kształcić dziewcząt i kobiet. Przypisywane im tradycyjne role, związane głównie z rodziną, nieobecność w życiu politycznym, naukowym i kulturalnym nie sprzyjają upowszechnianiu się piśmienności. Wszelkie deklaracje o demokracji, poszanowaniu praw człowieka, społeczeństwie obywatelskim, informacyjnym i tym podobnych hasłach o europejskim rodowodzie, w sytuacji krajów muzułmańskich, gdzie połowę ludności stanowią kobiety nieuczestniczące w życiu publicznym, wydają się absolutnym nieporozumieniem, jeżeli nie swego rodzaju obłudą.

Awans do wyżej usytuowanych w hierarchii społecznej grup odbywał się drogą indywidualną. Żeby to osiągnąć, jednostka musiała pokonać liczne bariery: społeczne, kulturowe, obyczajowe, materialne. Kobiety były aż do czasów najnowszych wyłączone z tych procesów. Powstanie uniwersytetów w średniowieczu nie zmieniło ani na jotę ich sytuacji. Mężczyźni też nie mieli łatwej drogi kształcenia, zwłaszcza ci ze środowisk ubogich, ale wielu potrafiło pokonać przeszkody i awansować w strukturze społecznej, zyskać prawo wejścia do uczestnictwa w wyżej usytuowanych grupach. To Stefanowi Batoremu przypisuje się powiedzenie „disce puer latine, ego te faciam mości panem”. Widniało ono na okładce przedwojennego podręcznika łaciny i doskonale odzwierciedlało drogę awansu. Ubogi krakowski żak, wspierany zupą i chlebem, a czasem groszem przez litościwą mieszczkę, wiedział, że po latach biedowania ma szansę na lepsze życie.

Oprócz beneficjentów piśmienności byli również przegrani. Nie wiele dziś wiemy o plemionach, które nie były w stanie utrwalić w znakach graficznych wiedzy o sobie i zginęły w pomroce dzie-

jów. „Z perspektywy antycznej i średniowiecznej cywilizacji – pisze Karol Modzelewski – plemiona barbarzyńskie przedstawiały się do pewnego stopnia podobnie jak tzw. ludy egzotyczne, badane przez etnologów XIX i XX w. Terytorialno-polityczne organizacje barbarzyńców, zwane w nauce plemionami, nie dysponowały instrumentami administracyjnego przymusu, a integracja społeczna opierała się w nich na przemożnej sile tradycji oraz presji wywieranej na jednostkę przez macierzystą grupę. Były to społeczności funkcjonujące bez pisma, w których nie tylko mitologia, ale także zbiorowa pamięć historyczna i normy prawne przekazywane były ustnie z pokolenia na pokolenie. [...] Świat barbarzyński nie dawał sam o sobie pisemnego świadectwa – stwierdza Karol Modzelewski – dopóki Kościół nie przeobraził go w chrześcijańskie państwa. Pisemne świadectwa o tym niepiśmiennym świecie można z grubsza podzielić na dwie kategorie. Na pierwszą składają się relacje pochodzące bezpośrednio lub pośrednio od obserwatorów naocznych, którzy ze społecznościami plemiennymi stykali się osobiście. Są to świadectwa współczesne, ale zapisane przez obcych, którzy spoglądali na barbarzyńców oczami cywilizowanych ludzi antyku lub średniowiecza. Do drugiej kategorii zaliczyć można [...] źródła rodzimego pochodzenia. Pisemną kodyfikację plemiennych praw zwyczajowych przeprowadzono na polecenie barbarzyńskich władców. Działo się to jednak już po przekroczeniu progu państwowości i chrystianizacji. Źródła dotyczące społeczeństwa plemiennego są więc świadectwami z zewnątrz albo świadectwami *ex post*”⁴.

Niewiele wiemy o tych, którzy nie zdążyli lub nie chcieli włączyć się w te ówczesne globalizacyjne procesy, jak: Obotryci, Ślężanie, Lucicy, Dziadoszanie, Jaćwingowie czy Prusowie. Ci ostatni znaleźli swoje miejsce w edukacji szkolnej, ponieważ zamordowali św. Wojciecha. Niewielu przyjmuje do wiadomości, że uczynili tak nie dlatego, że byli wrogami chrześcijaństwa, ale dlatego, że obawiali się zniszczenia ich struktury plemiennej, prawa i obyczaju, burzenia porządku, do którego przywykli i stanowienia nowego, o którym nie wiedzieli.

⁴ K. Modzelewski: *Barbarzyńska Europa*. Warszawa 2004, s. 13, 17, 18.

Umiejętności pisania i czytania w starożytności, średniowieczu, dobie renesansu, właściwie do XVIII wieku była przywilejem i sytuowała jednostkę w wyższych szczeblach drabiny społecznej. Tym pozostającym na dole, a stanowili oni znakomitą większość musiały wystarczyć przekazy słowne, również w dziedzinie literatury pięknej oraz wszelkiego typu obrazy i rzeźby głównie o treściach religijnych. Na początku VI wieku papież Grzegorz I Wielki orzekł, że: „Oddawanie czci obrazom to jedno, czym innym jest natomiast poznawanie za ich pomocą godnej uwagi historii. To, co czytającemu przedstawia tekst napisany, niepiśmiennym, tym którzy postrzegają wyłącznie za pomocą wzroku, ukazują obrazy, na nich bowiem ludzie nie oświeceni widzą historię, którą mogą śledzić, a ci, co liter nie znają, przekonują się, że na pewien sposób potrafią czytać. Dla prostego więc ludu obrazy są odpowiednikiem czytania. W 1025 r. synod w Arras stwierdził, że to, czego prości ludzie nie mogą pojąć, czytając pisma, poznać mogą patrząc na obrazy”⁵.

Ci, którzy posiadli sztukę czytania, czytali głośno: rodzinie, sąsiadom, czeladnikom, służbie domowej, kobietom i każdemu, kto chciał słuchać. Ciche czytanie dla siebie przyszło znacznie później.

W starożytnej Grecji literaturę upowszechniał teatr, dostępny dla wszystkich obywateli, w Rzymie dominowały igrzyska, które cechowało okrucieństwo, w średniowieczu mamy do czynienia z teatrem dworskim, organizowanym dla wybranego kręgu odbiorców. Ludowi musiał wystarczyć teatr jarmarczny i misteria religijne.

Czy coś się zmieniło od tamtych, odległych czasów? Jak twierdzi Dubravka Ugrešić, w dalszym ciągu mamy do czynienia z większością, która bez szemrania kupuje wartości współczesnej kultury oraz z niezauważalną mniejszością, która te wartości weryfikuje. Sceptykom przypina się najczęściej etykietkę „elitarystów”, „kulturowych pesymistów i konserwatystów”⁶. Można się oczywiście pocieszać, że te różnice występowały i w kulturze starożytnych, i w średniowieczu, i w czasach nowszych. I nie o podziały tu chodzi, ale o nieprzenikalność między tymi dwiema grupami. Ci związani lub przywiązani do literatury kanonicznej przestali być wzorem

⁵ Manguel... op. cit., s. 146.

⁶ D. Ugrešić: *Czytanie wzbronione*. Warszawa 2004, s. 199.

dla konsumentów książek rozrywkowych, łatwych w odbiorze, nie pozostawiających śladu na drugi dzień po przeczytaniu. I nie jest to tylko kwestia wyborów lekturowych, ale całościowe widzenie i wartościowanie kultury. To już było widoczne w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Alberto Manguel powołując się na Jorge Louisa Borghesa zanotował: „... że w 1950 roku podczas jednej z demonstracji, jakie rząd Perona organizował przeciwko opozycyjnym intelektualistom, tłum skandował »buty tak, książki nie!« ... Zawsze uważano, iż rzeczywistość twarda – nieodzowna rzeczywistość – znajduje się w nierozwiązywalnym konflikcie z ulotnym światem marzeń zawartym w książkach”⁷.

Pytany na egzaminie student bibliotekoznawstwa, co kupiłby na miejscu dyrektora Biblioteki Narodowej, list Chopina, czy też nowe komputery odpowiada bez najmniejszego wahania, że oczywiście wybrałby nowy sprzęt, ponieważ warunkuje on sprawne i efektywne opracowanie zbiorów. I trudno mu się dziwić, ponieważ słyszy, że ważniejszy jest dostęp do źródeł informacyjnych, który umożliwia komputer i Internet niż zgłębianie tekstów pisanych i drukowanych.

Przywileje grup piśmiennych padły pod naporem wynalazku druku. W latach czterdziestych XV wieku – pisze Alberto Manguel – „... młody grawer i złotnik z Moguncji [...] doszedł do wniosku, że o wiele większą szybkość i wydajność osiągnie się, jeżeli poszczególne litery alfabetu będzie się drukować oddzielnymi czcionkami, nadającymi się do ponownego użycia [...] Johann Gutenberg wynalazł wszystkie podstawowe, nieznane dotąd narzędzia, używane w poligrafii jeszcze w XX wieku: metalowe prostopadłościanny do odbijania liter, prasę łączącą cechy tłoczni win i prasy introligatorskiej oraz farbę sporządzaną z pokostu [...]. Między 1450 a 1455 rokiem wydrukował nową techniką pierwszą książkę – *Biblię* – zawierającą po 42 wiersze na każdej stronie”⁸.

Nie pierwszy raz w historii postęp techniczny przyczynił się do zmian społecznych. Gdyby nie wynalazek druku zwolennicy Lutra nie byłiby w stanie upowszechnić czytania *Biblii*, w kształceniu na-

⁷ Manguel... op. cit., s. 44.

⁸ Op. cit., s. 194.

dal dominowałaby łacina, nie doszłyby do głosu w nauce i literaturze języki narodowe, kopiowana ręcznie książka byłaby nadal dostępna dla bogatych, nie byłoby renesansu, oświecenia, rozwoju nauk, idei, filozofii i literatury. Wynalazek druku poszerzył krąg beneficjentów piśmienności, upowszechnił myśli, idee społeczne, programy polityczne, kierunki w sztuce, głównie w literaturze, umacniając fundamenty cywilizacji europejskiej.

Bez drukowanej książki nie byłby możliwy rozwój podstawowego szkolnictwa, które upowszechniło piśmienność wśród warstw ludowych, edukacyjnie zaniedbanych, głównie wiejskich. Proces ten przebiegał w sposób zróżnicowany w poszczególnych krajach europejskich. Efektywnie przebiega w krajach, które w drugiej połowie XIX wieku wprowadziły u siebie obowiązek szkolny. Piśmienność zaowocowała rozwojem czytelnictwa powszechnego, które znalazło się w polu zainteresowań: oświatowców, polityków, a nawet przedsiębiorców. Patrząc z wielowiekowej perspektywy, warto zastanowić się, co się tak naprawdę zmieniło.

„Stopniowo nauczanie początkowe, a więc na poziomie czterech klas – pisze Jerzy Holzer – stało się w wielu krajach powszechne, a w innych starano się je urzeczywistnić. Dążenie do likwidacji analfabetyzmu przez wprowadzenie obowiązku szkolnego było jednym z elementów europejskiego modelu społecznego. Miało to szczególne znaczenie dla warstw niższych, bardziej nawet dla pozostającej dotąd w tyle pod względem wykształcenia ludności wiejskiej niż dla robotników miejskich. Obowiązek szkolny najwcześniej wprowadzono w niektórych państwach niemieckich, w tym już w 1716 r. w Prusach, choć od zarządzeń do ich realizacji z reguły upływało sporo czasu. W każdym razie zjednoczone Niemcy w pełni realizowały już powszechność tzw. szkoły ludowej [...]. W Wielkiej Brytanii obowiązkowe początkowe nauczanie wprowadzono dopiero w 1870 r., we Francji w latach 1881-1882. W Portugalii wprowadzono obowiązek szkolny w 1911 r., kiedy analfabetyzm wśród ludności kraju wynosił 75%. Efekty były niewielkie, skoro w 1930 r., nadal 68 % mieszkańców nie umiało czytać i pisać”⁹. Najważniejsze było to, że odpowiedzialność za rozwój szkolnictwa powierzono odpowiednim instytucjom państwowym.

⁹J. Holzer: *Europa wojen 1914-1945*. Warszawa 2008, s. 18.

Najwcześniej uporały się z analfabetyzmem kraje skandynawskie: w Danii, Norwegii, Szwecji, Islandii już w XVIII w. duchowni protestanci zostali zobowiązani przez biskupów, by młodzi przystępujący do konfirmacji umieli przeczytać fragment Biblii i opowiedzieć go własnymi słowami. W Wielkiej Brytanii zawierający małżeństwo musieli podpisać się imieniem i nazwiskiem. W Rosji przeprowadzony w 1897 r. spis ludności ujawnił, że co piaty mieszkaniec kraju (21%) umiał czytać i pisać. Był to rezultat wysiłków szkółek wiejskich i różnych stowarzyszeń społecznych. Ci piśmienni byli młodymi mężczyznami w wieku 10-29 lat. Czytano Ewangelię, żywoty świętych, ale też tanie powieści rozrywkowe. Wśród kobiet umiejętność czytania była rzadkością. To czytelnictwo pokazywało, że jest jakiś inny świat. W latach 1917-1918 nakłady broszur i gazet głównie o treściach propagandowych liczyły już setki tysięcy egzemplarzy, były rozprzestrzeniane wśród ludzi i odegrały znaczącą rolę w dokonującej się rewolucji¹⁰.

Współcześnie czytelnictwo powszechne rozwija się jako zjawisko kulturowe w dwu wyraźnie zarysowanych nurtach. Jeden obejmuje wąską, elitarną grupę, dla której znajomość światowego kanonu literackiego wyznacza podstawowe wyposażenie intelektualne, a wspólnota lekturowa stanowi symboliczny wyznacznik, po którym mogą się rozpoznawać poszczególni członkowie należący do tej grupy. Środowiska takie występowały w starożytności i w średniowieczu, i w czasach nowszych, i najnowszych. Można więc zaryzykować twierdzenie, że pod tym względem zmieniło się niewiele, choć inny jest skład społeczny. Polega on na tym, że ówczesną arystokrację i kręgi dworskie zastąpili intelektualiści, uczeni, artyści, dziennikarze.

Drugi nurt czytelniczy, w przeciwieństwie do pierwszego, jest liczny, choć niejednorodny, składający się z różnych kręgów społecznych zdeterminowanych tradycją, wykształceniem, kwalifikacjami zawodowymi, statusem materialnym itp. W tej grupie również funkcjonował kanon literacki, choć różnił się od elitarnego. W prowadzonych przez Instytut Książki i Czytelnictwa badaniach podkreślano niejednokrotnie, że zainteresowania poszczególnymi autorami

¹⁰ R. Pipes: *Rewolucja rosyjska*. Warszawa 2006, s. 125.

i tytułami są ściśle powiązane z treścią lekturowych programów szkolnych. Na zasadzie, że książki przynoszone przez dzieci z biblioteki szkolnej lub publicznej są czytane przez dorosłych. W taki prosty sposób utrzymywał się kanon lekturowy wspólny dla dwu lub nawet trzech pokoleń. Z tej tradycji zostało niewiele. Zmiany w programach szkolnych przyspieszyły zapadanie się w niepamięć czytelniczą prawie całej twórczości okresu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Było w niej wiele pozycji wartościowych, stanowiących niegdyś trzon czytelnictwa powszechnego. Można zrozumieć niechęć czytelników do pisarzy zbyt zaangażowanych w bieżącą politykę, takich jak Roman Bratny, Bogdan Czeszko, Jerzy Putrament czy Stanisław Ryszard Dobrowolski, ale trudno pogodzić się z odrzuceniem książek pisarzy, bez których zrozumienie czasów realnego socjalizmu jest prawie niemożliwe. Dobrze więc, że „Polityka” wznowiła wydawanie serii książek obejmujących twórczość: E. Rylskiego, J. Strykowski, E. Redlińskiego, J. Andrzejewskiego, S. Rembeka, T. Borowskiego, M. Białoszewskiego, Wł. Odojewskiego, T. Parnickiego i innych. Wypadałoby upomnieć się o twórczość J. Krzysztonia, H. Malewskiej i innych. Bez tej literatury wiedza obejmująca półwiecze staje się coraz węższa, a przez młodszą generację cały ten brzemienisty w skutki społeczne okres traktowany jest jak czarna dziura lub głęboka studnia, w którą zapadła się nie tylko literatura, ale wszelkie sprawy pokolenia rodziców i dziadków. Jest to o tyle ważne, że literatura piękna w dalszym ciągu cieszy się powodzeniem. Stanowi ona 65% ogółu wyborów czytelnicy. Chyba jednak warto podtrzymać tę tradycję.

Rynek wydawniczy książki drukowanej wcale się nie kurczy. Od wielu lat światowa produkcja ustabilizowała się wokół 1 mln tytułów rocznie i nic nie wskazuje na to, by sytuacja miała ulec zmianie na gorsze. Jesteśmy nadal zalewani drukowanym papierem w postaci książek, gazet, czasopism, wszelkiego rodzaju drukami życia społecznego, wreszcie niebywale rozwiniętą reklamą. Praktyka akademicka nakazuje pisać prace dyplomowe, książki, artykuły, sprawozdania, wszelkiego rodzaju komunikaty i omówienia. Archiwa uniwersyteckie pękają w szwach. Rektor Uniwersytetu Warszawskiego podjął decyzję, iż jeden egzemplarz pracy dyplomowej musi

być pisany obustronnie, co pozwala oszczędzić miejsce, praktykują to też inne uczelnie, a niektóre rezygnują ze studenckich opracowań na rzecz egzaminów, by oszczędzić miejsce i zapobiec patologii. Nawet pobieżne przejrzenie, nie mówiąc o przeczytaniu bieżącej produkcji wydawniczej w tak wąskiej dziedzinie, jak bibliotekoznawstwo, jest praktycznie niemożliwe. Chwilami odnosi się wrażenie, że piszemy i publikujemy sami dla siebie. Przyswojenie informacji zawartych w publikacjach, nawet najogólniejszych, staje się coraz trudniejsze. Jakimś rozwiązaniem może być Internet. Brakuje nam jednak wiedzy, do jakiego stopnia pozyskiwanie informacji z tego źródła porządkuje i systematyzuje zawartość pracy licencjackiej czy magisterskiej. Lektura prac dyplomowych dowodzi, że internetowe informacje nie układają się w logicznie ustrukturyzowaną całość, ale służą do licznych cytowań, z których niewiele wynika.

Niezależnie od wielu zastrzeżeń i wątpliwości liczba internautów wzrasta w zawrotnym tempie w całej Europie i Stanach Zjednoczonych, również w Polsce. Internet służy do przesyłania i odbierania nie tylko tekstowych informacji, ale także obrazów, filmu i dźwięku. Dzieje się tak, ponieważ komputery osobiste tanieją i począwszy od lat osiemdziesiątych stają się coraz dostępnejsze.

Stosunek do książek czytelników, sięgających po nie sporadycznie, ale próbujących na bieżąco orientować się w tym, co się ukazuje na rynku wydawniczym, nie różni się od powszechnych zachowań konsumenckich. Ważne jest to, co najnowsze, modne, o czym się pisze w prasie wysokonakładowej. Rzadziej się sięga do specjalistycznych przeglądów typu „Nowe książki”, czy „Twórczość. Miesięcznik literacko-krytyczny”, „Dialogu”, a o „Literaturze na Świecie” nawet nie ma co wspominać. Do miesięczników tych zagląda bardzo wąska grupa miłośników literatury. Są to przeważnie ci, którzy należą do elitarnej grupy czytelników.

W świetle wypowiedzi niektórych twórców aktywność czytelnicza jest rzeczywiście czymś wyjątkowym. Świadczy o tym między innymi wyznanie Anne Fadiman, która w swojej arcyciekawej książce pod znamienym tytułem *Ex libris* tak oto charakteryzuje swoje czytelnicze doświadczenia w trakcie jej pisania. „Przez ten czas urodził się mój syn, córka nauczyła się czytać, oboje z mę-

zem skończyliśmy lat czterdzieści, moja matka – osiemdziesiąt, a ojciec dziewięćdziesiąt. Tymczasem nasze książki – nawet te wydrukowane na długo, zanim się urodziliśmy – pozostały wiecznie młode. Odnotowały upływ rzeczywistego czasu, a że przypominały nam o wszystkich sytuacjach, w których były czytane i odczytywane ponownie, odbijały się w nich także poprzednie dziesięciolecia. Książki napisały historię naszego życia, a w miarę jak gromadziły się na półkach (jak też na parapetach, pod sofą i na lodówce), same stawały się jego rozdziałami. Czyż mogło być inaczej?”¹¹.

Książka Anne Fadiman może służyć najwybredniejszemu czytelnikowi za przewodnik po lekturach nie tylko amerykańskich, ale światowych. Zwłaszcza że na tę wiedzę o literaturze złożyło się kilka pokoleń. „Moi rodzice – jak pisze autorka – przekazali nam po prostu dziedzictwo, które otrzymali od swoich rodziców. Kiedy moja matka mając dziesięć lat przeniosła się z Utah do Kalifornii, jej ojciec pokrył całą długą na szesnaście stóp ścianę półkami na książki, a matka okleiła je beżową purchlastą tapetą. Tamtego lata mama przeczytała kompletne wydanie dzieł zebranych Dickensa. Mój ojciec dorastał w Brooklinie, w rodzinie imigrantów, którzy byli tak biedni, że pierwszy raz zabrali go do restauracji kiedy miał kilkanaście lat, lecz to im nie przeszkodziło zapełnić dwóch biblioteczek z czarnego orzecha Scottem, Tołstojem, Maupassantem i innymi pisarzami. Przeczytałem Ibsena jako ośmiolatek opowiadał mi ojciec. A Ibsen był tam już wcześniej. Wiedziałem, że to wielki norweski dramaturg i że jest częścią świata, do którego zmierzam”¹².

No właśnie. Do jakiego świata zmierza stołeczna bibliotekarka, która nie słyszała o kanonie literatury światowej wydawanej od roku przez „Gazetę Wyborczą”.

Podobnie jak w starożytności i średniowieczu mamy do czynienia z elitarną grupą uprzywilejowanych już nie tylko przez słowo drukowane, ale także przekazywane elektronicznie. W grupie tej jednostka zaprawia się w umiejętności pisania, czytania i krytycznego myślenia już od najmłodszych lat. To są ci, którym opowiadano

¹¹ A. Fadiman: *Ex libris. Wyznanie czytelnika*. Przekł. Hanna Kistula, Paweł Piasecki: Oprac. i noty Jan Gondowicz. Izabelin 2004, s. 8-9.

¹² Op. cit., s. 135.

i czytano bajki, posyłano do przedszkola, gdzie było dużo książek, kupowano pięknie ilustrowane wydawnictwa, chodzono całą rodziną do księgarni i biblioteki, kompletowano domowy księgozbiór, jednym słowem budowano infrastrukturę książkową, traktując ją jako naturalne, najbliższe otoczenie sprzyjające inicjacji lekturowej.

Według opinii Daniela Pennaca temu, że dzisiejsza młodzież nie lubi czytać nie jest winna telewizja, nowoczesność ani szkoła, tylko my sami. Czytaliśmy dzieciom bajki, opowiadaliśmy różne dziwne historie, pobudzaliśmy ciekawość i wyobraźnię, a jak tylko nauczyły się one składać litery potraktowaliśmy czytanie jako przymus i co najważniejsze przestaliśmy im towarzyszyć w lekturach. „Otworzyliśmy je na nieskończoną różnorodność wyobrażeń, wtajemniczyliśmy je w rozkosze podniebnych podróży, podarowaliśmy im wszechobecność, wyzwoliliśmy spod władzy Chronosa, zanurzyliśmy je w cudownie zatłoczoną samotność czytelnika [...]. Historie, które im czytaliśmy, roily się od braci, sióstr, krewnych, sobowtórów, całych eskadr aniołów stróżów, zastępów duchów opiekuńczych, które rozpraszały ich smutki”¹³.

Dziś lektury przebiegają inaczej, bo wiele zmieniło się wokół nas. Bibliotekarzom i nauczycielom (nie wszystkim oczywiście) trudno się zgodzić z Pennacem, że młodzi ludzie mają prawo nieczytania, przeskakiwania stron, niekończenia książki, czytania byle czego, byle gdzie, na wyrywki, na głos, itp.

Trudne do zaakceptowania również jest i to, że w bibliotece czytelnik ma prawo zwrócić nieczytaną książkę, wziąć następną i po jej przekartkowaniu zrobić to samo. Wszelkie zachęty bibliotekarza, że może by spróbował, bo to dobra książka tylko pogorszają sytuację. Bo bibliotekarze patrzą z dumą na zapchane książkami półki, które stoją niczym kompanie wojska przed defiladą. A gdyby tak dać młodym czytelnikom prawo do zburzenia tego porządku, pewnie nie bacząc na z trudem zdobyte pieniądze warunkujące zakupy nowości, wyrzuciłby co drugą pozycję.

Wszystkie te starania bibliotekarzy i nauczycieli nie zawsze były i są uwieńczone powodzeniem. Bywa wcale nierzadko, że górę biorą inne zainteresowania, a zwłaszcza oglądanie programów te-

¹³ D. Pennac: *Jak powieść*. Warszawa 2007, s. 17.

lewizyjnych, gry komputerowe czy buszowanie w Internecie. Nacisk środowiska rówieśniczego w szkole, w sąsiedztwie, wzorce tworzone przez media, zwłaszcza w dziedzinie muzyki młodzieżowej mogą okazać się dominujące i niwelować starania rodziców. Przynależność do grupy aktywnych czytelników nie jest dziedziczna, każda kolejna generacja musi tworzyć zainteresowania książką od nowa. Podobnie niechęć do czytania nie musi trwać całe życie. O nagłym zainteresowaniu książką może zdecydować przypadek, albo to, co się aktualnie dzieje w społeczeństwie, polityce, gospodarce. W stanie wojennym w czytelni Biblioteki Narodowej młodzi ludzie pochłaniali dzieła Józefa Piłsudskiego. To była reakcja na indoktrynację i propagandę. Czytanie przeciw czemuś lub przeciwko komuś jest zjawiskiem powtarzającym się w historii czytelnictwa. Są to jednak zawsze sytuacje wyjątkowe i nie muszą się powtarzać.

Słowo drukowane nie znajduje zainteresowania w licznej grupie młodzieży gorzej edukowanej, ze świadomością braku szans na lepsze życie po ukończeniu szkoły. Młodzi ludzie widzą odgradzające się od nich osiedla wielkomiejskie, zamknięte, strzeżone, niedostępne. Są przekonani, że księgarnia, biblioteka nie są dla nich. Toteż omijają je. Język, którym się posługują jest ubogi, służy do porozumiewania się w grupie. Wszystko to razem budzi agresję. Ci młodzi wiedzą, że ich umiejętności zaprezentowania się wobec potencjalnego pracodawcy są nikłe. Otwarcie granic europejskich niewiele zmienia w ich życiu. Koczują na obcych dworcach, nie są w stanie opanować najprostszego zasobu słów w obcym języku, stoją w kolejkach po darmową zupę. Nie czytali, więc nie wiedzą, że są głównymi bohaterami, książki Zygmunta Baumana *Życie na przemiał*¹⁴.

Gwoli sprawiedliwości wypada jednak stwierdzić, że oprócz przegranych na starcie życiowym są i tacy, którzy wierzą, że wykształcenie jest wartością, że daje szansę, nie wszystkim jednakową, ale jednak. Podejmując więc konkurencję w szkole i na uniwersytecie, traktując ją jako zaprawę przed wejściem na rynek pracy, starają się nie wątpić we własne możliwości, przyjmują reguły pozytywnego myślenia, demonstrują własną indywidualność, ale także umiejętności działania w zespole, czytają podręczniki z dziedziny psycho-

¹⁴ Z. Bauman: *Życie na przemiał*. Przekł. Tomasz Kunz. Kraków 2004.

logii, socjologii społecznej, o prawach rynku, zarządzaniu i marketingu. Wiedzą doskonale, o co toczy się gra, jaką cenę przyjdzie im zapłacić. To są ci, którzy czytają również literaturę piękną, zwłaszcza w sytuacji, gdy środowisko zawodowe narzuca w tym zakresie swoje standardy. Nie można wykluczyć, że będąc beneficjentami słowa drukowanego stworzą nowe wzorce czytelnicze i pociągną za sobą innych¹⁵.

Niezależnie od podziałów dokonujących się w strukturze społecznej, zanikaniu jednych, pojawianiu się innych grup zawodowych piśmienność w dalszym ciągu dzieli ludzi na tych, którzy wygrali i tych, którzy już przegrali oraz tych, którzy mają szansę.

¹⁵ E. Grzeszczyk: *Amerykańskie wzory – polskie realia*. Warszawa 2003

Wiedza – informacja – konsumpcja

Wieki minione przekazały nam wizerunek samotnego uczonego, który często w izolacji od świata zewnętrznego, wśród ksiąg dokonywał odkryć i wynalazków, formułował podstawy teoretyczne dla różnych dziedzin nauki, rozwijał myśl filozoficzną, poglądy na przeszłość. Mikołaj Kopernik, który – choć studiował w najświetniejszych uniwersytetach włoskich (Bologna i Padwa) oraz w Akademii Krakowskiej – to swoje rewolucyjne dzieło *O obrotach sfer niebieskich* pisał prawie dwadzieścia lat we Fromborku i zobaczył je w druku, kiedy już umierał (1543)¹.

W XVI wieku najszacowniejsze uniwersytety gromadziły uczonych, z których każdy reprezentował swój indywidualny autorytet i na swoją odpowiedzialność kształcił i przysposabiał uczniów i następców. I tak to trwało prawie do połowy XIX wieku, kiedy to w krajach zachodnich uniwersytety i działalność naukowa zostały włączone w struktury państwowe i zyskały nieznaną dotąd rozmach. Proces ten nasilił się w wieku XX zmieniając, szczególnie w naukach ścisłych i technicznych dotychczasowy model pracy naukowej oparty na indywidualnym warsztacie pracy uczonego. Powstały liczne specjalistyczne instytuty, w których dominowała praca zespołowa i kumulowały się środki finansowe. Współcześnie jeszcze tylko w humanistyce nieliczne nazwiska uczonych tej miary co Barbara Skarga, Leszek Kołakowski, Janusz Tazbir, Maria Janion, mogą stanowić jakąś kontynuację tych dawnych tradycji. Choć i oni, będąc członkami korporacji akademickich, są aktywni w dydaktyce, publicystyce, występują w mediach, wypowiadają się w sprawach odległych od ich głównych zainteresowań naukowych. Proces ten postępuje nadal i jest szczególnie widoczny w krajach bogatych,

¹ J. Repcheck: *Sekret Kopernika*. Warszawa 2009.

w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Wielkiej Brytanii, Francji. Potencjał materialny i ludzki, jakim dysponują te kraje, umożliwia nie tylko podejmowanie konkurencji w sferze wytwórczej: produkcji, komunikacji, zarządzaniu, sieci bankowych, w przepływie kapitału ale również w programach edukacyjnych i naukowych.

Bibliotekarze widzą swoją przyszłość w społeczeństwie informacyjnym i społeczeństwie wiedzy. Z tym pierwszym są bardziej oswojeni, wszak informacja od połowy XX wieku, a w wielu krajach jeszcze wcześniej stała się integralną częścią działalności bibliotecznej. Kształt społeczeństwa wiedzy nie jest już tak jasny, zwłaszcza gdy chodzi o jego zakres. Informacja stanowiła wynik upowszechniania szkolnictwa wyższego. Powiększającej się liczby studentów nie dało się już obsłużyć tradycyjnymi metodami. Żmudne poszukiwania w katalogach i bibliografiach zastąpiły wydruki komputerowe. Zmiana ta miała również aspekt ekonomiczny. Studia, nawet w krajach bogatych, są płatne. Przygotowanie warsztatu naukowego niezbędnego przy pisaniu pracy dyplomowej wymaga czasu od dwu do trzech miesięcy. Skrócenie tego cyklu do kilku dni jest czystym zyskiem dla studenta. Również dla jego opiekuna naukowego.

Katalogi, bibliografie, wszelkiego rodzaju spisy i przypisy, z których każdy może korzystać, mogą zawierać informacje. Wiedza jest własnością jednostki, podobnie jak mądrość. Informacja stanowi naturalny budulec wiedzy, choć i jedna, i druga starzeją się. Za trwałą uważa się mądrość. Informacja jest jednym z jej składników, wcale nie najważniejszym. Liczy się bowiem doświadczenie, intuicja, rozumienie zjawisk, umiejętność syntetyzowania, przewidywania i formułowania wniosków.

Cechą człowieka mądrego jest chęć poznania, bezinteresowna ciekawość. Przez wieki były one istotą rozwoju nauki i kształcenia. To ciekawość wiodła Mikołaja Kopernika do odkryć i zakwestionowania ustalonych przez Ptolemeusza reguł, obowiązujących przez wieki. To zalety obserwacyjne i umiejętność wnioskowania umożliwiły Barbarze Skardze znakomite opisanie organizacji prac i ludzkich zachowań w państwowym gospodarstwie rolnym (w Związku Radzieckim), gdzie ją zesłano do pracy przymusowej. Stłumienie w sobie ciekawości tego, co dzieje się w bliższym i dalszym oto-

czeniu społecznym, rodzi niechęć do lektur, zwłaszcza do literatury pięknej, do przedmiotów ogólnokształcących, do wiedzy, której nie da się przełożyć na język praktyki. Tendencje do pójścia na skróty obserwuje się już w szkole średniej, a może nawet wcześniej. Również na studiach wyższych lektury zastępuje się skrótami, streszczeniami, informacjami internetowymi, często treściami filmowymi. Student bibliotekoznawstwa – i nie tylko on – wybiera z programu to, co wydaje mu się praktyczne, przydatne w przyszłej pracy, niekoniecznie w bibliotece, raczej w kancelarii adwokackiej, w banku, w biurze reklamowym. Przedmioty ogólne traktowane są niechętnie, jako niewiele dające, nieprzydatne w praktyce. I nic w tym dziwnego, bowiem zewsząd słyszy on opinie, że system kształcenia powinien być dostosowany do gospodarki oraz do współczesnego rynku pracy, który w sposób widoczny się kurczy, a konkurencja na nim jest coraz brutalniejsza.

Dzieje się to w sytuacji, gdy współczesna wyższa uczelnia i gospodarka wyłaniają coraz węższą elitę o najwyższych kwalifikacjach menedżerskich, związanych głównie z poruszaniem się w sieciach bankowych, korporacyjnych, elektronicznych. Wyłanianie tych elit może odbywać się w krajach o najwyższych standardach oświatowych. Prace analityczne w tym zakresie już są prowadzone. Komisja Wspólnot Europejskich w 2001 r. ogłosiła komunikat o europejskim obszarze uczenia się przez całe życie, w którym zawarto informacje, że 60,3% obywateli Unii Europejskiej między 25 a 64 rokiem życia ma co najmniej średnie wykształcenie, ale 150 mln osób nie zdobyło nawet podstawowego poziomu wykształcenia. Nie ulega wątpliwości, że tej ogromnej liczbie osób grozi ekonomiczna i społeczna marginalizacja. Prawdopodobnie ludzie ci są głównie emigrantami i to z regionów kulturowych odległych od europejskich. Nie wydaje się, by istniały realne szanse na wyrównywanie dystansów edukacyjnych dzielących rdzenną ludność (Francuzów, Belgów, Niemców czy Holendrów) i przybyszów z Sudanu, Kamerunu, Konga czy Turcji, w tym z obszarów zamieszkałych przez Kurdów.

Niepostrzeżenie Komisja Europejska przesunęła akcent z kształcenia przez całe życie (*Lifelong Education*) na uczenie się przez całe życie (*Lifelong Learning*). Różnica niby pozorna, ale może mieć ona

różne konsekwencje. Otóż ustawiczna edukacja nie może dotyczyć wyłącznie nowych technologii, choć umiejętności w tym zakresie są nieodzowne we współczesnym świecie. Nie ma się szans na funkcjonowanie na zglobalizowanym rynku pracy, posługując się długopisem. Ale również ważna jest edukacja obywatelska, która powinna stanowić przeciwwagę dla kreowanej kultury konsumpcyjnej.

Edukacja, a nie tylko uczenie się może opóźnić wycofywanie się jednostki z przestrzeni publicznej, zarówno lokalnej jak uniwersalnej, z polityki, działalności społecznej, stowarzyszeniowej, związkowej, sąsiedzkiej w sferę prywatną, rodzinną. Każdy ustrój autorytarny (dla totalitarnego to oczywistość) marzy o takiej sytuacji. Hasło rzucone przez gen. Philippe'a Pétaina po utworzeniu marionetkowego rządu w Vichy: „rodzina, praca, ojczyzna” doskonale symbolizuje te nastawienia. W prywatność, choć nie lubimy się do tego przyznawać, zapędził większość Polaków stan wojenny w 1981 r. Cała energia 10 mln „Solidarności” została złamana, jak ktoś wówczas trafnie określił: „każdy przycupnął i starał się być niewidoczny”. I cała ta aktywność nigdy już w takiej skali się nie odtworzyła.

W jakiejś mierze objęło to również środowisko bibliotekarskie. Powołana w 1980 r. Ogólnopolska Międzybiblioteczna Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność” opracowała program zmierzający do stworzenia pragmatyki zawodowej bibliotekarzy i kształtowania systemu płacowego, preferującego wysokie kwalifikacje fachowe. Komisja ta tułała się przez jakiś czas po kraju, ale w 1989 r. przechwycili ją ludzie zupełnie przypadkowi i nic z tego nie wyszło.

Myślenie w kategoriach teoretycznych o bibliotekach, ich organizacji i zakresie działania nasiliło się w okresie międzywojennym. Miało to swoje uzasadnienie w sytuacji, w jakiej rozwijała się cała polska nauka, odrabiająca w ciągu dwudziestolecia niepodległości dystanse dzielące ją od świata zachodniego. Dowodzi tego między innymi ruch czasopiśmienniczy. Głównym wydawcą czasopism naukowych były towarzystwa naukowe związane z głównymi ośrodkami uniwersyteckimi: Warszawy, Krakowa, Lwowa, Poznania i Wilna. I nie mogło być inaczej, bo kraj był biedny, narodowo, et-

nicznie, kulturowo i religijnie zróżnicowany i na tym tle roilo się od konfliktów. W strukturze gospodarczej kraju dominowało rolnictwo, przemysł dopiero się rozwijał, a sfera usług raczkowała. W takich warunkach możliwe było uprawianie głównie nauk humanistycznych i społecznych, po prostu jako tańszych. W głównym czasopiśmie „Nauka Polska” ilościowo dominowały artykuły w zakresie nauk humanistycznych, na dalszych miejscach znajdowały się nauki ścisłe: biologiczne, o Ziemi, medyczne, rolnicze a na samym końcu techniczne².

Okres międzywojenny sprzyjał organizowaniu podstaw naukowych dla rozwoju specjalności bibliotekoznawczej. Przyczynili się do niej wybitni bibliotekarze, tacy jak: H. Radlińska, W. Dąbrowska, J. Muszkowski, M. des Loges, A. Birkenmajer, K. Piekarski, M. Łodyński, S. Rygiel, J. Grycz, St. Vrtel-Wierczyński i oczywiście A. Łysakowski. Ten ostatni był najmłodszym (28 lat) dyrektorem Biblioteki Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. To był zespół, który swoją wiedzą teoretyczną i praktyczną znacznie wyprzedzał aktualną sytuację organizacyjną w bibliotekarstwie. Udział tych osób w pracach międzynarodowych stowarzyszeń bibliotekarskich (IFLA, FID), liczne kontakty z bibliotekoznawcami zagranicznymi umożliwiały im widzenie spraw bibliotecznych w szerokiej perspektywie porównawczej. Rzecz ciekawa, że integracja bibliotek różnych sieci – naukowych, publicznych, specjalnych – dla sprawnej obsługi najszerzszych kręgów czytelniczych znajdowała licznych zwolenników wśród bibliotekarzy naukowych. Jako przykład może posłużyć koncepcja J. Grycza, postulująca upublicznienie bibliotek uniwersyteckich. Przecież nie na posiadaniu i przechowywaniu, lecz na udostępnianiu czytelnikom zasobów bibliotecznych polega w ogóle sens istnienia księgozbiorów – pisał w jednym z artykułów³.

Drugim ważnym elementem wpływającym na rozwój naukowych aspektów bibliotekarstwa było powołanie w 1927 r. czasopisma naukowego „Przegląd Biblioteczny”. Jak w każdej innej tworzącej się nauce, odegrało ono ważną rolę, nie tylko jako punkt odniesienia dla

² G. Wrona: *Polskie czasopisma naukowe*. Kraków 2005.

³ J. Grycz: *Zasady organizacji bibliotek naukowych w Polsce*. W: *IV Zjazd Bibliotekarzy Polskich w Warszawie*. Warszawa 1936, s. 38.

bibliotekarzy praktyków takich jak: J. Filipkowska-Szemplińska, J. Augustyniak, Z. Rodziewicz, Z. Hryniewicz i inni. To był okres, w którym elita zawodowa kształtowała poziom naukowy i organizacyjny całego bibliotekarstwa polskiego. Trzeba było nie lada odwagi, by kwestionować opinie i poglądy tej grupy.

Począwszy od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku bibliotekarze traktowali informację jako główny element nowoczesności prowadzący do postępu. Zachęcały do tych działań tworzone przez organizacje międzynarodowe systemy informacyjne takie jak: Uniwersalna Rejestracja Bibliograficzna (Universal Bibliographic Control – UBC), System MARC (Machine Readable Cataloging) i katalogowanie korporatywne. Projekt ten, opracowany przez Bibliotekę Kongresu USA, zakładał współpracę z wielkimi bibliotekami po to, by uzyskać możliwie najpełniejszą informację o światowej produkcji wydawniczej; jedną z form tego systemu było katalogowanie wspólne, kooperatywne (*shared cataloging*). Drugim po UBC programem światowym był Powszechny Dostęp do Publikacji (Universal Availability of Publication – UAP). Jego głównym celem było umożliwienie dostępu do wszystkich publikacji potencjalnym użytkownikom, niezależnie od miejsca ich pobytu. Twórcy systemu UAP wychodzili ze słusznego założenia, że nawet najsprawniej działająca rejestracja bibliograficzna, czy to w skali krajowej, czy międzynarodowej traci na znaczeniu, jeżeli użytkownicy nie mogą uzyskać dostępu do publikacji. Barrier było wówczas sporo, a niektóre nie znikły do dziś.

Pierwszą i główną barierą była przestrzeń, w której mieściły się: organizacyjno-techniczny system rozpowszechniania dokumentów (ruch wydawniczy, sieć sprzedaży książek i czasopism, gęstość sieci bibliotecznej, zasobność zbiorów, sprawność sieci komunikacyjnej i łączności).

Drugą – była niewątpliwie cenzura, obejmująca zarówno sferę wydawniczą, jak i bibliotekarską. Efekty jej działania są widoczne do dziś. We współczesnych pracach magisterskich dotyczących zwłaszcza czytelnictwa, ale i zawartości zbiorów, są nieobecne całe obszary historyczne a w nich takie instytucje wydawnicze jak „Kultura” paryska oraz długa lista nazwisk pisarzy polskich tworzą-

cych na emigracji: Jerzy Giedroyc, Julian Mieroszewski, Konstanty Aleksander Jeleński, Józef Czapski, Aleksander Watt, Mieczysław Grydzewski, Andrzej Bobkowski i wielu innych. Gdyby Melchior Wańkowicz nie wrócił do kraju, spotkałby go podobny los.

Cenzurę wspierała chaotyczna i niekonsekwentna zasada gromadzenia zbiorów. I nie tylko ze względów na podporządkowanie zasadom ideologicznym. Bibliotekarze zapatrzeni w strukturalne wskaźniki zbiorów zapomnieli, że w wiedzy o literaturze liczy się ciągłość. Usuwano więc niektóre publikacje albo na zasadzie nakazów władz partyjnych, albo w przeświadczeniu, że są one przestarzałe. Działania takie objęły również literaturę bibliotekarską. W efekcie próżno dziś szukać nawet w większych bibliotekach publicznych takich podstawowych wydawnictw, jak: J. Muszkowskiego *Życie książki*, J. Grycza *Książka i biblioteki w zarysie*, katalogu *Książki dla bibliotek*, J. Ankudowicza *Książka w kulturze uprzemysławianego ośrodka lokalnego*, *Raportu o stanie bibliotek polskich*, *Programu rozwoju bibliotek polskich do 1990 r.* itp. Nawet tak podstawowych źródeł statystycznych, jak „Biblioteki Publiczne w Liczbach” oraz „Ruchu Wydawniczego w Liczbach” próżno szukać. Efekty zaniedbań i braku perspektywicznego myślenia o bibliotekarstwie powoduje, że we wstępach do prac magisterskich dowiadujemy się więcej o neolicie, wczesnośredniowiecznych zamkach i gleboznawstwie, przepiśnianych żywcom z lokalnych przewodników, niż o tym co działo się w bibliotekach 30 albo 20 lat temu. Dotyczy to zwłaszcza okresu transformacji, który rzadko bywa rzetelnie i krytycznie opisany.

Słaba znajomość polskich realiów społecznych, politycznych, gospodarczych i kulturalnych powoduje, że studiujący najczęściej odwołują się do doświadczeń zagranicznych, operując pojęciami odległymi od rodzimych doświadczeń. Najczęściej pisze się o społeczeństwie informacyjnym, społeczeństwie wiedzy, rzadziej o społeczeństwie obywatelskim i ani słowa o społeczeństwie konsumpcyjnym, widocznym gołym okiem i doświadczanym przez większość.

O ile społeczeństwo informacyjne i społeczeństwo wiedzy kojarzą się z przyszłością, to społeczeństwo konsumpcyjne należy niewątpliwie do terażniejszości. Sam termin, kiedy pojawił się na naszym gruncie u progu lat dziewięćdziesiątych, budził zasadnicze wąpli-

wości. No, bo o jakiej to konsumpcji mogła być mowa w społeczeństwie gruntownie wyposzczonym od wszelkich rzeczy: od butów poczynając, garnków, telewizorów, poprzez pralki, lodówki, samochody, na kawie i papierze toaletowym kończąc. Trwająca prawie pół wieku gospodarka niedoborów musiała odcisnąć piętno zarówno na jednostce, jak i na całych grupach społecznych. Wolny rynek sprawił w krótkim czasie, że zapełniły się półki sklepowe, handlowano na ulicach, na każdym skrawku, gdzie dało się postawić polowe łóżko albo postawić tzw. szczęki i rozłożyć na nim towar. Miałam nawet za złe burmistrzowi Śródmieścia Warszawy, że w pewnym momencie kazał cały ten handel zepchnąć z ulicy Marszałkowskiej. I wnet zaczęły powstawać hipermarkety i liczne targowiska ze Stadionem Dziesięciolecia na czele. W telewizji zaroilo się od reklam proszków do prania, dezodorantów, słodyczy. Niektórzy zzymali się na ten zalew, ale byli i tacy, którzy dostrzegali jego pozytywy. Z różnych sondaży wynikało, że wzrosło zużycie mydła (zwłaszcza na wsi) a dezodoranty stały się powszedniością. I tak oto w krótkim czasie weszliśmy w świat konsumpcji – w kraju ubogim, o niedoinwestowanej infrastrukturze mieszkaniowej, drogowej, telefonicznej i wszelakiej.

Bardzo szybko okazało się, że komercja to nie tylko świetnie zaopatrzone sklepy, ale i reklama w telewizji, a również zmiany w przestrzeni publicznej. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać zamknięte, ogrodzone osiedla, zarówno w centrum stolicy jak i na jego obrzeżach. Pojawiła się armia deweloperów, która zastąpiła dawnych pośredników mieszkaniowych, każde wolne miejsce wypełniły reklamy, billboardy, na ulicach zaczęto kolportować darmowe gazety. Multikina wchłonęły te małe, do których byliśmy przyzwyczajeni, pojawiły się domofony, kraty w oknach, a wszystko to umożliwiło odgrożdzenie się od świata zewnętrznego. Mieszkańcy bloków zaczęli pozbywać się starych mebli, wymieniano okna i drzwi, śmietniki przestały być otwarte. Przed domami zasadzono drzewa, kwiaty. Polacy szybko przesiedli się z małych fiatów do prawdziwych samochodów, z klatek schodowych znikły imienne spisy lokatorów. Nasze kontakty z sąsiadami były zawsze nikłe, ale teraz nie wiemy o sobie nic. Skurczyła się przestrzeń publiczna, z której każdy mógł korzystać. Część podwórka ogrodzono, wyposażono

w huśtawki, piaskownice i matki wchodzą tam na kartę magnetyczną. Mogłoby się wydawać, że po zaspokojeniu naszych materialnych potrzeb będziemy mogli przejść do realizowania naszych potrzeb intelektualnych, duchowych. Tak się jednak nie stało. Między innymi dlatego, że jak twierdzi Zygmunt Bauman „Społeczeństwo konsumpcyjne potrafi utrzymywać konsumentów w stanie permanentnego niezaspokojenia. Jednym ze sposobów osiągnięcia takiego efektu jest dezawuowanie i deprecjonowanie produktów konsumpcyjnych, wkrótce po wprowadzeniu ich na orbitę konsumenckich pragnień”⁴. Dziś proszek vizir, jutro omo, pojutrze...

Znaczącą częścią tej konsumenckiej zbiorowości stanowią dzieci. Są one aktorami i jednocześnie odbiorcami reklamy. W telewizji powtarzana jest scena: w supermarkecie, gdzie mama pcha wózek z zakupami a córeczka, na oko siedmioletnia, wybiera z półek, to co, jak się jej wydaje jej konieczne, by do niego włożyć. Reklama steruje pragnieniami dorosłych i dzieci. Sześciolatka zapytana, co chciałaby dostać jako prezent na I komunię świętą odpowiada bez wahania, że laptopa. I pewnie dostanie, bo nacisk reklamy urządzeń elektronicznych jest niezwykle silny – podobnie jak sugestywne są reklamy mody, nie tylko odzieżowej, ale związanej z wyposażeniem wnętrz mieszkalnych, domów na działce, muzyką rozrywkową, spędzaniem urlopu.

Reklama wywiera dziś wpływ na kontakty międzyludzkie, na życie rodzinne. Domy towarowe są dziś przestrzenią, gdzie robi się nie tylko zakupy, ale zjada w gronie rodzinnym obiad, idzie do kina, uczestniczy w pokazach mody, konkursach itp. Ubolewanie, że dzieci już od najmłodszych lat są konsumentami, że znają się na markowych wyrobach lepiej niż rodzice, że konkurują między sobą wiedzą na temat zakupów – jest hipokryzją, bowiem rodzice są zadowoleni z przystosowania dzieci do przyszłego życia w społeczeństwie konsumpcyjnym.

Jak się ma społeczeństwo konsumpcyjne do informacji? Wydaje się, że jest ona jego integralną częścią. Nie da się oddzielić informacji od reklamy. Zwłaszcza tej jej części, która posługuje się opiniami ekspertów, lekarzy, dentystów, bankowców, pośredników

⁴ Z. Bauman: *Płynne życie*. Kraków 2007, s. 126.

itp. Reklama w środkach masowego przekazu podpira się opiniami osób, które mają wiedzę o danym produkcie, a przynajmniej robią takie wrażenie. Wiedza kojarzy się głównie z wykształceniem, choć nie jest to regułą. Wiedza może mieć charakter intelektualny i dotyczyć poznania otaczającego nas świata, ale może być praktyczna i określać czas potrzebny do ugotowania jajka na miękko. Sam termin „wiedza” jest nadużywany. Najczęściej mylona jest wiedza z informacją i to najprostszą. Czasami bywa nawet śmiesznie, gdy ktoś oświadcza, że „nie ma wiedzy, o której godzinie miał spotkanie z przyjaciółmi”.

Spółeczny zasięg książki

Sprawozdania statystyczne oraz wyniki badań czytelnictwa dowodzą, że biblioteki publiczne obejmują swoimi wpływami około 20% ogółu społeczeństwa. Jeżeli, przyjmiemy, że przynajmniej połowa obywateli naszego kraju nie bierze w ciągu roku książki do ręki, jeszcze mniej kupuje książki na własność (około 1/3), to można się pocieszać, że znaczenie bibliotek w udostępnianiu książki nie jest małe. Pod tym wszakże warunkiem docenimy ten stan, że nie będziemy porównywać tych wyników z innymi krajami europejskimi. Według danych z badań nad zasięgiem książki, prowadzonymi systematycznie co dwa lata przez Instytut Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej, w 2006 r. tylko co trzeci Polak wydał na książki jakąś kwotę.

W bibliotece jak w soczewce kumulują się zmiany występujące w różnych dziedzinach życia: w kulturze, w oświacie, w polityce, w gospodarce i w wielu innych.

Jeżeli chcemy rozpatrywać bibliotekę w jej bliższym i dalszym kontekście społecznym, wypada zastanowić się, z czego te konteksty są złożone. Do tego bliższego wypada zaliczyć wszystko to, co wiąże się z produkcją słowa drukowanego. Nie jest to tylko książka, ale również prasa, reklama, do której wypada zaliczyć drukowane katalogi wydawnicze, pisma klubowe, e-maile, informacje internetowe itp., również prasę tabloidową. To, co stoi na bibliotecznym półkach i leży na czytelnianych stołach, ilustruje współczesny ruch wydawniczy zarówno czasopiśmienniczy jak i książkowy.

O wiele częściej wypowiedane są obawy, że bardziej jest zagrożone czasopiśmiennictwo, i to na całym świecie. Według przepowiedni amerykańskich prasoznawców likwidacja dzienników może nastąpić w 2043 r., a wiele wskazuje na to, że może to nastąpić znacznie wcześniej. Zadłużone po uszy są czołowe dzienniki ame-

rykańskie jak „The News York Times”, „The Chicago Tribune”, „The Los Angeles Times”, „The Washington Post” i inne. Nie lepiej wiedzie się francuskiemu „Le Monde”, angielskiemu „The Independent” i „The Evening Standard”. W Polsce dzieje się podobnie. Spadek nakładu spowodował w 2009 r. zawieszenie druku „Trybuny”. Nawet tak stabilna „Gazeta Wyborcza” planuje zwolnienia grupowe. Czytelnictwo prasy codziennej rośnie już tylko w krajach rozwijających się, głównie w Azji. Ze 100 najlepiej sprzedających się dzienników na świecie 74 to tytuły azjatyckie, przy czym trzy pierwsze należą do Japonii. Sami Japończycy kupują codziennie 68 mln gazet – dla porównania w całej Europie sprzedaje się łącznie 90 mln egzemplarzy¹. W Polsce spadek zainteresowania kupowaniem codziennych gazet i tygodników jest odnotowywany od kilku lat. Najbardziej poszkodowanymi okazali się ludzie starsi, dla których gazeta i tygodnik w bibliotece były po prostu dostępne. Sfera gazetowych informacji przenosi się do Internetu, który daje odbiorcy możliwości samodzielnego wyboru informacji, raczej młodszym niż starszym generacjom.

Internet staje się coraz powszechniejszą praktyką w dydaktyce. Student, który chce zastąpić lektury książkowe i czasopiśmiennicze informacjami internetowymi, operuje skrótami niewiadomego pochodzenia, uproszczeniami i stereotypami, nie próbuje nawet krytycznie ocenić zebranego materiału, który jest często daleki od wiarygodności. Dla wielu, zwłaszcza po wiejskich szkołach średnich, to co znajdują w Internecie jest wiarygodne, na równi z wiedzą książkową lub – inaczej – drukowaną i papierową.

Łukasz Gołębiowski, entuzjasta elektronicznej przyszłości, pisze o młodym pokoleniu – „...które szuka wiedzy w Google, a nie w encyklopedii PWN [...] które swobodnie przekleja do własnych prac fragmenty cudzych tekstów [...] przywykłe do byle jak opracowanych treści, z premedytacją łamiące w komunikacji między sobą zasady ortografii i interpunkcji”². Trudno się z autorem nie zgodzić. Biblioteki publiczne nie są w stanie zapewnić dostępu do prasy, ponieważ od kilku lat musiały zredukować środki na jej zakupy.

¹ W. Smoczyński: *Ile kto czyta?* „Polityka” 2009, nr 6.

² Ł. Gołębiowski: *Śmierć książki*. Warszawa 2008, s. 15.

Czytałam byle jakie prace magisterskie, kompilacje podszyte nieuctwem i zastanawiałam się nad przyszłością absolwentów nawet renomowanych uczelni wyższych. Rzecz nie tylko w bezkrytycznym posługiwaniu się nowymi technologiami, ale również w coraz słabszych umiejętnościach językowych, uboższym zasobie wiedzy historycznej, literackiej oraz w zakresie sztuki, jednym słowem w całej tej dziedzinie charakteryzującej człowieka wyedukowanego. Śmierć książki lub inaczej braki w odcytaniu, zwłaszcza w literaturze klasycznej uniemożliwia rozumienie sztuki teatralnej, poezji, muzyki, malarstwa, architektury, jednym słowem całego obszaru kultury i spychanie jednostki w sferę analfabetyzmu. A przecież sprawdzono już po wielokroć, że małe dzieci dwu- i trzyletnie, którym nikt nie opowiadał ani nie czytał bajek, mają ubogi zasób słów i pojęć, trudności w nauce, a w dorosłym życiu kłopoty w porozumiewaniu się z innymi ludźmi. Za pomocą laptopa nie wyrówna się tych braków.

Gwoli sprawiedliwości warto przypomnieć, że korzystanie ze skrótów, omówień, tzw. bryków przez uczniów i studentów nie jest dzisiejszym wynalazkiem. Próby ominięcia lektur występowały dawniej. Dotyczyło to zwłaszcza szkolnego kanonu literackiego. W okresie międzywojennym były nawet wydawnictwa publikujące streszczenia poszczególnych tytułów, wykorzystywane przez uczniów. W dzisiejszych czasach rolę takiego streszczenia przejmuje często ekranizacja poszczególnych utworów. *Wesele*, *Popioły*, *Przedwiośnie* i inne są poznawane dzięki filmom. Podawanie obfitych bibliografii przedmiotu w pracach licencjackich i magisterskich nie oznacza, że poszczególne książki były choćby przeglądane.

Likwidacja bibliotek publicznych nie jest równoznaczna jedynie z niemożnością wypożyczenia książki. To również likwidacja miejsca spotkań społeczności lokalnej, czynnego uczestnictwa w przedstawieniu teatralnym, wieczorze poezji, udziału w dyskusji z autorem książki, samorządowcem, politykiem, to okazja do poczucia się obywatelem i publicznego dania temu wyrazu. Skandynawowie określili bibliotekę jako miejsce spotkań: międzypokoleniowych, międzykulturowych i religijnych. Celem jest wzajemne poznanie, akceptowanie inności i w efekcie tolerancja.

Dla wydawców jest sprawą podstawową, czego czytelnicy szukają na bibliotecznych półkach, jakie są ich wybory i preferencje. Mało kto sięgnie po książkę oprawną w szary papier i plastikową okładkę. A jeżeli nawet weźmie ją do ręki, to szybko odłoży z powrotem. Liczą się książki nowe, ciekawe, reprezentujące wysoki poziom estetyczny. Bywa, że nawet czarno-biała fotografia, byle skomponowana z tekstem, ma duże znaczenie. Jako przykład może posłużyć wydana ostatnio książka Marii Tarnowskiej *Przyszłość pokaże... Wspomnienia*³ oraz Orlanda Figesa *Szepty. Życie w stalinowskiej Rosji*⁴. W obu tych książkach fotografie stanowią znakomitą ilustrację. A jest to przecież tylko tradycyjna fotografia. Nie dziwi przeto zainteresowanie środowiska wydawniczego wynikami badań czytelnictwa, coraz częstsze kontakty ze środowiskiem badaczy i coraz intensywniejszy przepływ informacji międzyśrodkowiskowych.

Integralną częścią rynku wydawniczego jest księgarnia. To druga po bibliotece instytucja umożliwiająca dostęp do książki, zwłaszcza w miastach. Niestety, według informacji zawartych w książce Bogdana Klukowskiego⁵ maleje liczba księgarń i zmniejsza się w nich zatrudnienie. Według Ł. Gołębińskiego w Polsce jest około 2500 księgarń, które zatrudniają łącznie ponad 6500 wykwalifikowanych pracowników⁶. Podobnie jest z hurtowniami książek. W 1999 r. było ich 500, a w 2000 r. już tylko 329.

W przeciwieństwie do bibliotek publicznych, od lat obserwowanych i opisywanych w roczniku „Biblioteki Publiczne w Liczbach”, księgarstwo nie ma podobnego źródła informacji. Musimy więc przyjąć za Bogdanem Klukowskim, że postępująca koncentracja własności i kapitału nie dają szans małym księgarniom. W małym mieście, a zwłaszcza na wsi nie są one w stanie utrzymać się na rynku, mimo iż walcząc o przetrwanie oferują klientom zabawki, materiały szkolne, środki czystości a nawet kosmetyki.

Związki rynku wydawniczego, księgarstwa i bibliotekarstwa są wyraźne. Wspólnym gruntem jest społeczny obieg książki lub – inaczej – słowa drukowanego, a specyfiką udział w całokształcie gospo-

³ M. Tarnowska: *Przyszłość pokaże... Wspomnienia*. Łomianki 2008.

⁴ O. Figes: *Szepty. Życie w stalinowskiej Rosji*. Warszawa 2007.

⁵ B. Klukowski: *Księgarstwo i zawód księgarza w Polsce*. Warszawa 2008.

⁶ Ł. Gołębiński: *Śmierć książki*. Warszawa 2008, s. 94, 96.

darki, ze szczególnym uwzględnieniem podaży i popytu. Dotyczy to głównie księgarń i wydawnictw. O ile biblioteka publiczna – jest i pewnie tak zostanie – instytucją „non profit”, to księgarnia, będąc częścią rynku, musi uwzględniać typowe dla niego reguły. Jako instytucja handlowa jest – podobnie jak inne – powiązana ze strukturą społeczną i zmianami zachodzącymi w polityce, oświacie, w stanie zamożności obywateli. Jest to o tyle ważne, że nasze wydatki na kulturę w gospodarstwie domowym są niskie (4,1%), gdy w Danii stanowią one 5,8%, Szwecji 5,6%, Niemczech 5,4%, Norwegii 5,2%. Po nas są tylko Łotwa (4,0%), Litwa (2,7%), Cypr (2,6%).

Podobnie jak w przypadku bibliotek publicznych, ważną rolę odgrywają samorządy lokalne, wyznaczające strategię gospodarowania przestrzennego w środowiskach miejskich i wiejskich. Casus Opola, w którym banki zajęły całą śródmiejską przestrzeń, pozostawiając jedną księgarnię, stanowi znakomitą ilustrację tego zjawiska⁷. Konia z rzędem temu, kto znajdzie plan zagospodarowania przestrzennego metropolii, miasta średniej wielkości, o małym mieście i wsi nie wspominając, w którym przewidywano by miejsce dla biblioteki publicznej. Usytuowanie bibliotek jest przypadkowe, zależne od tego, gdzie znajdzie się miejsce w postaci wolnego lokalu. Wygody użytkowników nikt nie bierze pod uwagę.

Wspólną cechą biblioteki i księgarni jest przestrzenna dostępność. I jedna, i druga muszą być w zasięgu ręki. Mimo rozwiniętej motoryzacji na wsi, do biblioteki dociera się przeważnie na piechotę, bywa że na rowerze. W mieście bywa różnie: i pieszo, i środkami komunikacji publicznej. Według wyników badań, wykonanych w Instytucie Książki i Czytelnictwa, w latach sześćdziesiątych odległość, którą na wsi muszą pokonać czytelnicy, nie może być większa niż trzy kilometry, w Warszawie trzy czwarte kilometra. Jeżeli drogę do biblioteki trzeba pokonać, przechodząc przez jezdnię (nawet przy światłach), rodzice niechętnie pozwalają na to przejście dzieciom. Toteż organizatorzy sieci bibliotek publicznych w latach II Rzeczypospolitej planowali ją gęsto i zasada ta funkcjonuje do dziś i to w krajach znacznie od nas bogatszych. W Norwegii, kraju o wy-

⁷ D. Wodecka: *Miasto stu banków i jednej księgarni*. „Gazeta Wyborcza” 2008, nr 165.

sokim wskaźniku czytelnictwa, najnowsza ustawa o bibliotekach publicznych przewiduje, że czytelnik nie może mieć do biblioteki dalej niż dwa kilometry. W Polsce sieć bibliotek publicznych ulega systematycznej redukcji. W 1989 r. liczyła ona 10 313 placówek a w 2007 r. – 8489. Ubytki sięgnęły 17,7%. Ta redukcja przebiega dość systematycznie. Co roku ubywa kilkadziesiąt bibliotek publicznych, z tego najwięcej na wsi, gdzie liczą one 2/3 ogólnego stanu w Polsce.

Wszelkie argumenty, że zamykane są placówki słabe, źle zaopatrzone w książki, nieskomputeryzowane, prowadzone przez niedokształconego bibliotekarza, inaczej prezentują się w świetle statystyki ogólnokrajowej, a inaczej w przypadku pojedynczej gminy. Od kilku lat w pracach magisterskich można przeczytać, że zamknięcie jednej lub dwu filii w gminie powoduje spadek czytelnictwa o kilka, a nawet kilkanaście procent. Konsekwencje tych pochopnych, nieprzemyślanych działań są fatalne dla rozwoju czytelnictwa. Rok 2004 był ostatnim, w którym nie odnotowano spadku liczby czytelników, w 2007 r. odnotowano już o 11% mniej (w bibliotekach miejskich 12%, w wiejskich o 8,9%).

Można się oczywiście pocieszać, że to rezultat zmian demograficznych, emigracji zarobkowej, starzenia się społeczeństwa, ekspansji Internetu, obniżenia się poziomu nauczania czytania i pisanie w pierwszych latach nauki w szkole podstawowej, ale każdy z tych powodów można zakwestionować. Najmniej przekonujące jest obwinianie za wszystko użytkowników Internetu, między innymi dlatego, że wyniki badań czytelnictwa, głównie nad zasięgiem książki nie potwierdzają tego zjawiska. Odwrotnie, okazuje się, że internauci są aktywni czytelniczo, a ci, którzy z Internetu nie korzystają, nie kwapią się do książki. Z Internetu korzystają ludzie młodzi, starsze pokolenie z niego nie korzysta i deklaruje, że w przyszłości nie ma zamiaru. Starsze pokolenie ma swoje nawyki i opcje, między innymi polityczne. Ktoś, kto czyta „Gazetę Wyborczą”, „Nasz Dziennik” czy „Gazetę Polską”, albo w przypadku kobiet tygodniki tabloidowe: „Naj”, „Girl”, „Bravo”, „Super Express” czy „Przegląd Sportowy”, nie zrezygnuje z tych lektur na rzecz Internetu, nawet przy dużych zachętach propagandowych. Zastrzeżenia moje do książki Łukasza Gołębińskiego dotyczą głównie nieuwzględniania

zarówno struktury społecznej, jak i zachodzących w niej zmian. Nie ma dostatecznych dowodów na to, że media drukowane i elektroniczne są wobec siebie opozycyjne. Podobnie dzieje się wobec kultury oralnej, której przecież nie zastąpił druk. W kulturze liczy się ciągłość oraz nakładające się tradycje następujących po sobie pokoleń. W Kanadzie w 2005 r. dostęp do Internetu miało 70% ogółu społeczeństwa, a po książki sięgało 80%. W krajach skandynawskich, mających najwyższe wskaźniki czytelnictwa w świecie, dostęp do Internetu ma połowa gospodarstw domowych. Tam, gdzie poziom czytelnictwa jest niski (Hiszpania, Portugalia, Grecja, Węgry, Czechy i Słowacja), wykorzystanie Internetu też nie jest imponujące.

W 2006 r. z Internetu korzystało w Polsce 36% mieszkańców powyżej 15 roku życia. Medium to jest bardziej preferowane przez mężczyzn (40%) niż przez kobiety (31%). Korzystają z niego głównie ludzie młodzi (15-19 lat), bo aż 71%. W starszych grupach wiekowych wskaźniki użytkowania są coraz niższe. Wśród osób w wieku 60 lat i więcej użytkownicy Internetu stanowią jedynie 2%.

Dla wydawców, księgarzy ważne jest to, że Internet (po księgarniach i klubach książki) stał się głównym źródłem zakupów książek. W 2006 r. wskazało na niego już 10% nabywców książki. Dla wydawców ważne jest również, jakimi środkami finansowymi dysponują biblioteki publiczne na zakupy nowości wydawniczych. Dla czytelnika liczą się wydawnictwa, o których głośno w telewizji, prasie, w mniejszym stopniu w radiu. Przyjęło się określać wskaźnik zakupu, licząc ilości książek na 100 mieszkańców. W naszych warunkach nie jest on imponujący. W 2003 r. osiągnęliśmy dno: 5,1 książki na 100 mieszkańców. Dzięki corocznej dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, kształtującej się około 30 mln złotych, począwszy od 2004 r. sytuacja się nieco poprawiła, osiągając w 2007 r. 9,5 książki na 100 mieszkańców, ale w 2009 r. subwencja ministerialna została ograniczona do 10 mln zł. Tymczasem właśnie Ministerstwo Kultury i Sztuki w 1980 r. przyjęło normę 18 książek/100 mieszkańców. Jest to 1/3 normy przyjętej przez International Federation of Library Association (IFLA).

W normach międzynarodowych zakłada się, że im mniejsza społeczność lokalna, głównie wiejska, tym więcej nowych książek powinno się kupować. Autorzy norm wychodzili ze słusznego założe-

nia, że w małych miejscowościach biblioteka publiczna jest głównym źródłem dostępu do książek. W dużych miastach jest więcej bibliotek, księgarni, klubów, więc i o książki jest łatwiej. W naszych warunkach przy rozdziale ministerialnej dotacji starano się tę zasadę stosować.

Pesymista może stwierdzić, że wobec czającego się bezrobocia i innych plag zakupy nowości są sprawą wręcz bagatelną. Nie wydaje się jednak by tak było. Dowodzą tego doświadczenia innych krajów.

Pedagogika amerykańska żyje głównie problemami uczenia czytania, pisania, krytycznego myślenia wśród uczniów szkoły podstawowej, głównie trzech pierwszych lat nauczania. To jest okres, w którym decyduje się przyszłość ucznia zarówno w odniesieniu do dalszego kształcenia, jak i perspektyw zdobycia kwalifikacji zawodowych. Dotyczy to przede wszystkim opanowania „Language Arts” – sztuki językowej. W odniesieniu do imigrantów jest to również problem polityczny. Od sprawności językowej zależy proces integracji społecznej, głównie na poziomie lokalnym, co się określa jako uobywatelnienie (*citizenship*). W polu zainteresowania znalazła się szkoła. „Szkoła głupcze” to było pierwsze hasło prezydenta Busha juniora po objęciu władzy, gdy mu raportowano, że w całym kraju jest 1 mln analfabetów, a 40 mln ledwie sobie radzi z czytaniem, że rozkład jazdy na dworcu jest barierą trudną do pokonania.

Szkoła amerykańska zmagą się ze stosunkowo nowym zjawiskiem, jakim jest dwujęzyczność dzieci imigrantów. Dopóki chodziło o dzieci murzyńskie (afroamerykańskie), rzecz sprowadzała się do niedoinwestowania szkół w dzielnicach ubogich, ale nawet w osławionych slumsach dzieci wnoszą język angielski z domu rodzinnego. Był to kiepski język, ubogi, często ledwie zrozumiały – ale był. W mniejszościach latynoamerykańskich, zwłaszcza meksykańskich dzieci mówią dwoma językami: „mather language” w domu (przeważnie hiszpańskim) i tym oficjalnym – angielskim w szkole. Stąd problemy, jak uczyć, by nauczyć czytania i pisania po angielsku ze świadomością, że dzieci myślą po hiszpańsku, a świat przedstawiony w podręcznikach dalece odbiega od codziennego doświadczenia uczniów. Co zrobić, by świat w nich przedstawiony stał

się rozumiały i przyswajalny. W zespole problemów, przed którymi stoi pedagogika amerykańska (i nie tylko ona), mieści się zarówno technologia nauczania, jak i cała sfera historyczno-kulturowa. Symbole przyswojone w naturalny sposób przez dziecko amerykańskie w domu rodzinnym dzięki opowiadaniom, wspólnemu czytaniu, oglądaniu rodzinnych fotografii – dla dziecka meksykańskiego są niezrozumiałe, po prostu nic nie znaczą.

Nie inaczej dzieje się w krajach Europy Zachodniej, gdzie mieszka dzisiaj 14 mln imigrantów z innych kręgów cywilizacyjnych. Najliczniejsze społeczności są we Francji, Wielkiej Brytanii, Holandii, Niemczech. Znaczna część tych imigrantów to są już pokolenia urodzone w Europie, posiadające pełnię praw obywatelskich. Ale oprócz tej zasiedziałej grupy, każdego roku przybywają nowi, zróżnicowani pod względem religijnym, obyczajowym i językowym. Ich adaptacja przebiega w sposób wielce zróżnicowany i zależna jest zarówno od przestrzeni, w której się osiedlają, jak i możliwości zdobycia wykształcenia, zawodu i dobrze płatnej pracy⁸.

Frankofońskim Algierczykom emigrującym do Francji czy anglofońskim Pakistańczykom osiedlającym się w Wielkiej Brytanii łatwiej w nowych przestrzeniach społeczno-kulturowych niż np. Turkom w Belgii czy Marokańczykom w Holandii, nieznającym języków urzędowych państw przyjmujących imigrantów. Za główne rozwiązanie tych kłopotów uznaje się szkolne nauczanie. Ale sytuacja się komplikuje. Imigranci zasiedlają pewne dzielnice miasta, tworząc swoiste getta. W Brukseli, Londynie, Berlinie bywa, że w szkole 90% uczniów pochodzi z tej samej grupy etnicznej (marokańskiej, tureckiej, bengalskiej) i szanse przyswojenia sobie języka angielskiego lub niemieckiego czy francuskiego są praktycznie niewielkie. Zagospodarowanie przestrzenne wielkich metropolii nie sprzyja rejonizacji szkół po prostu dlatego, że ta przestrzeń dzieli się na tę, w której mieszkają zamożni i tę, którą zaludnia biedota.

Z pomocą szkole przychodzą biblioteki publiczne. W Londynie na obrzeżach tej metropolii biblioteki publiczne starają się, by do biblioteki przychodziły całe rodziny (nie tylko imigranckie), głównie

⁸ K. Pędziwiatr: *Od islamu imigrantów do islamu obywateli: muzułmanie w krajach Europy Zachodniej*. Kraków 2005, s. 18.

w soboty i niedziele. Głośne czytanie bajek, powiązane jest z nauką wymowy, recenzowanie książek z umiejętnością formułowania poprawnych zdań, wzbogacaniem słownictwa angielskiego. Wspólne redagowanie gazetek, informacji też zmierza do poprawiania umiejętności mówienia, czytania i pisania.

Imigracja imigracji nierówna. Dzieci polskie i tureckie, które chodzą do szkoły w Szwecji, dzieli przepaść. Kapitał kulturowy dzieci polskich wyniesiony z domu w postaci aktywności czytelniczej, intensywność korzystania z biblioteki publicznej, księgozbiory domowe, obecność prasy w domu itp. nie da się porównać z zainteresowaniami dzieci tureckich, które mnóstwo czasu spędzają na oglądaniu reklam telewizyjnych, niechętnie sięgając po książkę.

Dzieci cygańskie w Bułgarii bardzo często drzemią podczas lekcji, nie mają zaprawy w dłuższym słuchaniu czegokolwiek, mają trudności w skupieniu uwagi, co już daje edukacja przedszkolna i domu rodzinnego. Ale zmiany zachodzą: na Uniwersytecie Sofijskim jest już 2000 studentów cygańskich.

Na Słowacji wprowadzono po raz pierwszy specjalny program, który ma na celu przeprowadzenie dzieci cygańskich przez szkołę podstawową tak, by mogły uczyć się w szkole średniej zawodowej. Program ten zakłada indywidualną pracę nauczyciela z uczniem. Przy półmilionowej populacji cygańskiej na Słowacji jest to oczywiście kropla w morzu potrzeb, ale kierunek wydaje się sensowny. Od kilku lat toczy się tam dyskusja na temat kształcenia dzieci cygańskich. Ci, którzy sugerują konieczność opanowania języka słowackiego, stanowią większość. Instytucje europejskie sugerują jednak, by kształcić Cyganów z zachowaniem odrębności kulturowej. Słowacy przytomnie argumentują, że nie daje to szans na dalszą naukę i lepszą pracę. Cyganie – jeżeli pracują – to przy pracach najprostszych, nie wymagających kwalifikacji. W PGR-ach mieli pracę, budowali domy, dzieci chodziły do szkoły. Wszystko to należy do przeszłości. W pewnej miejscowości, gdzie mieszka 800 Cyganów, prawie wszyscy dorośli są bezrobotni, nie płacą komornego, odcięto im gaz i ogrzewanie. Wodę czerpią z jedynej studni w rynku. Odrębność obyczajowa polega między innymi na tym, że rodzina cygańska jest wielodzietna. Normą jest 7 dzieci, 12-letnia uczennica wychodzi za

mąż i rodzi pierwsze dziecko, przeważnie równocześnie ze swoją matką. Ale ludzie ci żyją na Słowacji od setek lat i mają prawo do tego życia, które dla wielu Słowaków jest po prostu egzotyczne.

O ubóstwie i jego wpływie na rozmiary uczestnictwa w kulturze, w tym również na czytelnictwo, mówi się coraz częściej. Ubóstwo trudno zmierzyć, bowiem o jego rozmiarach decyduje często samopoczucie jednostki i całych grup. Tak więc przyjmując jego obiektywne mierniki, wypada pamiętać, że często są one nieporównywalne. Inaczej rzecz ujmując, ubóstwo polskiego rolnika nie da się porównać z ubóstwem afgańskiego czy sudańskiego.

W praktyce społecznej stan ubóstwa nie da się zmierzyć tylko sumą pieniędzy przypadającą na głowę czy rodzinę, ale również całą infrastrukturą, na którą składa się miejsce zamieszkania, dzielnica, wyposażenie mieszkania, komunikacja, zagospodarowanie przestrzeni, w tym szkoły, boiska, miejsce zabaw dla dzieci, ośrodki zdrowia itp.

Według wyników badań podawanych przez Eurostat w Polsce 20-30% ogółu ludności żyje „na styk”. Oznacza to, że wystarcza im na życie, opłatę komornego i innych świadczeń, ale na kulturę, na książki nie wydają ani złotówki. Podobnie 17% grupa o dochodach niższych niż średnia krajowa. Biedą zagrożone jest co czwarte dziecko liczące nie więcej niż 17 lat. Jeżeli dodamy do tego 5,6 osób żyjących poniżej minimum egzystencji (bezdolni), to z tego prostego rachunku wynika, że potencjalni nabywcy książek stanowią nie więcej niż połowę ogółu społeczeństwa, chociaż pod względem zamożności nie jest to jednolita grupa. Wypada jednak zaznaczyć, że w tej liczącej prawie 50% ogółu społeczeństwa traktowanej jako niezamożna zachodzą zmiany, i to korzystne. Emigracja zarobkowa, inwestycje podejmowane w kraju, rozwój sfery usług powodują, że grupa ludzi żyjących „na styk” zmniejsza się. Poszczególne jednostki i całe grupy zawodowe przechodzą do tych lepiej sytuowanych. Dotyczy to nie tylko środowisk miejskich, ale również wiejskich

Ubóstwo utożsamiane jest najczęściej z wykluczeniem społecznym, czyli z ograniczeniem korzystania z dóbr, które powinny być dostępne wszystkim – w życiu gospodarczym, społecznym i obywatelskim. W Polsce tylko 33% badanych na tę okoliczność twier-

dzi, że zna to pojęcie. Jako przyczynę wykluczenia wskazujemy najczęściej bezrobocie, alkoholizm, narkomanię, właśnie ubóstwo i choroby psychiczne. Według badań 19% respondentów deklaruje, że bardzo się boi ubóstwa, 46% – że trochę, 65% – że jest już w takiej sytuacji, a 29% – że się nie boi.

W zależności od kraju i stanu jego zamożności przyjmowane są różne miary ubóstwa. W Stanach Zjednoczonych miarą jest dochód roczny przypadający na czteroosobową rodzinę⁹. W 2002 r. było to 18 400 dolarów, ale w praktyce duża część obywateli żyje za połowę tej sumy.

W Chorwacji miarą ubóstwa jest zasiłek społeczny. Ci, którzy go pobierają, stanowią coraz większą część populacji. W 2001 r. było to 310 254 osób, w 2002 r. – 333 743 osoby, a w 2003 r. – 356 467 osób.

W Polsce przyjmuje się, że granicą biedy jest 500 zł na osobę miesięcznie. Jest z tym rozmaicie: są rodziny żyjące na poziomie renty babci lub dziadka. Bywa, że nie wlicza się do osiągniętych dochodów uprawianego ogródka, hodowli drobnych zwierząt (królików, kur), dorywczych, nierejestrowanych prac, np. przy zbiorze owoców, naprawach budowlanych i innych.

Przeprowadzone w 2003 r. badania w Chorwacji miały na celu określenie aktywności czytelniczej rodzin pobierających zasiłek społeczny i będących w lepszej kondycji materialnej. Próba objęła 1900 osób. 92% stanowiły pełne rodziny, z dwojgiem dzieci, zatrudnieni stanowili 60,6%. Dominowały rodziny z dwojgiem dzieci (53,4%), z jednym dzieckiem (26,2%), z trojgiem dzieci (15,5%). 63,6% matek ukończyło szkołę średnią, 21,9% miało wykształcenie uniwersyteckie, 67,6% ojców ukończyło szkołę średnią, 21,9% posiadało wykształcenie uniwersyteckie: szkołę podstawową ukończyło 9% matek i 8,6% ojców. 44,9% pobierało zasiłki, najwięcej tam, gdzie oboje rodzice mieli wykształcenie podstawowe oraz tam, gdzie matka miała szkołę średnią, a ojciec podstawową¹⁰. Wśród rodziców pobierających zasiłki czytano kilka książek rocznie; ci,

⁹ *Jak skutecznie pomóc innym?* „Gazeta Wyborcza” 2009, nr 271.

¹⁰ *Research of Reading Invests and Information Needs of children und Young Adults*. Masz. powiel.

którzy w ogóle nie czytali, stanowili 22,5%, podobnie 4,1% nie czytało gazety. Ale 35,2% z zasiłkami czytało gazetę codziennie, 30,2% dwa albo trzy razy tygodniowo, 17% raz w miesiącu.

W Chorwacji biedni czytają rzadziej książki i prasę. Jedną z różnic jest to, że w rodzinach zamożniejszych ojcowie włączają się do lektur dzieci. Ma to duże znaczenie, ponieważ do tradycji należy czytanie dzieciom książek przez matki. One też najczęściej kupują dzieciom książki. Udział ojca w lekturze, w ogóle jego zainteresowanie książką podnosi prestiż czytania, czyni je ważnym. Wbrew potocznym opiniom udział dziadków w lekturach dzieci jest niewielki. W rodzinach biednych największą rolę odgrywa komputer, ale na pierwszym miejscu jest telewizja. W rodzinach zamożnych dominuje jednak czytelnictwo. Ludzie biedni czytają lub opowiadają dzieciom bajki raz lub dwa razy w tygodniu (45,6%), bogaci czynią to codziennie (40,5%). Dzieci ludzi bogatych rzadziej oglądają telewizję i więcej czytają. Biedni mają większe zbiory domowe niż bogaci, bogaci częściej korzystają z bibliotek publicznych (34,3%), biedni 20,7%.

Zarówno biedni, jak i bogaci uważają, że dla rozwoju dziecka ważne są: telewizja, dostęp do Internetu i czytanie książek.

Również biblioteki publiczne dla dzieci są częściej wykorzystywane przez dzieci z rodzin zamożnych (44%) niż ubogich (38%). Częstym argumentem usprawiedliwiającym nieuczęszczanie do biblioteki jest, że znajduje się ona zbyt daleko, lub że dzieci są zbyt małe, by pójść do niej samodzielnie. Po wojnie na Bałkanach biblioteki chorwackie organizowały specjalne programy terapeutyczne dla dzieci pochodzących z terenów objętych walkami.

Ubóstwo można rozpatrywać rozmaicie. Globalnie i indywidualnie. Najłatwiej jest w tym pierwszym aspekcie. Świat dzieli się na kraje bogate i biedne, ale wśród tych biednych są po prostu kraje nędzy: W Etiopii długość życia wynosi 49 lat, 30% dzieci jest poza szkołą. W tej sytuacji uniwersytety amerykańskie starają się przyjąć z pomocą w dziedzinie oświaty. Więc wybierają kilka szkół podstawowych, wysyłają tam nauczycieli języka angielskiego, opracowują podręczniki, produkują je najtańszym kosztem, a angielski traktują jako szansę dla upartych, jako szansę w życiu, nadzieję, że może uda

im się wyrwać z biedy. Takie uczenie małych Etiopczyków wymaga zainteresowania i współpracy z rodzicami, opracowania specjalnych programów, również całości konstrukcji podręcznika, łącznie z ilustracjami. To nie mogą być obrazki z życia miast amerykańskich, ale tego, co dzieciom jest znane. Ludzie, którzy podejmują te działania, są pełni dobrej woli i jakiegokolwiek podważanie sensu ich działania byłoby dla nich obrazą. Oni naprawdę się poświęcają.

Oczywiście, są to przypadki skrajne. Natomiast ubóstwo daje się dostrzec w różnych krajach, wcale niebiednych, w różnych regionach lub pojedynczych miastach czy na wsi. Coraz częściej mówi się przy różnych okazjach o ubóstwie wśród uczniów, a nawet studentów. Dotyczy to zaopatrzenia w podręczniki, książki, pomoce naukowe. Jest to delikatny problem i musi być traktowany z całą ostrożnością. Z pomocą mogą przyjść różne organizacje i towarzystwa, koła rodzicielskie. Udzielając pomocy, muszą one liczyć się z wrażliwością dzieci, ich obawą przed stygmatyzacją. Jest to problem stary jak świat i dotyczy wszelkiej pomocy, nie tylko podręcznikowej, ale również w innych zakresach. Powszechności piśmienności lub inaczej czytelnictwa nie można odłożyć do lepszych czasów, bowiem kolejne pokolenia muszą budować wartości intelektualne za każdym razem od nowa. Nie dziedziczy się zamiłowania do książek ani do czytania. Dopiero kumulacja wysiłków kilku generacji może przynieść zadowalające efekty.

Państwo – społeczeństwo – biblioteki

Postęp, modernizacja bibliotek widziane są przeważnie w perspektywie urządzeń elektronicznych. Podobnie ocenia się nakłady finansowe na działalność bibliotek. Jeżeli są pieniądze, komputery, dostęp do Internetu, to biblioteki powinny działać zgodnie z potrzebami społecznymi. W rzeczywistości powody dobrej kondycji bibliotek zależą od spraw rzadko wymienianych w monografiach i podręcznikach akademickich. Prawie nie bierze się pod uwagę strategii rozwoju wytyczonej przez struktury państwa, ani narzędzi, którymi się posługuje, realizując założone cele.

Najogólniej rzecz ujmując, mamy do czynienia z dwoma modelami państwa. Pierwszy stanowi państwo scentralizowane, etatystyczne, z gospodarką planową, kontrolujące i cenzurujące działalność społeczną, niedopuszczające do udziału w podejmowaniu decyzji nawet najmniejszych organizacji pozarządowych. Z takim autorytarnym państwem mieliśmy do czynienia przez pół wieku. Miało ono różne fazy, raz łagodniejsze, innym razem bardziej uciążliwe dla obywateli, ale zasada jego omnipotencji była cały czas utrzymana.

Drugi model, przy zachowaniu podstawowych struktur państwa: obronności, bezpieczeństwa obywateli, podatków, opieki zdrowotnej zakłada aktywny udział społeczeństwa w lokalnych organach samorządowych, zawodowych, stowarzyszeniach, partiach i innych. Społeczeństwo obywatelskie kształtuje się w grupach, lokalnie, tam gdzie ludzie łączą się, w określonych celach, żeby coś zbudować albo zorganizować: orkiestrę, zespół taneczny lub teatralny. Jest to cecha państwa demokratycznego. Państwo autorytarne nie ceni i nie wspiera udziału społeczeństwa obywatelskiego w rozwoju, stara się ograniczyć lub wręcz likwidować jego samodzielność.

Relikty takiej doktryny funkcjonują także w systemie demokracji liberalnej. Jest to jeden z powodów, dla których Polska zajmuje w międzynarodowym rankingu przedostatnie miejsce, gdy chodzi o aktywny udział Polaków w organizacjach i stowarzyszeniach pozarządowych, czyli w tym, co stanowi istotę społeczeństwa obywatelskiego. Odwykliśmy od społecznej aktywności. Jesteśmy, jak rzadko która zbiorowość, nieufni wobec bliźnich, sąsiadów, członków społeczności lokalnej. Nie wierzymy politykom, władzy, własnemu dyrektorowi i przełożonemu, a nasze poglądy stanowią zlepek stereotypów wyrażających niechęć do wszystkiego, co odmienne.

Ta inność dociera do nas z zewnątrz, spoza środowiska lokalnego. Tę odrębność poznajemy z książek, czasopism, radia, telewizji, a ostatnio Internetu. W kulturze oralnej uosabiała ją jednostka bywała w świecie. Na wsi był to bazar, ale równie dobrze mogła to być osoba wracająca z wojska (po 15 lub 25 latach służby w wojsku rosyjskim, krócej w niemieckim czy austriackim), wędrowiec bez stałego miejsca zamieszkania, kupiec handlujący drobiazgami albo Słowak z pułapkami na myszy lub drutujący garnki. To od nich ludzie dowiadywali się, że istnieje jakaś inna, szersza przestrzeń, ludzie mówiący innymi językami, wyznający inne religie i inne obyczaje. Te zewnętrzne treści były skromne i wyrwykowe, nie porządkowały wiedzy, ale powodowały jednak wyłom w dotychczasowym widzeniu świata w społeczności lokalnej.

Dopiero szersze upowszechnienie piśmienności poszerzyło zakres informacji o świecie, znanym jedynie z przekazów ustnych. Piśmienność przybliżyła problemy narodowe, społeczne, ideowe, polityczne, ale też dotyczące wielu praktycznych spraw z zakresu zdrowia, żywienia, opieki nad dzieckiem, nowoczesnych upraw i hodowli. Nie znaczy to, że wszystkie nowinki były akceptowane, ciekawość często naruszała tradycyjne poczucie tożsamości, choć bywało, że przełamywała widzenie bliższego i dalszego świata. Jego poznawaniu sprzyja demokracja. Według Neila Postmana nie „...jest ona ani rzeczą, ani procesem, ani ideą. Jest pojęciem, które ma za sobą karierę pełną wzlotów i upadków”¹.

Chciałoby się dodać, że demokracja była słowem nadużywanym

¹ N. Postaman: *W stronę XVIII stulecia*. Warszawa 2001, s. 148.

i to przez największych despotów. Ale niezależnie od tych niezgodnych z rzeczywistością określeń poczynawszy od XVIII wieku demokracja stała się z jednej strony celem, z drugiej marzeniem o tym, jak mogłoby być i jacy my mogliśmy być. I nie chodzi tu nawet o kardynalne zasady ustroju demokratycznego, w którym mieści się państwo prawa, powszechne wolne wybory pośrednie lub bezpośrednie, rządy większości z pełnym respektowaniem praw mniejszości, niezależność wymiaru sprawiedliwości itp. Warunkiem funkcjonowania demokracji jest przyjęcie przez jednostkę nie tylko przysługujących jej praw, ale też i powinności, które nie mogą się ograniczać jedynie do uczestnictwa w wyborach (choć jak nas pouczają rodzime doświadczenia, nie jest z tym najlepiej), ale wymaga zrozumienia i czynnego reagowania na zakłócenia porządku publicznego oraz uczestnictwa w rozwiązywaniu problemów dotyczących społeczności lokalnej, nawet tej najmniejszej.

Twierdzenie, że Polska jest krajem demokracji, gdzie tylko 8% ogółu obywateli uczestniczy aktywnie w życiu publicznym (gdy w Stanach Zjednoczonych stanowią oni 50%) świadczy o powszechnej niewiedzy, czym ten ustrój naprawdę jest. Konstytucja, ustawa zapewniająca obywatelom dostęp do informacji publicznej nie wypełnia braku uczestnictwa obywateli tam, gdzie zapadają decyzje o sprawach dotyczących ogółu, w skali lokalnej, regionalnej czy ogólnokrajowej. Brakuje nam miar i doświadczenia w tej dziedzinie, nie potrafimy tych zjawisk z niczym porównać, do niczego odnieść, bo wszystko to jest nowe i dalekie od historycznego doświadczenia. A przecież chcielibyśmy te rodzime, a i globalne, procesy jakoś kontrolować, przeciwdziałać narastaniu dysproporcji, wykluczeniu jednostek i całych grup społecznych, spychaniu ludzi na obrzeża rynku, skazywaniu ich na bezrobocie i wszystkie konsekwencje, jakie się z tym wiążą. Nie potrafimy udowodnić, że nie mają racji ci, którzy twierdzą, że poczynawszy od 1960 r. dystans pomiędzy najbogatszą i najbiedniejszą częścią mieszkańców naszego globu powiększył się dwukrotnie, że ci uczestniczący aktywnie w życiu, w dochodach i konsumpcji stanowią mniejszość, a większość poszukuje najniżej opłacanej pracy albo stara się o zasiłki, które może pozwolą przeżyć obywatelom o statusie drugiej kategorii.

O tym, że ludzie mają świadomość zagrożeń, świadczą ruchy protestacyjne w wielu krajach: w Pradze, Genui, Porto Allegre i ostatnio w Warszawie. Alterglobalistów – czy jak kto woli antyglobalistów – propaganda naszych mediów przedstawiła zgodnie z tytułem książki J. M. Coetzeeo *Czekając na barbarzyńców*². Nikt się nawet nie zająknął, o co protestującym ludziom chodzi, jaką mają wizję świata, może nie taką głupią, jak się to niektórym wydaje. Co zdrożnego jest w postulatach zachowania jakiegoś umiaru między bogactwem i biedą? Kilkunastoprocentowe bezrobocie w Polsce przekłada się nie tylko na ubóstwo niemogących znaleźć pracy, ale ich rodzin, a więc te procenty trzeba podwoić albo i potroić. Świadczą o tym starania, by dożywić w szkołach prawie milion dzieci i trzy razy tyle dorosłych, którym starają się dopomóc Caritas i inne organizacje społeczne. Kolejka po talerz gorącej zupy przed kościołem kapucynów na Miodowej wydłuża się. Przybywa też bezdomnych, którym trzeba zapewnić dach nad głową i miejsce do spania.

Dla ludzi zależnych od filantropii demokracja znaczy niewiele lub nic. „W Boliwii – pisze Fernando Savater – są Indianie, którzy mówią, że chcieliby powrócić do życia plemiennego – takie jakie prowadzili 800 lat temu. Boliwijski Indianin nie zna aspektów demokracji, zna za to świetnie jej gwałty i nadużycia”³.

Wolny rynek uwolnił nas od niedoboru właściwie wszystkiego: od pralki automatycznej poczynając po mięso, wędliny i papier toaletowy. Ale jednocześnie państwo przestało być jedynym pracodawcą. Działanie praw rynkowych otworzyło przed jednostką – w teoretycznym, albo nawet praktycznym sensie – możliwość wyboru pracy, nadało jej sens i dostarczyło satysfakcji moralnych i materialnych.

Wypada jednak pamiętać, że beneficjenci transformacji stanowią nie więcej niż jedną trzecią ogółu społeczeństwa. Jeszcze mniejszą grupę stanowią ci, dla których wolny wybór codziennej gazety, tygodnika, audycji radiowej czy telewizyjnej, spektaklu teatralnego i filmu, o książce nie wspominając, stanowi wartość, której nie za-

² J. M. Coetzee: *Czekając na barbarzyńców*. Kraków 2003.

³ F. Savater: *Demokracja na sprzedaż*. Rozm. przeprowadził Artur Domosławski. „Gazeta Wyborcza” 2004, nr 56.

mienia na nic innego. Dla przynajmniej połowy obywateli deregulacja rynku pracy, zatrudnianie na umowy-zlecenia i to na kilka miesięcy, nieterminowe wypłaty wynagrodzenia, wymuszanie dyspozycyjności i ciągła niepewność jutra, nieprzestrzeganie bezpieczeństwa i higieny pracy składają się na udrękę życia codziennego, utratę nadziei na lepsze jutro. Wypowiedzi młodych ludzi na łamach „Gazety Wyborczej” dotyczą głównie dylematu: szukać kariery w kraju, czy wyjechać za pracę dokądkolwiek, byle szybko.

Suma tych deklaracji jest przygnębiająca, zwłaszcza, gdy dotyczy to absolwentów szkół wyższych. Świat się uniwersalizuje. Jego symbolem staje się nie tylko przepływ kapitału, inwestycji, kultury popularnej, ale również swobodny przepływ ludzi.

Zagraniczne firmy przemieszczają się z jednego krańca świata w drugi, w poszukiwaniu miejsc, gdzie taniej i łatwiej o pracownika z niewielkimi wymaganiami zarobkowymi. W Polsce, przy stosunkowo niewielkiej mobilności przestrzennej ludzi pracy najemnej przeniesienie zakładu pracy ze stolicy do Rzeszowa może stanowić dylematy trudne lub niemożliwe do rozwiązania. Dotyczy to zwłaszcza ludzi w średnim wieku, chciałoby się powiedzieć osiadłych, mających rodziny, mieszkania i otoczenie, do którego przywykli.

Inna jest sytuacja ludzi młodych. Oni korzystają z możliwości i wyjeżdżają za pracę tam, gdzie spodziewają się ją znaleźć. O skali tego zjawiska informują dane statystyczne, choć nie są one zbyt dokładnie. Jeszcze trudniej przewidzieć ilu z nich wróci do kraju. Pisze się więc o milionie albo dwóch emigrantów, ale gołym okiem widać, jak wiele wsi na Warmii, Podlasiu i na Mazowszu po prostu opustoszała.

Jednym z mierników bycia obywatelem jest dostęp do informacji publicznej. Jest to niewątpliwie nowy rodzaj informacji obejmującej zarówno centralne struktury państwa jak i lokalne: administracyjne i samorządowe. Upowszechnia się ona powoli, a to z dwóch głównych powodów:

1. Braku sprawnych narzędzi, umożliwiających dostęp do różnego typu dokumentów, a zwłaszcza przekazywania pełnych tekstów: ustaw, rozporządzeń, zaleceń.

2. Niewiedzy przeciętnego obywatela, że ma prawo do pozyski-

wania tego typu informacji. Prawie przez pół wieku większość informacji dotyczących działalności struktur administracyjnych, gospodarczych, politycznych, ekologicznych oraz wielu dziedzin życia społecznego była bądź to utajniona, bądź z takich czy innych względów niedostępna.

Rozpoznanie na ten temat przeprowadzone w 2004 r. w Republice Słowacji nie nastraja optymistycznie. Prawie połowa obywateli Słowacji nie wiedziała, że w 2000 r. (podobnie jak w Polsce) wydano ustawę o swobodnym dostępie do informacji publicznej. Ci, którzy z niej korzystają, ograniczają się do najbliższych im urzędów gminnych, miejskich i powiatowych. Prawie połowa (48%) zgłaszała się po tego typu informacje osobiście, 27% pisemnie, 11% telefonicznie i tylko 7% za pośrednictwem poczty elektronicznej. Z informacji publicznej korzystali częściej ludzie wykształceni, młodzi, przedstawiciele wolnych zawodów⁴.

W Polsce w niektórych bibliotekach gminnych (olsztyńskie) miejscowy urząd administracyjny lub samorządowy informuje na stronach WWW o najnowszych uchwałach, zarządzeniach, godzinach otwarcia, dyżurach radnych itp. Informuje również o najbliższych posiedzeniach samorządu, w których mieszkańcy mogą brać udział.

Państwo autorytarne utrzymało w każdym z nas swoistą autocenzurę. W jakimś stopniu przełamał ją Internet, więc pewne rozluźnienie jest widoczne, choć anonimowość w Internecie jest powszechna. Cenzurowanie internetowych wypowiedzi jest praktycznie niemożliwe, ale kierownicy i dyrektorzy nierzadko starają się dociec, kto jest autorem wypowiedzi niezbyt dla nich pochlebnych. Nie przychodzi im do głowy, że gdyby częściej odwoływali się do opinii swoich podwładnych, przyniosłoby to pożytek dla instytucji i dla nich samych.

Odkąd piśmienność się stała codzienną praktyką, podzieliła społeczeństwo na pełniących różne funkcje związane ze sprawowaniem władzy, polityką krajową i międzynarodową, w bankowości, nauce i sztuce, wojskowości oraz na całą resztę, siłą rzeczy skazaną na pracę podrzędną, usługową. Piśmienność zawsze stanowiła wyróżnik

⁴ M. Velšie: *Mnohi ľudia nevedia, že na informácie majú pravo*. „Sme” 2004, nr 142.

pozytywny. W latach II Rzeczypospolitej w różnych kwestionariuszach były rubryki zawierające informacje, czy dany osobnik jest piśmienny, czy nie.

W wielkich cywilizacjach starożytnych greckiej i rzymskiej z udziału w korzyściach płynących z piśmienności wykluczone były kobiety i niewolnicy, choć odstępstwa od tej zasady były częste. Między rokiem 850-750 przed Chrystusem Grecy opracowali alfabet stosowany do dziś. Bez greckiej sztuki i literatury, rzymskiego prawa, modelu struktur państwowych, relacji z podbitymi prowincjami Cesarstwa, wiedzy w dziedzinie wojskowości nie byłoby kultury dzisiejszej Europy, nie byłoby również naszej.

Piśmienność łatwiej upowszechniała się w społeczeństwach demokratycznych niż w rządzonych autorytarnie. W XIII wieku taką enklawą na ziemiach ruskich był Nowogród. Jego struktury społeczne odbiegały dalece od księstw pozostających pod panowaniem mongolsko-tatarskim. Księstwa, głównie kijowskie, były rządzone samodzierżawnie, co oznaczało jednowładztwo księcia i podporządkowanie mu całej ludności na zasadzie poddaństwa. Nowogród był miastem kupieckim, powiązany licznymi interesami z miastami hanzeatyckimi. Była to właściwie republika, w której udział mieszkańców w zarządzaniu i podejmowaniu decyzji był duży⁵. Struktura tej republiki zasadała się na zgromadzeniach ludowych, tzw. wecze, które decydowały o obronności, prawie, handlu, a nawet obyczajowości. Miasto było podzielone na dzielnice, każda ulica miała swoje zgromadzenie ludowe, którego członkami były tzw. głowy rodzin. Najnowsze odkrycia archeologiczne wskazują, że nowogrodzianie byli piśmienni (również kobiety). Pisano na korze brzoźowej, której ogromne ilości zachowały się w dobrym stanie do dziś i są systematycznie odczytywane. Zapiski dotyczą życia codziennego, o czym świadczą takie oto treści: „oddaj mi dług”, „kup garniec kaszy”, „daj ofiarę w cerkwi”, „jesteś łgarzem i kłamczuchem” itp. Mieszkańcy Nowogrodu czuli się ludźmi wolnymi, a nie poddanymi, w tamtych czasach był to ważny wyróżnik.

Uzupełnieniem wiedzy o przeszłości Nowogrodu jest malarstwo. W tamtejszym muzeum można odczytać na podstawie poszczegół-

⁵ M. Heller: *Historia imperium rosyjskiego*. Warszawa 2005, s. 58-60.

nych obrazów, jak potoczyły się losy tego wyjątkowego miasta. Dzielą się one na dwa okresy. Pierwszy – to okres suwerenności i wolności obywatelskich aż do czasów Iwana III Wielkiego. Poszczególne obrazy przedstawiają sceny rodzajowe: pogodnych, rozbawionych ludzi, w drugiej grupie wręcz przeciwnie. Na obrazach widać ludzi smutnych, zasepionych i co tu kryć, przegranych. Podporządkowanie Nowogrodu Moskwie było jednoznaczne z narzuceniem miastu systemu scentralizowanego, podporządkowanego jednowładztwu. Taki smutny koniec przypadł w IV wieku jednemu i wyjątkowemu eksperymentowi republikańskiemu na ziemiach ruskich. Wraz z włączeniem Nowogrodu do księstwa moskiewskiego nastąpił kilkunastoletni okres represji. Wszyscy obywatele podejrzani o kontakty z Polską i Litwą stracili życie, kilkanaście tysięcy osób wywieziono z miasta, a majątki rodzinne skonfiskowano.

Beneficjentami piśmienności byli mieszkańcy miast. Trzy albo cztery tysiące lat przed Chrystusem ludzie zaczęli ograniczać swoje wędrowanie, polowanie i zbieractwo. Ten tryb życia nie sprzyjał dalszemu rozwojowi, uniemożliwiał też wyżywienie powiększającej się populacji plemiennej. Według Zygmunta Kubiaka⁶ już w piątym tysiącleciu przed Chrystusem powstało w Sumerze pierwsze miasto. W następnym tysiącleciu powstawały inne. Organizacja miejska w przeciwieństwie do rolniczej wymagała zupełnie innej organizacji i przybrała inną strukturę. W miastach żyli władcy, kupcy, rzemieślnicy, wojskowi, kapłani, poborcy podatkowi itp. Ten osiadły organizm nie mógł funkcjonować bez pisma. Stworzono go więc początkowo w postaci obrazków, a z czasem ulepszono w postaci kilkusylabowych słów. W połowie trzeciego tysiąclecia przed Chrystusem pojawiły się już zapisy religijne, kronikarskie, prawnicze, poetyckie.

Oprócz międzygrupowego podziału pracy w mieście zmienił się również jej charakter. Mieszkańcy uczestniczyli w pracach samorządowych, zebraniach cechowych, religijnych, politycznych, edukacyjnych itp. Udział ten wymagał piśmienności. Piśmienność podzieliła ludzi na pracujących fizycznie i posługujących się umysłem. Podział ten trwał przez tysiąclecia i w jakimś zakresie utrzymał się

⁶ Z. Kubiak: *Dzieje Greków i Rzymian*. Warszawa 2003, s. 14.

do dziś. Mimo postępu technicznego, redukującego wysiłek fizyczny, różnica między siedzącym za biurkiem programistą komputerowym a zakładającym rury wodociągowe nie tylko nie zmalała, ale w odczuciu ludzi jeszcze się powiększyła.

Organizacja życia miejskiego i potrzeby mieszkańców powołały do życia nie tylko piszących, ale również tych, którzy uczyli pisać i czytać. Tak powstały szkoły i pojawili się nauczyciele. Z czasem powstawały grupy społeczne konstytuujące systemy administracyjne, urzędnicze, wojskowe, kościelne, skupione wokół dworu książęcego, królewskiego, samorządu miejskiego, wreszcie państwowego. Główne szczeble drabiny społecznej zajmowali ludzie piśmienni, dolne nieumiejący czytać i pisać. Osobną grupę stanowili twórcy: uczeni, pisarze, poeci, kopiści, drukarze, księgarze. Grupa ta była zróżnicowana majątkowo. Ale również w starożytnej Grecji – jak w Rzymie filozofii, malarstwa, muzyki i poezji nie uprawiali biedacy, chyba że wspomagali ich bogaty mecenas.

Ale okres zaborów, zwłaszcza po zrywach powstańczych w latach 1830, 1846, 1848 pozostawił głębokie ślady w mentalności Polaków. Zaborcy, głównie carat rosyjski niezależnie od polityki represyjnej (więzienie, wywózki na Sybir) i rusyfikacyjnej, która od czasu do czasu stawała się łagodniejsza, w jednym byli konsekwentni: nie dopuszczali do samoorganizacji społecznej na polu oświatowym, naukowym, kulturalnym. Książka Jerzego Jedlickiego⁷ doskonale ilustruje trwające ponad połowę XIX wieku zmagania społeczeństwa polskiego z administracją rosyjską o tworzenie szkół wyższych, powoływanie czasopism naukowych, towarzystw oświatowych, kontakty zagraniczne, jednym słowem o wszystko, co decydowało o rozwoju kraju. Starania te rzadko przynosiły efekty. W porównaniu z krajami zachodnimi zostaliśmy w tyle. Dopiero dziś nadrabiamy powstałe cywilizacyjne dystanse.

Żeby przeżyć, jednostka musiała przestać myśleć o sprawach ogólnych, skupić się na pracy, rodzinie, swojskim obyczaju, religii. To była cena, bodajże najważniejsza, jaką społeczeństwo płaciło za brak niepodległego bytu. Przeciętny Polak nie mógł się w tych warunkach czuć obywatelem. Był poddanym. Coś z tej tradycji znała-

⁷ J. Jedlicki: *Błędne koło 1832-1864*. Warszawa 2008.

zło przedłużenie w latach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Od kilkunastu lat statystyki biblioteczne informują o likwidowaniu bibliotek, głównie na wsi. Trudno wskazać miejscowość, w której mieszkańcy zorganizowaliby plebiscyt i powiedzieli likwidatorom „nie”. Świadomość bycia obywatelem nie jest w naszym kraju historycznie zakorzeniona, ale odnoszenie naszej bierności do złego losu nie daje szansy ani w dniu dzisiejszym, ani w przyszłości.

W Stanach Zjednoczonych w okresie pionierskim symbolem lokalnej samoorganizacji były grupy farmerskie i małe miasteczka, które przez cały wiek XIX budowały własne struktury samorządowe: szeryf, sędzia, pastor i gotowi do samoobrony obywatele. W tym kultywowanym do dziś micie, który podtrzymuje niemal każdy western, nikt nie czekał na kawalerię Stanów Zjednoczonych, a jeżeli się ona pojawiała, to przy końcu całej akcji. Państwo i jego siła żyły daleko, więc sprawy lokalne trzeba było rozstrzygać samemu.

Można by wskazać w historii naszego kraju momenty, w których potrafiliśmy podporządkować nasz indywidualizm sprawom wspólnym. Tak było w czasach zaborów, zwłaszcza w Poznańskim, podobnie w czasie II wojny światowej i nie inaczej w latach 1980/1982.

Polska samorządna lub inaczej samorządowa była również marzeniem w latach 1945-1989 kilku pokoleń. Dopiero rok 1989 umożliwił jego spełnienie. Mamy znakomitych wójtów, burmistrzów, również wielu pełnych pomysłów radnych, którzy potrafią zachęcić do wspólnego działania środowisko lokalne. Wygląd wielu miast i miasteczek, chociażby na Mazowszu, zmienił się korzystnie w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie do poznania.

Zmieniła się również przestrzeń polityczna, w której funkcjonują biblioteki publiczne. Dotyczy to głównie miast. Jeszcze nie tak dawno w tej przestrzeni odbijała się przeszłość. Kościoły, klasztory, ratusze, zamki, pałace, uniwersytety, parki – wszystko to symbolizowało epokę, w której powstawały. Przestrzeń miejska była zabudowana z jakąś myślą przewodnią, celem, ideą. Plan zabudowy musiał uwzględniać położenie geopolityczne, a więc naturalne ukształtowanie terenu płaskiego czy górzystego, zalesionego lub od-

słoniętego, ale też sąsiedztwo życzliwie lub agresywnie nastawione. W średniowieczu miejscem obronnym był tradycyjny zamek lub twierdza, do których w chwili zagrożenia mogła się schronić ludność. Jako klasyczny przykład może posłużyć stolica Słowenii – Lublana. Zamek obronny a na dole wokół niego mieszczkańskie domy, sklepy, warsztaty tworzące zespół starego miasta. Bywało, że i kościoły budowano z myślą o funkcjach obronnych, grube mury, małe okna (np. Krzynowłoga Mała, Brochów).

O założycielu Zamościa kanclerzu Janie Zamoyskim pisał sandomierzanin Wojciech Wnuk, że był mężem roztropnym, zapobiegliwym, świadomym rzeczy miejskich i kupieckich, a więc realistą, który w odróżnieniu od późniejszych artystów wiedział doskonale, że w idealnym mieście nie zamieszka nigdy idealne społeczeństwo. „Sprowadził więc do Zamościa prostych ludzi: handlu i rzemiosła Polaków, Ormian, Greków i Żydów [...]. Przygotował go też do skutecznej obrony przed Chmielnickim, Tuhaj-Bejem, królem szwedzkim”⁸.

W każdym mieście, do którego docieramy niemal odruchowo szukamy jego centrum, czyli rynku. Gdy go nie znajdujemy, czegoś nam brakuje. W Święcianach (woj. wileńskie) zapamiętałam czworoboczny rynek, na którym działy się najciekawsze rzeczy. Wszystko tam było do kupienia, od młodych kurcząt po piękne kilimy i drewniane kolorowe zabawki. Wokół rynku ciasno skupione drewniane domy zamieszkałe głównie przez Żydów. Po 70 latach nieobecności nie znalazłam rynku ani domów, w jego miejscu jest skwer z fontanną i jakąś figurą rycerza w zbroi. Zniknięcie rynkowych kramów było rezultatem zastąpienia w komunizmie prywatnej własności ziemi – sowchozami, zaś naturalnego handlu – kulawą „dystrybucją”. Znikła drewniana bożnica z bocianim gniazdem na dachu, ostały się kościół i cerkiew. Żydów wymordowano, Polaków wywieziono na wschód i w taki sposób historia zmieniła całą miejską przestrzeń. Została główna ulica i jakieś sklepy. Wspomnienie o tym, co było, zamknięto w miejscowym muzeum, które mało kto odwiedza.

Z trudem odrywamy się od państwa autorytarne. Wypowiadając się na temat organizacji i funkcjonowania bibliotek, rozpatru-

⁸ A. Sabor: *Dychotomia marzeń*. „Tygodnik Powszechny” 2006, nr 37.

jemy je odruchowo w starych strukturach państwowych. Dotyczy to sposobów finansowania, zarządzania, podległości poszczególnym resortom, podziału na rodzaje bibliotek, przestrzeganie praw nabytych przez pracowników itp. Stwarza to absolutną niemożność współpracy bibliotek różnych typów, tworzenia wspólnych programów, nawet w tak podstawowych sprawach jak katalog regionalny, o centralnym nie wspominając. Tymczasem wiele zmieniło się dookoła nas. Właściwie wszystko: ustrój państwa, system polityczny, gospodarka. Upowszechniły się nowe technologie informacyjne, zintensyfikowała współpraca międzynarodowa, zniknęły granice, zmieniła struktura wykształcenia bibliotekarzy itp.

Miasta, głównie wielkie metropolie zmieniają swoje kształty, decentralizują się. Powstają wydzielone, zamknięte osiedla, w których dominują apartamentowce. W stolicy jest ich około 400. Ogrodzone, strzeżone, praktycznie wydzielone z przestrzeni publicznej, dostępne tylko dla współwłaścicieli, dalekie od integracji z miastem. Mieszkańcy ich chcą się czuć bezpiecznie, ale w rzeczywistości przyczyniają się do nowych, społecznych podziałów, do pogłębienia społecznej dezintegracji.

Cenzura

Odkąd człowiek nauczył się werbalizować swoje myśli, głośno wypowiadać swoje opinie, a potem ujmować je w postaci graficznej, tworzyć zapisy na kamieniu, glinianych tabliczkach, papirusie, pergaminie, korze drzewnej i papierze, pojawili się wokół niego cenzo-ry. Ludzie ci z tych czy innych względów uzurpowali sobie prawo do kontrolowania tego, co jednostka głośno albo co napisała, w tej lub innej postaci. Cenzor działał głównie z nadania władcy dzierżącego prawo miecza, tak więc za nieprawomyślne wypowiedzi można było stracić głowę, a to co, napisane, można było spalić. Nawet w piramidach egipskich wydrapywano informacje o faraonach, którzy narazili się kapłanom lub swym następcom.

Cenzura była zawsze. Świadczy o tym doskonale wypowiedź Karola Estreichera. W swojej rozprawie o bibliografii tak o tym pisze: „Pierwotne wieki chrześcijaństwa przedstawiają nam chaotyczne społeczeństwo. Upada Rzym, stolica potęgi fizycznej Cezarów, powstaje Rzym, stolica potęgi moralnej namiestnika Chrystusa. Nad siłą góruje wiara, ponad orężem krzyż. Duchowieństwo wiąże się w gminę solidarną w całej Europie. Powadze duchownej władzy ulegają władcy, jako milites Petri. Księża są nauczycielami narodów. Oni przez długie wieki oświecając, są jedyną światłością w narodzie. Wyłącznie tworzą zastęp pisarzy, kanclerzy i bibliotekarzy. Gorliwość o wiarę i brak materiału piśmiennego, zrzędziły szkody niepowetowane. Dla religii tępiono pisma w języku ojczystym i klasyczne jako pogańskie, jak np. Cyserona. Tak spalił Grzegorz Śty r. 590, rękopisma biblioteki Flawiańskiej w Rzymie i stąd ustawy cesarza Teodozjusza i Walentyniana karzących na gardle posiadaczy i czytających pisma odszczepieńcze, stąd uchwała koncylium w Tuluzie r. 1229 wzbraniająca świeckim posiadanie biblii i onejże tłumaczenia na mowę pospolitą”¹.

¹ K. Estreicher: *O bibliografii*. Warszawa 2008, s. 256.

W czasach nam współczesnych praktyki te były kontynuowane, choć zmieniły się formy i udoskonalano narzędzia. W okresie stalinowskim za opowiedziany głośno dowcip można było trafić do łagru, autorów nieprawomyślnych tekstów wymazywano z fachowych bibliografii, a zakaz publikowania nawet w specjalistycznych czasopismach był powszechny. Dozowanie i różnicowanie zabiegów cenzorskich miało nie tylko utrudnić pracę, ale również upokorzyć tego, który się władzy naraził lub nie był dostatecznie wobec niej pokorny.

Cenzura nie tylko zakazywała, ale narzucała to, co ludzie mają czytać. O praktykach czechosłowackich tak pisze M. Szczygieł. „Społeczeństwo trzeba zmusić do odwyku. Władza zarządza, że zlikwiduje się to, co sprawia łatwą radość. Powołuje komisje likwidujące. Mają one zewsząd jak najprędzej usunąć powieści przygodowe, kryminalne, miłosne, szpiegowskie, science fiction oraz horrory. Słowem – wszystko, co jest drugiego gatunku. Komisje przeszukują księgarnie, drukarnie i wydawnictwa, a szczególną uwagę poświęcają antykwariatom. Rekwirują tam niezliczone ilości *Nięostrożnych panien*, czy *Pożarów w Metropoli*... śmierć tandety powinna w sposób naturalny nastąpić wraz ze śmiercią kapitalizmu w lutym 1948 r. W 1950 r. ogłasza się, że wydanie najmniejszej kieszonkowej powieści dla kucharek jest czynem przeciwko państwu. Ponieważ komisje nie dają rady z selekcją, organizuje się publiczne zbiórki szmiry. Uczniowie szkoły podstawowej na Osiedlu Hlobetín w Pradze rozdierają książki na bardzo małe kawałki (od razu na miejscu zbiórki), aby mieć pewność, że egzemplarze nigdy nie wrócą do czytelniczego obiegu. Dzieci z zapalem drą *Jaśminy nad balkonami* i *Twarze z półświatka*. Na drzwiach Biblioteki Miejskiej w Pradze wisi tablica: Czytelnicy, na pewno akceptujecie fakt, że nie wypożyczamy już braku (odpowiednik polskiego bubla)... Nie wypisujcie na nie rewersów i nie proście o nie. Po przejściu władzy przez komunistów w Czechosłowacji uda się przemieścić na makulaturę prawie 70 procent szmiry”².

Historia cenzury dowodzi, że od czasów starożytnych była ona szczególnie zjadła na książki, choć obejmowała również inne wy-

² M. Szczygieł: *Gottland*. Wołowiec 2006, s. 169-170.

twory sztuki. „Książki – pisze Elżbieta Sawicka – hitlerowcy zaczęli palić w 1933 r., w 1937 fala represji objęła zbiory muzealne, skonfiskowali wówczas ponad 17 tys. dzieł. Wielu artystom zabroniono wystawiania prac w galeriach, zakazano także uprawiania twórczości. Dla totalitarnego systemu twórczość artystyczna dzieliła się na wspierającą ideologię faszystowską, a więc przydatną, oraz sztukę zdegenerowaną, do której zaliczano przede wszystkim ekspresjonizm oraz takich twórców jak: Marc Chagall, [Pablo] Picasso, [Oskar] Kokoschka, Podobne podziały odnosiły się również do muzyki. Słuchano [Ludwiga van] Beethovena i [Richarda] Wagnera, ale [Fryderyk] Chopin, [Gustav] Mahler i [George] Gershwin byli zakazani”³.

W porównaniu z obrazem, rzeźbą czy partyturą muzyczną największy zasięg miało jednak słowo pisane i drukowane. Wobec niego cenzura działała na trzy sposoby. Po pierwsze, kontrolując teksty przed ich ukazaniem się (cenzura prewencyjna), po drugie, nie dopuszczając ich do obiegu czytelniczego (cenzura postpublikacyjna) i po trzecie, niszcząc zasoby, głównie biblioteczne.

Z grubsza rzecz ujmując, cenzurę można podzielić na dwa rodzaje: 1. instytucjonalną – świecką lub kościelną – albo też działające wspólnie; 2. społeczną. Pierwsza reprezentuje aktualną władzę, stanowi integralną część struktur państwowych i ma moc egzekucyjną w stosunku do wszystkich obywateli. Druga nie ma umocowań prawnych, reprezentuje określone grupy społeczne, które z różnych względów (religijnych, patriotycznych, moralnych, politycznych) usiłują przeszkodzić rozprzestrzenianiu książek, czasopism, wszelkich druków, określając je jako szkodliwe, oczywiście z ich punktu widzenia. Słowo drukowane dokumentuje poziom kultury na danym etapie historycznym i współtworzy jej rozwój. Dzieje się tak pod jednym wszakże warunkiem, o którym zdają się zapominać ci, którzy radzi by wydzielić książkę z całego kontekstu społecznego, zarówno historycznego, jak i współczesnego i rozpatrywać ją jako osobny przedmiot dociekań naukowych. To zupełnie tak jakby dyrygent czytał partyturę Koncertu Chopinowskiego i nigdy nie usłyszał

³ E. Sawicka: *Po drugiej stronie mostu. Sto lat temu powstało Stowarzyszenie malarzy Die Brücke*. „Rzeczpospolita” 2005, nr 135.

go w wykonaniu orkiestry. Jaką wartość (oprócz estetycznej) może mieć książka w języku arabskim dla kogoś nieznającego ani jednej arabskiej litery? Bez tłumaczenia możemy trzymać ją w ręce jak nic nie mówiący nam przedmiot. Toteż wypada zgodzić się z Philipem Bagby, który pisze, że „Książki nie są kulturą: są przedmiotami fizycznymi. Żeby stać się faktami kulturowymi muszą być czytane, a treści w nich zawarte podziwiane lub odrzucane”⁴. Tak więc nie istnieje „Książka jako taka” albo „sama w sobie”, ale zawsze w ścisłym związku z tekstem i jego przesłaniem.

Bibliotekarze, i nie tylko oni, zwykli traktować książkę jako przedmiot, który stanowi wartość i jako taki wymaga troski, ochrony, wręcz wyjątkowego traktowania. Jest to zrozumiałe, gdy odnosi się do książki starej, zabytkowej, pięknie zdobionej, która może, choć nie musi, być czytana przez specjalistów: historyków, filologów, bibliologów. Dotyczy to również książek dokumentujących czas historyczny, w którym powstały. Dla politologa czy historyka idei takie książki jak *Mein Kampf*, *Historia WKBP* czy czerwona książeczka Mao mogą stanowić istotne źródło dociekań naukowych. To poznawcze cele uzasadniają ich obecność w bibliotece i starania o zachowanie ich dla przyszłych użytkowników. Podobnie dzieje się współcześnie z książkami o treściach antysemickich, przeczących prawdzie oświęcimskiej, rasistowskich a nawet faszystowskich, nawołujących do nienawiści rasowych, klasowych, etnicznych, narodowych. Największe biblioteki krajowe z Biblioteką Narodową na czele gromadzą je, ponieważ dokumentują one czasy, w których żyjemy. Otwartą sprawą jest kupowanie tego typu książek i upowszechnianie ich w bibliotekach publicznych.

Według Zbigniewa Żmigrodzkiego, kierowanie się zasadami politycznej poprawności i uznanie poszczególnych tytułów za skrajnie prawicowe, faszyzujące, antysemickie itp. jest niedopuszczalne. Zwłaszcza w świetle zaleceń UNECSO i IFLA, które zobowiązują biblioteki do zapewnienia swobodnego przepływu informacji oraz dostępu do wszystkich materiałów, bez względu na ich ideologicz-

⁴ P. Bagby: *Kultura i historia. Prolegomena do porównawczego badania cywilizacji*. Warszawa 1975, s. 136.

na i polityczną treść⁵. Autor tego skrajnie liberalnego poglądu na temat udostępniania wszelkich treści pominął jednak wydawnictwa antyklerykalne, ateistyczne, pornograficzne, a nawet – tak niewinne w porównaniu z nimi – informacje na temat antykoncepcji.

Bibliotekarze amerykańscy nie dopuszczają małoletnich do oglądania internetowych stron związanych z seksem czy pedofilią w swoich bibliotekach. Tych ograniczeń domagają się od nich rodzice i opiekunowie oraz nauczyciele. Ale już bibliotekarze duńscy nie mają żadnych oporów, udostępniając nastolatkom broszury o życiu seksualnym człowieka i antykoncepcji. Nie wydaje się, by można było tworzyć jakieś ogólne czy ogórne zalecenia czy zakazy. Za gromadzenie zbiorów i ich udostępnianie odpowiedzialny jest bibliotekarz i nikt go od tej odpowiedzialności nie może zwolnić. Oczywiście, musi on brać pod uwagę rozmaite uwarunkowania kulturowe i obyczajowe, specyficzne dla poszczególnych krajów. Nie znaczy to jednak, że musi się im całkowicie podporządkować. W dążeniu do zachowania autonomii własnej i biblioteki musi też liczyć się z poglądami, zainteresowaniami i aspiracjami czytelników.

Dzieje czytelnictwa dostarczają aż nadto dowodów, że czytanie ma bardzo rozmaite uzasadnienia. Bywa, że czytamy przeciwko komuś albo przeciwko czemuś. Sięganie po książkę było niejednokrotnie wyrazem buntu i niezgody na zastaną rzeczywistość. Czytelnicy *Manifestu Komunistycznego* szukali w nim potwierdzenia swojej niezgody na niesprawiedliwość tego świata, czytali wbrew poglądom rodziców oraz bliskiego im środowiska i co oczywiste wobec establishmentu władzy. W Polsce drugoobiegowa literatura stanu wojennego czytana była nie tylko w celach poznawczych, ale także jako wyraz protestu przeciwko poczynaniom komunistycznego reżimu. Amerykanie z Południa odrzucali treści zawarte w powieści Harriet Beecher Stowe *Chata wuja Toma*, jako niezgodne z ich wyobrażeniami o rzeczywistym życiu czarnoskórych niewolników na plantacjach bawełny, traktując tę książkę jako naruszającą porządek społeczny, do którego przywykli i traktowali jako niezmienny. Paradoxem jest, że współcześnie to afroamerykanie kwestionują treści *Chaty wuja Toma*, dowodząc, że autorka przedstawiła ich życie

⁵ Z. Żmigrodzki: *Wirus biblioteczny bias*. „Bibliotekarz” 2001, nr 10.

i obyczaje w niekorzystnym świetle. W efekcie ponownego odczytania tej ciągle popularnej powieści różne komitety szkolne i biblioteczne domagają się usunięcia jej z listy lektur⁶.

Gorączkę latynoamerykańską Artura Domosławskiego (Warszawa 2004; 2007) można odczytać jako koronny dowód na to, że procesy globalizacyjne nie służą gospodarkom krajów Trzeciego Świata, albo też jako dowód, że społeczeństwa Argentyny, Wenezueli, Boliwii i Kolumbii są szczególnie nieudolne organizacyjnie, skorpumpowane, a ich rządy opresyjne, wręcz okrutne.

Z dwu wymienionych cenzur: instytucjonalnej i społecznej, groźna jest ta pierwsza, bowiem mieści się w strukturach państwowych, a te mają to do siebie, że wszelkie zakazy mogą egzekwować nawet siłą. Przez wiele lat kontrola graniczna w Argentynie nie przepuszczała książek, które wysyłano prywatnie z Polski. Nie inaczej działo się na polskich granicach wobec prób przemycania wydawnictw paryskiej „Kultury” albo innych zagranicznych wydawnictw. Celnik na lotnisku Okęcie nie zareagował na widok *Folwarku zwierzęcego* George’a Orwella po angielsku. Ale już na granicy polsko-radzieckiej służby celne, przetrząsając bagaże Prebena Kirkegaarda – prezydenta IFLA, użyły do tego tłumacza. Siedział ten smutny nieszczęśnik na korytarzu i przeglądał nie tylko książki, ale każdy świstek papieru. Pan Kirkegaard – były członek Duńskiej Partii Komunistycznej – nie mógł zrozumieć, czego ten człowiek szuka wśród angielskojęzycznych książek bibliotekarskich.

Bywało jednak jeszcze gorzej. W 1945 r. władze radzieckie unicestwiły fizycznie zasoby estońskiej Biblioteki Narodowej. Wszystkie książki wydane przed 1939 r. porąbano siekierami przed gmachem Biblioteki. Uchowaty się nieliczne egzemplarze, które ludzie, narażając się na szykany przechowali w domach. W 1990 r. estońskie środki masowego przekazu zaapelowały do mieszkańców, by zechcieli je zwrócić do organizującej się Biblioteki Narodowej. I Estończycy nieśli te egzemplarze niczym największe skarby. W krajach bałtyckich polowanie na teksty w językach narodowych było szczególnie zajadłe. Rodzina litewska za przechowanie rękopisu wiersza partyzanckiego została zesłana do łagru.

⁶ 100 zakazanych książek. Warszawa 2004.

Niewyobrażalnym dla cywilizowanego świata aktem było zbombardowanie przez Serbów Biblioteki Narodowej w Sarajewie. Ogień zniszczył najcenniejsze zabytki piśmiennictwa muzułmańskiego, ale też serbskiego i chorwackiego. Wiatr rozwiął popioły tego, co stanowiło dowód istnienia i przenikania się różnych kultur na terenie Bośni. I o to chodziło. W tym szaleństwie, które daje o sobie znać na przestrzeni dziejów, kryje się konsekwentny cel. Chodzi o odcięcie narodu od jego przeszłości, pozbawienie go pamięci, a tym samym współczesnej samoświadomości. Nie ma ksiąg muzułmańskich, nie było więc Muzułmanów w Bośni. Stwierdzenie, że było to coś niewyobrażalnego jest przesadne. W *Kronikach marsjańskich* Raya Bradbury'ego wydanych w 1950 r. jest przepowiednia tego, co się może stać. Pan William Stendhal wspomina swoją spaloną, liczącą 50 tys. tomów bibliotekę, która spłonęła w Wielkim Ogniu. „Na początku kontroli poddano komiksy, potem powieści detektywistyczne i oczywiście filmy, pod takim czy innym kątem, do akcji włączały się kolejne grupki, kierujące się względami patriotycznymi, uprzedzeniami religijnymi, naciskiem związków. [...] Zawsze znalazła się mniejszość, która bała się tego i owego, i ogromna większość czująca strach przed ciemnością, przyszłością, własną historią, dniem dzisiejszym, ludzie bali się samych siebie i swoich własnych cieni [...]. Piękne literackie kłamstwa i wybryki fantazji straciły rację bytu, toteż pewnego sobotniego ranka trzydzieści lat temu, w 1975 r. ustawiono ich wszystkich pod ścianą biblioteki – świętego Mikołaja i jeźdźca bez głowy, królową Śnieżkę, Rumpelstilstikina i Matkę Gąskę – och jaki podniósł się płacz! – i rozstrzelali ich, spalili zamki z papieru, księżniczki zakłęte w żaby i starych władców, oraz ludzi, którzy żyli długo i szczęśliwie”⁷.

Główną cechą państwa totalitarnego jest zawłaszczanie historii, podporządkowywanie jej celom ideologicznym i politycznym. Klasycznym tego przykładem jest Rosja bolszewicka. „W 1920 r. – pisze Richard Pipes – bolszewicy próbowali wprowadzić cenzurę wsteczną. Nadzieжда Krupska, którą Lenin mianował szefem nowego biura propagandy o nazwie Główny Komitet Oświecenia Poli-

⁷ R. Bradbury: *Kroniki marsjańskie*. Przeł. Paulina Braitel i Paweł Ziemkiewicz. Warszawa 2004, s. 129.

tycznego (Główny Zarząd do spraw Literatury i Wydawnictw), postanowiła, że biblioteki sowieckie należy oczyścić z przestarzałej literatury. Na jej polecenie Ludowy Komisariat Oświaty nakazał bibliotekom sowieckim usunąć ze swoich zbiorów wszystkie egzemplarze z wyjątkiem dwóch, które miały znaleźć się w „zbiorach specjalnych” (Specchran) – dzieł 94 pisarzy i filozofów, między innymi Platona, Kartezjusza, [Immanuela] Kanta, [Artura] Schopenhauera, [Herberta] Spencera, [Ernesta] Macha, [Włodzimierza] Sołowiowa, [Fryderyka] Nietzschego, [Williama] Jamesa, Lwa Tołstoja, Piotra Kropotkina. Dotychczasowy nieskoordynowany system kontroli nad informacją i obrazem ujednociono 6 czerwca 1922 r., tworząc w ramach Ludowego Komisariatu Oświaty centralne biuro cenzury pod nazwą Główny Zarząd do spraw Literatury i Wydawnictw (Głównoje Uprawlenje po diełam Literatury i Izdatielstw, w skrócie Gławlit). Do jego zadań należała wstępna cenzura wszystkich publikacji i dzieł plastycznych oraz kolportażu utworów agitujących przeciwko władzy radzieckiej. Gławlit miał też obowiązek zwalczać podziemne publikacje”⁸.

Biblioteki publiczne oraz naukowe ograniczały udostępnianie utworów znajdujących się w Specchranach. Mój znajomy socjolog pracujący w Bibliotece Lenina, złożony rewera na Biblię, otrzymał go z powrotem z adnotacją „nie pa waszemu profiłu”. A działo się to już w czasach gorbaczowskiej pierestrojki. Raz nastawiona maszyna cenzorska działała konsekwentnie aż do 1990 r.

Począwszy od 1939 r. Polska doświadczyła działań cenzorskich na niespotykaną skalę. Na terenach wschodnich zajętych przez Związek Radziecki oraz zachodnich i centralnych okupowanych przez Niemców działania cenzury były podobne. Obu okupantom chodziło głównie o przecięcie ciągłości historycznej zajętego kraju, pozbawienie Polaków świadomości narodowej, wiedzy o przeszłości, a co za tym, idzie przygotowanie gruntu dla indoktrynacji i duchowej zagłady. Działaniami cenzorskimi objęto w pierwszym rządzie instytucje kształcące. Po wznowieniu lekcji w mojej święciańskiej szkole, w październiku 1939 r. jakiś nieznany typ świecący garniturem złotych zębów oświadczył nam, że od dziś nie musimy już zaczynać

⁸ R. Pipes: *Rosja bolszewików*. Przeł. Władysław Jeżewski Warszawa 2005 s. 316-317. Wyd. 2 popr. Przeł. Tadeusz Szafar. Warszawa 2006.

lekcji od modlitwy. Zrobiła się cisza i wtedy wstała Kławdia Dziensowna – prawosławna – i powiedziała, że jesteśmy przyzwyczajeni do tej modlitwy, w której uczestniczyli wszyscy: katolicy, mozaiści, starowiercy i nasz jedyny muzułmanin Olutek, i niech tak zostanie. Złotozęby coś tam mówił o wspaniałościach Związku Radzieckiego, Czerwonej Armii, która nas wyzwoliła od ucisku polskich panów, o wielkim Stalinie i walce klas, a może też o innych sprawach obcych i niezrozumiałych, które zapadły się w niepamięć.

„W Generalnym Gubernatorstwie – pisze Andrzej Urbański – zlikwidowano wszelkie oznaki polskości szkoły. Zakazano noszenia mundurków, wywieszania godła i portretów bohaterów narodowych oraz dostojników państwowych II Rzeczypospolitej, obchodzenia świąt narodowych. Zakazano również nauki historii, literatury, geografii Polski oraz stosowania przedwojennych podręczników. Do bibliotek szkolnych skierowano szczegółowe listy książek, które należało wycofać z czytelniczego obiegu. Nakazano używanie niemieckich nazw miast, ulic i urzędów, korzystania w nauczaniu z tygodników „Ster” i „Mały Ster”⁹. W szkole podstawowej na Podlasiu w Mokobodach podczas czytania przewidzianych przedwojennym programem lektur ten „Ster” leżał ostentacyjnie na ławkach. Nikt do niego nie zaglądał.

W planach niemieckiego okupanta polska książka i biblioteka zostały skazane na zagładę. Do tego celu zmierzano konsekwentnie, po prostu paląc zbiory, zwłaszcza na terenach przyłączonych do Rzeszy. W tzw. Generalnym Gubernatorstwie okupant pozamykał i polikwidował publiczne biblioteki samorządowe i prywatne wypożyczalnie książek, w miastach i gminach wiejskich. Książki wywożono do fabryk papieru na przymiał, bądź magazynowano w bezładnych stosach. W Poznańskim takimi zbiornicami stały się kościoły. To, co nazajutrz po wojnie zebrano i zabezpieczono z zasobów bibliotecznych, wyrażało się dobitnie wskaźnikiem około 5 książek na 100 mieszkańców, czterokrotnie mniejszym niż przed wojną. Straty księgozbiorów bibliotek publicznych szacowano rozmaicie,

⁹ A. Urbański: *Totalitaryzm bez współdziałania. Warszawa 1939-1944*. W: *Piśmiennictwo – systemy kontroli – obiegi alternatywne*. Pod red. Janusza Kosteckiego i Aliny Brodzkiej. T. 2. Warszawa 1992, s. 195.

od 70 do 90% stanu przedwojennego. Największe straty poniosły księgozbiory bibliotek organizacji społecznych.

Niszczenie książek jest typowe dla systemów totalitarnych i ma rację Andrzej Paczkowski, że to one są najszkodliwsze¹⁰. Myli się jednak lekceważąc skutki prywatnych inicjatyw w tym zakresie. Jako przykład wypada przywołać działalność Anthony`ego Comstocka, który w 1872 r. założył w Nowym Jorku Stowarzyszenie do Walki z Występkiem. Nie dość, że uzurpował sobie funkcję głównego cenzora, to jeszcze chwalił się, że przez 41 lat zniszczył 160 ton nieprzyzwoitej literatury. Tępił ją w wydawnictwach, księgarniach, na ulicy, wszędzie. Spowodował wiele aresztowań, a kilkanaście osób doprowadził do samobójstwa. W sprzyjających okolicznościach zawsze znajdą się samozwańczy zakazywacze i oczywiście mogą nas śmieszyć swoją parafiańszczyzną do momentu, kiedy uda im się dojść do władzy i niszczyć wszystko, co napotkają na swojej drodze.

Nie mów brzydkich wyrazów, zwłaszcza publicznie, nie mów, że ciocia Zosia jest głupia – choć słyszałeś, że tak mówili między sobą rodzice, nie powtarzaj w szkole tego, o czym mówi się w domu, zwłaszcza, gdy dotyczy to niepochlebnych uwag o nauczycielach. I tak dalej, i temu podobne. Lista jest długa. Są to pierwsze działania stanowiące wstęp do samokontroli i autocenzury słownej. Te pouczenia kierowane przez dorosłych do dzieci mieszczą się w całościowym procesie socjalizacyjnym. Mają je uchronić przed konsekwencjami mówienia tego, co się myśli. Podwójność myślenia i mówienia nie płynie wyłącznie z przyjętych w danym środowisku konwenansów czy też czystego oportunistu, ale jest też wynikiem doświadczeń, które pouczają, że tak zwane mówienie prawdy bez najmniejszych zahamowań wcale nie czyni życia łatwiejszym.

W życiu ludzi dorosłych kontrolowanie tego, co się mówi, ma rozmaite powody. Dotyczy to stosunków w pracy, a zwłaszcza w relacjach pracownik i przełożony, w działalności publicznej, głównie w formułowanych poglądach politycznych, wszelkich dysputach

¹⁰ A. Paczkowski: *Posłowie, a właściwie nieco uwag o cenzurze w ogóle*. W: Nicholas J. Karolides, Margaret Bald, Dawn B.: *Sova 100 zakazanych książek*. Przeł. Jarosław Mikos. Warszawa 2004.

toczonych na żywo, również w relacjach między studentem a wykładowcą. Bardzo trudno przełamać obyczaj, według którego ten drugi ma zawsze rację, a pierwszy nie ma prawa jej się przeciwstawić. Wymiana myśli może przebiegać przy obopólnym poszanowaniu poglądów stron. Tego typu relacje sprzyjają powstawaniu wspólnoty akademickiej, warunkującej rozwój każdej dziedziny nauki, w tym również bibliotekarstwa.

Wymowę tego, co mówimy, wzmacnia gestykulacja, mimika, wszystko to, co Ryszard Kapuściński określa jako różnorodny pozasłowny język, jakim będąc w bezpośredniej bliskości obok siebie, razem, komunikujemy się bezustannie, nawet nieświadomie. W dodatku ten język bezsłowny, język wyrazu twarzy i najdrobniejszych gestów, jest dużo bardziej szczery i prawdziwy niż ten mówiony i pisany, bo trudniej w nim nałgać, ukryć fałsz i zakłamanie¹¹.

Nawet w najbardziej demokratycznym społeczeństwie są słowa i określenia, których się unika, a co dopiero w państwie autorytarnym czy wręcz totalitarnym. „Lęk przed mocą słowa – pisze Antonina Kłoskowska – mobilizujący cenzurę w państwach socjalistycznych, zasługuje na szczególną analizę, sięgającą do filozoficznych i światopoglądowych podstaw ich polityki. Teoretycznie światopogląd materialistyczny, do którego przyznawały się te kraje, powinien czynić ich ideologów mniej wrażliwymi na akty działań polegających tylko na słowach. Prymat bytu nad świadomością miał przecież w ich przekonaniu zapewnić co najmniej ostateczny (w ostatniej instancji) triumf tego pierwszego nad drugim. Stąd powinna wynikać pewna obojętność, jeżeli nie tolerancja dla słów”¹².

Działo się zupełnie inaczej. Władza reagowała wręcz histerycznie na słowo Katyń, nawet jeżeli było ono wypowiedziane na cmentarzu; Stefana Kisielewskiego pobili nieznani sprawcy za to, że publicznie określił władzę, jako dyktaturę ciemniaków; Stalina wielbiono też publicznie określeniami pasującymi do świętego, a nie do człowieka z krwi i kości. Podobne nabożeństwa słowne odprawiano na licznych akademiach, zwłaszcza gdy była mowa o Związku Radziec-

¹¹ R. Kapuściński: *Podróże z Herodotem*. Kraków 2004, s. 176.

¹² A. Kłoskowska: *Kontrola myśli i wolność symboliczna*. W: *Piśmiennictwo – systemy kontroli – obiegi alternatywne*. T. 1. Red. Janusz Kostecki i Alina Brodzka. Warszawa 1992, s. 13.

kim. A wszystko według zasady, że to, co nienazwane, nie istnieje w rzeczywistości i odwrotnie – słowa niczym zaklęcia kreują fakty, choćby nikt w nie nie wierzył.

W ostatnim półwieczu samokontrola w zakresie słowa obejmowała bez mała wszystkich obywateli. Konsekwencje, jakie ponosiły osoby lekceważące tę zasadę, były znane i oczywiste. Lęk przed powiedzeniem czegoś, co mogło wydać się władzy podejrzane, był powszechny. Dotyczyło to nie tylko wypowiedzi pod adresem wysokich funkcjonariuszy państwowych czy partyjnych, ale również uwag krytycznych w odniesieniu do bezpośredniego przełożonego, kierownika czy dyrektora instytucji, w której się pracowało. Bibliotekarze nie stanowili tu żadnego wyjątku. Można było mówić na seminariach i konferencjach o sprawach warsztatowych, bo na tych się władza nie znała, ale już cytowanie wyników badań czytelnictwa czy oceny funkcjonowania bibliotek w szerszym kontekście społecznym były przyjmowane nieufnie, jako podważające oficjalnie głoszone osiągnięcia.

Ten cenzorski trening, w którym uczestniczyło kilka pokoleń bibliotekarzy pozostawił wyraźne ślady mentalnościowe i obyczajowe. Polegają one na kamuflowaniu własnych poglądów, lęku przed zadawaniem pytań, a co za tym, idzie wyciągania prawidłowych wniosków, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych.

Biblioteki jako instytucje publiczne były i są w polu zainteresowań cenzorskich. Toteż broniąc swojej autonomii w zakresie gromadzenia i udostępniania zbiorów czynią to głównie za pomocą legislacji. Jako wyróżniającą się wypada wymienić uchwaloną w 1948 r. dzięki inicjatywie Amerykańskiego Stowarzyszenia Bibliotekarzy (the American Library Association/ALA/) Ustawę o prawach biblioteki (the Library Bill of Rights), nowelizowaną w 1951 i 1961 r. W punkcie pierwszym Ustawy czytamy, iż biblioteka gromadzi materiały biblioteczne, uwzględniając ich informacyjną i oświatową przydatność dla wszystkich obywateli danej społeczności lokalnej. Żadna książka nie może być dyskryminowana z powodów rasowych, narodowych albo racji politycznych czy religijnych przekonań. Z biblioteki może korzystać każdy obywatel niezależnie od tego, jaką narodowość czy rasę reprezentuje, jakie ma przekonania poli-

tyczne lub do jakiej gminy wyznaniowej należy. Ustawę o prawach biblioteki wspierały opinie czołowych bibliotekarzy amerykańskich. Wobec nasilających się zarzutów o niemoralność lub szerzenie idei komunistycznych przez poszczególnych pisarzy, których utwory znajdowały się na bibliotecznych półkach, zabrał głos profesor Leon Carnowski, twórca Szkoły Bibliotekarskiej przy Uniwersytecie w Chicago. Stwierdził on mianowicie, że za dobór piśmiennictwa w bibliotece odpowiedzialny jest bibliotekarz, a jeżeli znajdzie się jakiś obywatel, którego treść książki gorszy moralnie, to niech jej po prostu nie czyta, ale niech nie próbuje pozbawiać prawa do lektury innego czytelnika. Carnowski odmawiał kompetencji komukolwiek do ferowania wyroków czy książka jest moralna, czy nie, dowodząc złożoności każdego zjawiska literackiego i dużego zróżnicowania w odbiorze jej treści przez indywidualnych czytelników. Jako dowód przytaczał poszczególne werdykty sądu najwyższego, które nigdy nie były uchwalane jednogłośnie.

Pewne podobieństwa z ustawą amerykańską wykazuje duńska ustawa o usługach bibliotecznych z 17 maja 2000 r. Na pierwszym miejscu znalazło się stwierdzenie, iż powinnością bibliotek publicznych jest promowanie informacji, oświaty, aktywności kulturalnej poprzez dostępność książek, czasopism, książek mówionych i innych materiałów takich jak nagrania muzyczne, źródła informacji elektronicznej, włączając w to internet i multimedia. W drugim punkcie ustawy stwierdzono, że biblioteki publiczne gromadzą materiały, kierując się wyłącznie ich wartością jakościową. Zgodnie z przyjętymi kryteriami merytorycznymi przy podejmowaniu decyzji nie można kierować się względami religijnymi, moralnymi lub politycznymi. W sformułowaniu tym zawiera się nieograniczone prawo czytelnika do korzystania z różnych źródeł i materiałów bez względu na zawarte w nich poglądy i idee, ale też i przestroga dla bibliotekarzy, by kompletując zbiory, liczyli się wyłącznie ich przydatnością informacyjną, pozostawiając na boku własne poglądy i przekonania.

Ten liberalny punkt widzenia budzi u wielu zastrzeżenia. Dotyczy to również polskiego środowiska bibliotekarskiego, w którym wychowawcze funkcje biblioteki są w dalszym ciągu żywe. A gdzie

mowa o wychowaniu, tam odpowiedzialność za udostępniane treści jest oczywista. Treści te dotyczą nie tylko materiałów drukowanych, ale również audiowizualnych, fotografii, ilustracji, plakatów, filmów gromadzonych tradycyjnie przez biblioteki i dostępnych od kilkunastu lat w Internecie. Wbrew skrajnie liberalnym przepisom w Stanach Zjednoczonych biblioteki nie godzą się na udostępnianie dzieciom i młodzieży materiałów pornograficznych i obscenicznych i mimo licznych protestów starają się blokować dostęp do nich, zwłaszcza w Internecie.

Ustawa z 12 maja 2000 r. o bibliotekach wydana na Słowacji określiła zasady funkcjonowania bibliotek w ramach systemu bibliotecznego, na który składają się: słowacka Biblioteka Narodowa, biblioteki akademickie, biblioteki szkolne i biblioteki specjalne. Głównym zadaniem tego systemu jest rozwijanie biblioteczno-informacyjnych usług dla społeczeństwa, ochrona zbiorów historycznych. Obowiązkiem biblioteki jest zapewnienie swobodnego dostępu do informacji oraz zaspokojenie kulturalnych, informacyjnych, naukowych i oświatowych potrzeb, wspomaganie ustawicznego kształcenia i duchowego rozwoju. W tekście słowackiej ustawy nie ma ani słowa na temat uprawnień czytelnika i użytkownika informacji, ani też o uprawnieniach bibliotekarzy w zakresie doboru piśmiennictwa.

Liberalnych deklaracji na temat dostępu do zbiorów bibliotecznych nie zawierał żaden z międzywojennych projektów polskiej ustawy bibliotecznej. Dopiero w Dekrecie z dnia 17 kwietnia 1946 r. o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi jest mowa, że biblioteki powszechnie służą czytelnictwu, w najszerszym zakresie wychowaniu społecznemu, kształceniu ogólnemu i zawodowemu oraz kulturalnej rozrywce wszystkich obywateli Państwa lub określonego terenu. Uznano powszechnie prawo dostępu do książki i oświaty za pośrednictwem bezpłatnych bibliotek publicznych, respektowanie zainteresowań i potrzeb różnych środowisk, ale jednocześnie postulowano wykluczenie z księgozbiorów książek pozbawionych istotnej wartości tak pod względem treści, jak i formy artystycznej, a więc jak to formułowała Wanda Dąbrowska „...wszelką zdecydowaną tandetę literacką, książki o ujemnym wpływie moralnym (pornografia, sensacja), a także literaturę treści antypaństwowej, wyraż-

nie tendencyjnej i demagogicznej”¹³. O ile można było godzić się na eliminowanie tandety, o tyle ocena literatury antypaństwowej nie mogła być jednoznaczna. *Kariera Nikodema Dyźmy* Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, *Przedwiośnie* Stefana Żeromskiego dalekie były od apologii systemu politycznego i dla wielu były książkami wręcz obrazoburczymi.

Nieco inaczej formułowała te ograniczenia w doborze książek dla bibliotek ustawa o bibliotekach publicznych (1925) na Słowacji. Zabraniała ona włączania utworów bezwartościowych pod względem treści i formy artystycznej, utworów o charakterze niemoralnym, publikacji tendencyjnie uwłaczających poszczególnym stanom lub warstwom społecznym oraz utworów skierowanych przeciw istnieniu i całości Państwa Czechosłowackiego. Dlatego też specjalna Komisja do wyboru dobrej lektury dla bibliotek publicznych zestawiała katalogi książek mających istotną wartość między innymi dlatego, żeby gminy uniknęły wydatków na książki, które nie będą mogły znajdować się w bibliotekach.

Zgodnie z rodzimą tradycją głównym zadaniem bibliotek było wychowanie jednostki i społeczeństwa poprzez dobór wartościowych książek i ich udostępnianie. Nie przypuszczano wówczas, że to czynniki zewnętrzne będą decydowały o tym, co jest wartościowe a co szkodliwe, jakie książki można wprowadzić do zbiorów, a jakie należy eliminować i nie dopuszczać do obiegu czytelniczego.

Dopiero w Ustawie z dnia 27 czerwca 1997 r. o bibliotekach zrezygnowano z wychowania na rzecz zaspokajania potrzeb oświatowych, kulturalnych i informacyjnych całego społeczeństwa oraz upowszechniania wiedzy i kultury. Takie ujęcie zadań bibliotecznych jest o wiele bezpieczniejsze niż to, które zawierał Dekret o bibliotekach, niemniej jednak brakuje w ustawie tego, co wydaje się najważniejsze, a mianowicie pełnej autonomii biblioteki w zakresie gromadzenia zbiorów.

Nowa ekipa polityczna, która przejęła władzę w Polsce w 1945 r. traktowała słowo drukowane (głównie książki i prasę) dwojako. Przede wszystkim uznano je za główne narzędzie oddziaływania ideologicznego. Było to o tyle uzasadnione, że przy nikłym rozwoju

¹³ W. Dąbrowska: *Nowoczesne ustawodawstwo w zakresie bibliotek publicznych*. Warszawa 1929, s. 8.

radiofonii (o telewizji wiedzieli nieliczni) nie miało ono konkurencji. To tym między innymi można tłumaczyć zapał, z jakim nowa władza przystąpiła do likwidacji analfabetyzmu. Brakuje dokładnych danych, ale przyjmowano wówczas, że około 3,5 mln mieszkańców Polski nie umiało czytać i pisać. Żeby upowszechnić wizję lepszego świata i zwalczać to, co władza uważała za wsteczne, trzeba było upowszechnić piśmienność. U podłoża tych działań tkwiła wyniesiona z XIX w. wiara w moc oddziaływania słowa drukowanego. Wierzano, że człowiek czytający książki antyreligijne przestanie chodzić do kościoła oraz że wzbudzą one gniew przeciwko niesprawiedliwości społecznej, krzywdzie, upośledzeniu i wyzyskowi warstw chłopskich i robotniczych w państwach i społeczeństwach kapitalistycznych.

Drugim, równie ważnym elementem były doświadczenia czytelnicze okresu międzywojennego. Dostarczały one licznych dowodów świadczących o znaczeniu formacyjnym literatury pięknej, a w związku z tym o toczonych sporach na temat poszczególnych autorów i tytułów. Środowiska zachowawcze przestrzegały przed wprowadzaniem do samorządowych bibliotek książek wywrotowych i podburzających. Zaliczano do nich między innymi Georga Finka *Jestem głodny*, Pearlą Bucka *Błogosławiona ziemia*, Aleksandra Świętochowskiego *Historia chłopów polskich w zarysie*, Leona Kruczkowskiego *Pawie pióra*, Marii Dąbrowskiej *Na rozdrożu*, Stefana Żeromskiego *Przedwiośnie*. Te zastrzeżenia dotyczyły głównie samorządowych bibliotek publicznych (było ich 884), natomiast stanowiące znakomitą większość (8098) biblioteki społeczne zakładane przez liczne organizacje i stowarzyszenia np.: Towarzystwo Czytelń Ludowych, Towarzystwo Szkoły Ludowej, Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego, Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej, Polski Biały Krzyż, Związek Nauczycielstwa Polskiego – kompletowały i udostępniały swoje zbiory zgodnie z ideowymi założeniami, sformułowanymi w programach i statutach¹⁴.

Strach przed książką „wywrotową” miał w okresie międzywojennym wielkie oczy. I to nie tylko wśród przedstawicieli organizacji skrajnie prawicowych. Zofia Rodziewicz wspomina szczegółowe

¹⁴ J. Kołodziejska: *Publiczne biblioteki samorządowe w okresie międzywojennym*. Warszawa 1967.

dochodzenia w sprawie raportów policji, która w powiecie hrubieszowskim w czasie rewizji znajdowała u chłopów książki „podburzające”, takie jak *Słowo o bandosie* S. Żeromskiego, *Droga, przez wieś* Wincentego Burka, no i oczywiście wspomnianą *Historię chłopów polskich* A. Świętochowskiego. Interwencje policji w bibliotekach miały miejsce również w Warszawie¹⁵. Wydzielone czytelnie i wypożyczalnie dla bezrobotnych w Warszawie stanowią jeden z najsmutniejszych dokumentów lat międzywojennych. Nadzór policyjny, jaki nad nimi rozciągnięto, sprowadził ich działalność do poziomu placówek filantropijnych. Ludzie pozbawieni pracy, wyrzuceni poza nawias społeczny, mogli w nich liczyć na ciepły kąpiel, pod warunkiem, że będą spokojni i nie ulegną „wywrotowym” wpływom.

Po 1945 r. dla nowych władz ekonomiczny i techniczny aspekt książki miał niewielkie znaczenie. Tradycyjny system wydawniczy, w którym książka była towarem a jej regulatorem na rynku była podaż i popyt oraz wynikający z nich zysk, była nie do przyjęcia. Znosząc te mechanizmy, zakładano w przyszłości upaństwowienie fabryk papieru i drukarni. „W sierpniu 1944 r. – pisze Stanisław Kondek – w Resorcie Bezpieczeństwa Publicznego PKWN utworzono Wydział Cenzury, przemianowany w styczniu 1945 r. na Centralne Biuro Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, które z kolei w listopadzie 1945 r. przekształcono w Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk podporządkowany formalnie Prezydium Rady Ministrów. Działania cenzury prewencyjnej zalegalizowano dopiero w połowie 1946 r. GUKPPIW kontrolował nie tylko teksty, zabraniając lub godząc się na ich opublikowanie, ale wyposażono go także w środki pozwalające na egzekutywę decyzji, umożliwiające skutecznie regulowanie dostępu wydawców niezależnych do papieru drukowanego i usług zakładów graficznych”¹⁶. Po likwidacji wol-

¹⁵ J. Zaremba-Guzińska: *Jak pogłębiać zainteresowania czytelnicze u bezrobotnych*. Warszawa 1934, s. 23.

¹⁶ S. Kondek: *Kontrola, nadzór, sterowanie. Budowa państwowego systemu wydawniczego w Polsce w latach 1945-1951*. W: *Piśmiennictwo – systemy kontroli – obiegi alternatywne*. Red. Janusz Kostecki i Alina Brodzka. T.2. Warszawa 1992, s. 203. Zob. też tego autora *Papierowa rewolucja. Oficjalny obieg książek w Polsce w latach 1948-1955* (Warszawa 1999) oraz *Władza i wydawcy. Polityczne uwarunkowania produkcji książek w latach 1944-1949*. Warszawa 1993.

nego rynku papieru i usług drukarskich, podporządkowaniu ich instytucjom państwowym i wprowadzeniu zasad reglamentacji i przydziałów nic już nie stało na przeszkodzie do całkowitego podporządkowania ruchu wydawniczego jednemu ośrodkowi władzy.

Zniesienie cenzury państwowej w 1990 r. uwolniło jednostkę i społeczeństwo od lęku przed nieprawomyślnymi wypowiedziami, ale nie zlikwidowało całkowicie obaw przed cenzurą społeczną, środowiskową, zawodową, partyjną, kościelną. Jednostce nie jest to obojętne, jakie skutki wywoła jej publiczna wypowiedź słowna, zwłaszcza gdy zostanie powtórzona w środkach masowego przekazu, albo opublikowana. Toteż w sądach zaroilo się od pozwów o obrazę, pomówienia, deprecjację. Skarżą się nie tylko politycy, osoby działające publicznie, ale i zwykli obywatele. Repertuar jest szeroki. Od stwierdzeń, że ktoś jest oszustem, przestępcą, złodziejem – aż po pomówienia o czary.

Niespokojne czasy

Lata 1918-1939

Obszarem umożliwiającym określenie funkcjonowania bibliotek jest struktura społeczna. To ona, a nie jak się sądzi postęp techniczny, wyznacza im formę organizacyjną i zasady działania. Wypadałoby zastanowić się, jakie elementy składające się na strukturę społeczną powinny być brane pod uwagę. Stanisław Ossowski określa ją „...jako system międzyludzkich zależności, dystansów i hierarchii zarówno w nieorganizacyjnej jak i w organizacyjnej formie”¹. Według *Słownika socjologicznego* (Toruń 2004) „struktura społeczna jest to układ wzajemnie powiązanych grup społecznych, ale również wzorców zachowań społecznych, występujących w danej zbiorowości, a także układ współzależnych, stosunkowo trwałych i uporządkowanych elementów rzeczywistości społecznej, dotyczących m. in. form rodziny, relacji pokrewieństwa, wzorów praktyk kulturowych itp.”². Według Piotra Sztompki w socjologii rozróżnia się tzw. mikrostruktury takie jak: rodzina, czy krąg towarzyski oraz makrostruktury, do których zalicza się: klasy, grupy zawodowe, jak również cały naród³. Charakterystyczna dla struktury społecznej jest zmienność. Mając ją głównie na uwadze, będziemy starali się określić rolę bibliotek publicznych w dynamizowaniu struktur lokalnych oraz ich rolę narzędzi w polityce państwa, samorządów czy partii politycznych. Oba te obszary są słabo rozpoznane, a w badaniach bibliotekoznawczych prawie nieobecne.

W XIX i na przełomie XIX i XX wieku byliśmy krajem o zdecydowanej przewadze ludności rolniczej (około 70%). Nie stanowiliśmy wyjątku. W 1910 r. w południowych i wschodnich państwach

¹ J. Żarnowski: *Struktura społeczna inteligencji w latach 1918-1939*. Warszawa 1964, s. 9.

² *Słownik socjologiczny*. Toruń 2004, s. 206.

³ P. Sztompka: *Socjologia*. Kraków 2002, s. 137.

europjskich we Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Austro-Węgrzech, krajach bałkańskich i Rosji, większość ludności zajmowała się rolnictwem. Ponad 40% ludności zawodowo czynnej pracowało w rolnictwie w krajach skandynawskich i we Francji; ponad 35% w Niemczech. Większe niż struktura ludności dla rozwoju poszczególnych krajów, zwłaszcza Europy zachodniej miał postęp techniczny głównie takie wynalazki jak pojawienie się sieci gazowych i elektrycznych, rozwój telegrafu pocztowego, telefonizacja głównie wielkich miast, radio, wreszcie metro (Londyn, Budapeszt, Paryż i Berlin) oraz rowery, samochody i wreszcie samoloty. Udział poszczególnych społeczeństw w korzystaniu z tych innowacji był nierówny. W początkowym okresie beneficjentami były warstwy zamożne, z czasem upowszechniły się one w grupach tworzących klasy średnie⁴. Ze względu na polską sytuację polityczną (zabory) i kolejne wyniszczające kraj powstania narodowe zostaliśmy w tyle. Nasze zapóźnienia cywilizacyjne odrabiamy właściwie do dziś.

O ile z wynalazków technicznych szersze rzesze ludności skorzystały dopiero w następnym wieku, to postęp w medycynie spowodował spadek śmiertelności niemowląt i przedłużył życie w grupach trudniących się pracą fizyczną. Przyczynił się do tego twórca antyseptyki (Ignaz Semmelweis), który zalecił lekarzom odbierającym porody mycie rąk. Robert Koch, który zapoczątkował leczenie gruźlicy, Louis Pasteur – odkrywca bakterii węglikowej i wścieklizny. Dzięki upowszechnieniu higieny i zastosowaniu szczepionki przeciw ospie, budowie w miastach wodociągów i kanalizacji, rzadziej zdarzały się epidemie, które w poprzednich wiekach pustoszyły Europę.

Dla wojennych i pokojowych działań praktycznych duże znaczenie miały badania prowadzone nad pierwiastkami radioaktywnymi przez Piotra i Marię Curie.

Prowadzone pod koniec wieku badania Sigmunda Freuda otworzyły nowe perspektywy dla rozwoju psychologii i psychoanalizy i co najważniejsze zmieniły poglądy na ludzi chorych psychicznie.

Punktem wyjścia do naszych rozważań będzie dwudziestolecie Polski Niepodległej (1918-1939). Zmiany w strukturze społecznej miały w tym okresie dwa główne uwarunkowania. Pierwszym było

⁴ J. Holzer: *Europa*, op. cit., s. 28.

dziedzictwo XVIII i XIX wieku, tradycyjne i nieporównywalne z postępem, który dokonał się w krajach Zachodu, drugi zaś obejmowało nowe zjawiska wynikające z odzyskanej niepodległości. W tych złożonych układach społecznych powstawała koncepcja organizacyjna bibliotekarstwa publicznego. O osiągnięciach i niepowodzeniach zadecydowało kilka najważniejszych elementów, którym wypada się bliżej przyjrzeć.

Jako pierwsze należy wymienić przestrzenne rozmieszczenie ludności Polski, to jest gęstość zaludnienia w poszczególnych regionach kraju z uwzględnieniem mniejszości narodowych i etnicznych oraz skupisk miejskich i wiejskich.

Drugim elementem był podział ludności według wieku i wykonywanych zawodów.

Trzeci dotyczył poziomu oświaty, wykształcenia, analfabetyzmu, struktury szkolnictwa: od szkoły podstawowej poczynając, poprzez średnie ogólnokształcące, zawodowe, na akademickim kończąc.

Czwartym była powszechność dostępu do instytucji kultury: teatru, muzeów, sal koncertowych, radia, księgarni, bibliotek oraz punktów sprzedaży prasy.

W 1939 r. Polska liczyła 35,1 mln mieszkańców. Z tego w miastach żyło 8,80 mln (25,7%). Do najludniejszych należały woj. centralne (14,6 mln), do najmniej zaludnionych woj. zachodnie (5,1 mln) oraz wschodnie (6,2 mln). Województwa wschodnie były ubogie w miasta. Mieszkańcy miast stanowili w nich 14% ogółu ludności Polski, gdy w województwach zachodnich 35%.

Na podział administracyjny kraju składało się 17 województw, 264 powiaty (w tym grodzkich 23), 3195 gmin wiejskich i 40 533 gromad. Byliśmy społeczeństwem chłopskim, prawie 70% stanowiła ludność wiejska⁵. W porównaniu z krajami zachodnimi przestrzenne rozmieszczenie ludności naszego kraju było anachroniczne. Takiej przewagi ludności wiejskiej, żyjącej biednie, często na pograniczu nędzy, nie miał żaden kraj z wyjątkiem Hiszpanii. W 1936 r. stopa bezrobocia w Hiszpanii wynosiła około 17%, w niektórych regionach dochodziła do 30%. Wśród 796 341 bezrobotnych 65% stanowili robotnicy rolni. Konflikty między obszarnikami a wiejską

⁵ *Mały Rocznik Statystyczny 1939*. Warszawa 1939.

biedotą były niezwykle ostre: strajki, zabójstwa były codziennością. Wojna domowa (1936-1939) jeszcze bardziej pogłębiła konflikty między wielką własnością a wiejskimi najemnikami. Dopiero po śmierci Francisco Franco (1975) sytuacja zaczęła się poprawiać⁶.

W krajach zachodnich w latach 1830-1930 odpłynęła do miast ogromna część ludności wiejskiej: w Szwajcarii 50%, w Danii – 60, w Holandii i Belgii – 75, w Anglii – 80, we Francji – 80, a w Polsce tylko 17%. W krajach zachodnich wychodźcy ze wsi znajdowali zatrudnienie nie tylko w przemyśle, ale także w handlu i rzemiośle.

Jakąś perspektywą na przyszłość była młodość naszego społeczeństwa. Według spisu ludności z 1931 r. spośród 31 916 mln obywateli 13 762, czyli prawie 42,3% stanowiły dzieci i młodzież w wieku od 0 do 19 lat. Z tej wiekowej struktury wynikały poważne obowiązki dla państwa i samorządów. Trzeba było budować dla tej grupy przedszkola, szkoły, ośrodki kulturalne, biblioteki, organizować dożywianie w szkołach, kolonie itp. Wszystkie te działania miały na celu włączenie tej dominującej grupy Polaków do uczestnictwa w kulturze narodowej i uniwersalnej.

Anachroniczność polskiej wsi była niewątpliwie rezultatem jej historycznych uwarunkowań. W porównaniu z krajami Zachodniej Europy ponad miarę trwał u nas system pańszczyźniany. Nie był on równomiernie rozłożony na cały stan chłopski. W rzeczywistości dzielił się na wiele kategorii. Jak pisze Wojciech Wieczorek: „Na górze drabiny mieścili się ci z nadziałem 30 morgów gruntu i własnym sprzężajem. Poniżej 15 morgowej piersi zagrodnicy. Na samym dole różne odmiany pańszczyźnianego plebsu – ogrodnicy, komornicy, chałupnicy, wreszcie służba folwarczna i niewykwalifikowani najemnicy”⁷. O tej ostatniej grupie warto pamiętać, bowiem odegrała ona znaczącą rolę później, już po II wojnie światowej.

W czasach powłaszczeniowych grupa szlachecka traciła swoją siłę i znaczenie. Dotyczyło to głównie warstwy ziemiańskiej. Przyczyniły się do tego nie tylko względy ekonomiczno-organizacyjne ale nowe prądy umysłowe przyswajane przez kolejne generacje uczącej się szlacheckiej młodzieży. Istotne znaczenie miało również

⁶ A. Beevor: *Walka o Hiszpanię 1936-39*. Kraków 2009, s. 85.

⁷ W. Wieczorek: *Życiorysy pokornych*. Warszawa 2007, s. 77.

poszerzanie się kręgu inteligencji i rozwój zawodów wymagający wykształcenia i kwalifikacji. Uwłaszczone chłopstwo zaczęło przejmować podpatrzone u dworu pańskie obyczaje, między innymi te bardziej konserwatywne, w których mieściła się nieograniczona władza ojcowska. Lekceważenie obowiązujących norm obyczajowych groziło wykluczeniem ze społeczności wiejskiej, co doskonale ilustrują dzieje Jagny w Reymontowych *Chłopach*. Patriarchalizm jest mocno ugruntowany w społeczeństwach zacofanych w: Albanii, Turcji, Pakistanie, Afganistanie, ale też w takich krajach jak Egipt czy Indie.

Jak silnie oddziałują tradycja, dowodzą praktyki rodzinne, obyczajowe i strukturalne właśnie w Indiach. Konstytucja z 1952 r. zniósła podział na kasty. Wydawać by się mogło, że skorzystały na tym grupy najniżej stojące w hierarchii społecznej, zwłaszcza tzw. niedotykalni. Minęło pół wieku i prawie wszystko zostało po staremu. Podziały mają się dobrze i funkcjonują nadal.

W Polsce, w drugim pokoleniu uwłaszczonych chłopów, w drugiej połowie XIX wieku pojawiły się aspiracje oświatowe. Powstały zrazu niewielkie grupy liczące najwyżej 20 osób, w których uczono chłopskie dzieci czytania i pisania, trochę rachowania i coś niecoś wiedzy o kraju: o grobach królewskich na Wawelu, o księciu Józefie Poniatowskim, naczelniku Kościuszcze. Ci, którzy udostępniali swoje izby dla tej tajnej nauki i sprowadzali pierwsze nauczycielki byli zaможnymi gospodarzami. W niepodległej Polsce od roku 1921/1922 wprowadzono obowiązek szkolny, jednak chłopscy rodzice niechętnie posyłali dzieci do szkoły. Prace w gospodarstwie okazały się tradycyjnie najważniejsze. Były też inne powody a wśród nich niewiara, że wykształcenie cokolwiek zmieni w chłopskim bytowaniu, że jest drogą do lepszego życia.

W okresie międzywojennym raczkujący polski przemysł nie był w stanie wchłonąć wiejskich nadwyżek rąk do pracy. Jąkałkolwiek praca umysłowa wymagała ukończenia szkoły średniej. Tę – ze względu na koszty – kończyli nieliczni. Brak perspektyw życiowych zakonserwował w całym dwudziestoleciu strukturę społeczności wiejskiej. Dopiero po 1945 r. forsowna industrializacja, zwłaszcza przemysłu ciężkiego, zbrojeniowego i wydobywczego, budowa

nowych zakładów przemysłowych oraz miast (Nowa Huta, Tychy, Lubin i in.) rozbudziły na wielką skalę ruchliwość przestrzenną młodzieży wiejskiej. Do miast, do przemysłu, na budowy ruszyła przede wszystkim wiejska biedota, służba folwarczna i najemnicy. Zaprawieni w ubóstwie, dojeżdżali do pracy i zaludniali hotele robotnicze, w których warunki bytowania były nędzne. Często nie zrywali oni z uprawą swych karłowatych gospodarstw. Tak powstała kategoria chłoporobotników. Ich poprzednikami byli w latach trzydziestych (o czym mało kto pamięta) tzw. bandosi. Byli to ludzie najmujący się do prac sezonowych w majątkach ziemskich lub u zamożnych gospodarzy. Mieszkali, spali, jedli na wozach, którymi się przemieszczali po kraju. Warunkami życia niewiele się różnili od wędrujących taborów cygańskich.

Lata 1970-1980 przyniosły widoczną gołym okiem modernizację wsi. Pojawiły się maszyny rolnicze, nawozy sztuczne, wcześniej wprowadzona elektryfikacja poczyniła duże postępy, zniknęły chaty ze słomianymi strzechami, a w ich miejsce powstawały murowane, wyposażone w centralne ogrzewanie i skanalizowane z łazienkami i toaletami. Szczególnie szybka modernizacja technologii rolnej nastąpiła wszakże w latach dziewięćdziesiątych. Po kosiarkach i snopowiązałkach nastąpiły kombajny, co to koszą, odsiewają ziarno, a słomę formują w kostki. Miejscy letnicy wzdychają, że nie ma już prawdziwych żniw, nikt nie nosi kosiarzom zsiadłego mleka w dwojakach. Jedna z moich zaocznych studentek zapytana, czy dzieci pomagają w zbiorze truskawek i malin wyznała, z całą szczerością, że ani im to w głowie: czekają na przyjazd Ukraińców szperając w Internecie i wysyłając SMS-y.

Nie ulega wątpliwości, że postęp techniczny i nowe technologie informacyjne przyspieszają zmiany w strukturze społecznej. Bywa, że zaczynem są informacje o tym co, dzieje się w świecie. W przedwojennej wsi polskiej do postępu było daleko, ale coś się już zmieniało w zakresie upraw i w sadownictwie, upowszechniała się higiena, dbałość o dzieci, czystość w obejściach gospodarczych. Działo się tak, ponieważ na wsi wyrastało już nowe pokolenie, lepiej wykształcone i zainteresowane problemami społecznymi i politycznymi. Ci młodzi ludzie zaznaczyli swoją obecność w organizacjach

takich jak: Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici”, w uniwersytetach ludowych, w partiach chłopskich i w ruchu spółdzielczym. To było już inne pokolenie, ukierunkowane bardziej ku przyszłości niż grupa starszych działaczy ukształtowanych mentalnie na przełomie wieków.

II wojna światowa i pięcioletnia okupacja niemiecka oraz radziecka unicestwiły całą tę ukształtowaną w międzywojniu strukturę społeczną. W ciągu 6 lat wojny liczba ludności zmniejszyła się blisko o 6 mln osób, z czego prawie 3 mln stanowili obywatele pochodzenia żydowskiego. Ponad 10% Polaków straciło życie w wyniku działań wojennych. Tylko w czasie powstania warszawskiego Niemcy wymordowali około 200 tys. mieszkańców miasta. Razem z ludnością unicestwiono cały dorobek materialny i kulturalny stolicy. Przepadły pomniki, dzieła sztuki, zabytkowe kościoły, biblioteki, archiwa, galerie oraz wszystko to, co od pokoleń zgromadziły poszczególne rodziny (korespondencja, fotografie, odznaczenia, dyplomy, porcelana, meble, książki i czasopisma) i co służyło zachowaniu ciągłości i wiedzy o przeszłości zarówno indywidualnej, jak i zbiorowej. Wojna, powstanie warszawskie, wywózki na Wschód, migracje i emigracje pierwszych powojennych lat zmieniły całą strukturę społeczną. Zasady stosowane przez obu okupantów były prawie identyczne. Wywożono na Syberię i do łagrów, osadzano w więzieniach i rozstrzeliwano w pierwszym rzędzie inteligencję lokalną: samorządowców, przedstawicieli administracji państwowej, działaczy organizacji i partii politycznych, duchownych, nauczycieli, działaczy spółdzielczych, aptekarzy, leśników, osadników wojskowych, jednym słowem wszystkich mających ponadpodstawowe wykształcenie, działających publicznie i zaangażowanych społecznie. Cmentarz w Palmirach ilustruje to dzieło zagłady. Okupant niemiecki mordował polską elitę: profesorów, studentów, lekarzy, adwokatów, urzędników państwowych, parlamentarzystów, przywódców partii politycznych, stowarzyszeń społecznych, wybitnych sportowców itp.

Uświadomienie sobie zmian terytorialnych i ludnościowych, które dokonały się w Polsce w latach 1939-1945 wymaga spojrzenia na dwie mapy, jedną z 1939 r. i drugą aktualną. Są one tak różne, że nieprzystawalne. Rzucającą się w oczy zmianą było przesunięcie

geograficzne Polski w kierunku zachodnim (o 200 km), utrata ziem wschodnich i południowych. Załedwie 54% terytorium przedwojennej Rzeczypospolitej znalazło się w granicach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Liczba ludności zmniejszyła się o 1/3. Utracono słabo rozwinięte tereny rolnicze, uzyskano bogate złoża węglowe, rudy żelaza, nowoczesną sieć dróg i linii kolejowych, miasta i porty morskie. W strukturze ludnościowej znikły mniejszości narodowe i etniczne. Część przesiedlono do Związku Radzieckiego, inni wyjechali do Niemiec, jeszcze inni (Ukraińcy, Łemkowie) zostali rozproszeni w województwach zachodnich. Ludność żydowską wymordowano.

W 1945 r. Polska liczyła 24 mln mieszkańców. W ciągu półwiecza przyrost demograficzny był wysoki. W 2007 r. ludność Polski liczyła już ponad 38 mln obywateli. W 2007 r. 61,8% ogółu ludności mieszkała w miastach, 38,2% na wsi⁸. W porównaniu z II Rzeczpospolitą dane się odwróciły na korzyść miast. Wśród ludności wiejskiej ci, którzy są rzeczywiście rolnikami, stanowią około 1/3 ogółu mieszkańców. Modernizacja wsi polskiej powoduje, że coraz więcej osób przechodzi do zaplecza usługowego gospodarstw wiejskich. Są to: elektrycy, hydraulicy, ślusarze, lekarze, weterynarze, właściciele sklepów, kierowcy transportu itp. Mimo tych zmian liczba ludności wiejskiej jest w porównaniu z krajami gospodarczo rozwiniętymi nadal wysoka.

Jesteśmy społeczeństwem, którego duża część została wykożeniona i pozbawiona naturalnego zaplecza środowiskowego. W pierwszej powojennej dekadzie, jak to trafnie ujęła Krystyna Kersten, miliony Polaków znalazło się na drogach⁹. U podłoża wielomilionowej migracji ze wschodu na zachód leżały decyzje polityczne zwyciężskich aliantów, które zapadły w Teheranie i Jałcie. Polacy migrujący z województw wschodnich i południowych zabierali ze sobą niewiele: tyle, żeby przeżyć w wielomiesięcznych transportach. Za nimi została cała materialna infrastruktura, w tym również biblioteki. Niektórzy zabierali ze sobą kilka książek, przeważnie A. Mickiewicza, H. Sienkiewicza, E. Orzeszkowej. Te kilka tomów, bywało, że stanowiły załążek bibliotek publicznych w nowym miej-

⁸ *Rocznik Statystyczny 2008*. Warszawa, s. 182.

⁹ K. Kersten: *Ludzie na drogach*. „Res Publica” 1987, nr 4, s. 54-64.

scu osiedlenia na Warmii, Mazurach, w Koszalińskim i Opolskim, we Wrocławskim. W odłączonych województwach wschodnich walc wojenny i to kilkakrotnie zniszczył skromne zasoby biblioteczne. W moich Święcianach, liczących przed wojną około 6 tys. mieszkańców, po kilku polskich bibliotekach nie zostało śladu – podobnie jak po bibliotekach klasztornych i dworskich na Podolu i Wołyniu. Szukaniem pozostałości po nich zajmują się bibliolodzy i czasami znajdują jakieś pojedyncze egzemplarze albo biblioteczną pieczętkę czy strzępy inwentarza. Niewiele z tego wynika, bowiem biblioteka pozbawiona społecznej infrastruktury pozostaje tylko wspomnieniem wśród najstarszych mieszkańców.

Równoległą „wędrówką ludów” było przemieszczanie ludzi ze wsi do miast. O ile ta pierwsza, określana eufemistycznie jako repatriacja, była od nas niezależna i miała charakter przymusowy, o tyle ta druga podejmowana była z chęci zmiany statusu społeczno-materialnego, głównie mieszkańców wsi. Perspektywa pracy w przemyśle, administracji, mieszkanie w mieście (łazienka i spuszczana woda) stanowiły główną motywację wychodźstwa ze wsi. Dla setek tysięcy był to skok cywilizacyjny na niespotykaną dotąd skalę. Można mieć wątpliwości w jego ocenie, bo odbywał się on chaotycznie, bez elementarnych podstaw oświatowych, rudymentów kultury życia codziennego, odniesień do autorytetów społecznych, umiejętności korzystania ze słowa drukowanego (analfabetów liczo no wówczas na 3,3-3,5 mln osób), ale była to zmiana o wymiarze rewolucyjnym. Migranci wynieśli ze środowisk zamkniętych (często ksenofobicznych) swoje obyczaje i mentalność.

„Polska od innych krajów różni się tym – pisze Teresa Bogucka – że skala powojennej migracji z tradycyjnej wsi do miast była niespotykana gdzie indziej, nazwano to schłopieniem miast”. Można zatem sformułować tezę, że wzory wiejskie zostały wniesione jako wyposażenie pochłopskiego powojennego społeczeństwa, z którego formowała się nowa ludność miejska: robotnicy, nauczyciele, wojskowi, urzędnicy. Odruchy przyniesione z wiejskiej biedy do miast – w sytuacji zmuszającej do rywalizacji o rzeczy podstawowe: mieszkanie, lepsze zarobki, wczasy – mogły się tylko pogłębić i utrwalić. Zakorzeniły się tym bardziej, że komunizm zlikwidował

przestrzeń naturalnej współpracy między ludźmi – od handlu poczynając, a na organizacjach niezależnych kończąc. Przejmując kuratelę nad wszystkim, stał się nieodległy od patriarchalnego feudalizmu, gdy ludność za spełnienie obowiązków wobec patrona otrzymywała utrzymanie. W PRL-u dobrostan nie zależał od indywidualnej pracy ludzi, ale od decyzji jakiegoś sekretarza, o którą zabiegało się protekcją, znajomościami, dojskami. Kumoterstwo, układy, korupcja były chlebem powszednim. Inaczej mówiąc, historycznie o wiele dłuższe niż na Zachodzie poddaństwo przygotowały grunt, na którym komunizm wzmacniał cechy ukształtowane niegdyś przez nędzę, zależność i trwałe poniżenie¹⁰. Jak głęboko sięgała onnipotencja struktur państwowych – a właściwie partyjnych – świadczy wiele przypadków. Mój znajomy lekarz został wybrany przewodniczącym Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt w jednej z dzielnic stolicy. Już w parę dni egzekutywa partyjna w tejże poprosiła go, by zrezygnował na rzecz partyjnego nominata. Doświadczenie historyczne pouczało bowiem, że zaczyna się od głaskania kotków i piesków. a kończy na rozpowszechnianiu antyreżimowej bibuły. Polscy komuniści pamiętali, że w II Rzeczypospolitej wokół zakładanych spółdzielni wiejskich, produkujących masło i sery skupiały się ruchy nacjonalistyczne i wolnościowe Ukraińców. Członkowie Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy wspierali te ruchy zwłaszcza w województwie wołyńskim.

W latach czterdziestych – według szacunków dokonanych przez Krystynę Kersten – wędrówka ludności polskiej objęła około 6 mln obywateli podczas wojny i 4 mln w pierwszych latach powojennych. Musiało to odcisnąć się piętnem na życiu duchowym jednostki i całych grup. „Człowiek – krzak – wyrwany, pozbawiony znacznej części znaków porządkujących jego egzystencję, przeobrażał się w człowieka – przelotnego ptaka [...]. Ludzie ci zostali w znacznym stopniu pozbawieni owej swojszczyzny, która tworzyła otaczający ich świat, ich [...] uporządkowany kosmos”¹¹.

W latach 1939-1945 sama dwukrotnie utraciłam dom rodzinny. Byłam uciekinierką przed wywózką w głąb Związku Radzieckie-

¹⁰ T. Bogucka: *Mądry Polak ra swoim*. „Gazeta Wyborcza” 2009, nr 132.

¹¹ K. Kersten: *Ludzie na drogach*. „Res Publica” 1986, nr 4 s. 54-64.

go, wysiedloną z majątku ziemskiego przez Niemców, wypędzoną (określenie odpowiada rzeczywistości) po powstaniu warszawskim z Warszawy, a po wojnie rozparcelowaną w wyniku reformy rolnej. Jeżeli dodać do tego siedmiokrotną zmianę miejsca zamieszkania, to chyba dość jak na jedno życie, choć w skali masowej nie było ono czymś wyjątkowym.

Zmiana statusu społecznego sama przez się nie przyczyniła się do zakorzenienia w kulturze rzesz imigranckich. Wydaje się, że ma rację Irena Wojnar, iż zabrakło wówczas edukacyjnych działań o szerszym profilu, realizowanych zarówno przez powołane do tego instytucje, jak i w całej polityce kulturalnej¹². Słabo obecne okazały się w tym procesie warstwy inteligenckie, unicestwione przez obu okupantów bądź rozproszone po świecie. Zabrakło również środowisk, które byłyby zdolne narzucić pewne wzorce wynikające z kultury miejskiej. Nieliczni mieszkańcy z miast patrzyli z nieufnością, bywało że z pogardą na wiejskich przybyszów. Stąd opowieści – głównie w stolicy – o kurach i świniakach trzymanyh w łazienkach, śmieciach wyrzucanych na podwórkach, suszącej się na balkonach bieliznie itp. Niechęć do wiejskich kształtowała się nie tylko w sferze obyczajowej. Młodzi ludzie ze wsi i małych miast, właściwie miasteczek, zaludnili struktury organizującego się po wojnie państwa. Pomijając produkcję przemysłową i kopalnie węgla, dominowali w wojsku, milicji, służbach bezpieczeństwa, w partii (na wszystkich szczeblach). Było to widoczne zwłaszcza w miastach. To pierwsze pokolenie inteligenckie nie miało większych zahamowań i wątpliwości co do swoich umiejętności. Nowy system polityczny i ekonomiczny, o którym przecież niewiele wiadano, potraktowali jako życiową szansę, której nie można było przegapić. W kraju o niskim poziomie cywilizacyjnym, zniszczonym wojną wnosili siłę fizyczną i minimalne wymagania bytowe; wyrosli przecież w przedwojennej wiejskiej biedzie. To pierwsze pokolenie wychodźców wiejskich poszło do pracy w kopalniach, hutach, na budowach. W systemie wartości, który przybysze przynieśli ze sobą, mieściła się ciężka

¹² I. Wojnar: *Człowiek w perspektywie kultury i edukacji*. Warszawa 1989 masz. powiel.

praca, dbałość o rodzinę i jej materialne potrzeby, praktyki religijne, choć nie zawsze demonstrowane, podporządkowanie przełożonym w pracy, udział w uroczystościach państwowych itp.

Pokolenie to cechował nie tylko młody wiek. Według Piotra Sztompki pokolenie „To grupa ludzi, którzy razem coś przeżyli, coś na tyle ważnego, że zapamiętają to na całe życie, kształtuje to ich postawy, orientacje polityczne, wartości. Zdarza się to najczęściej, gdy w społeczeństwie dochodzi do czegoś bardzo istotnego”¹³.

To pierwsze pokolenie mogło w znakomitej większości liczyć na zasadniczą szkołę zawodową, przysposabiającą do prostej pracy fizycznej. Programy nauczania w tych szkołach były ubogie w treści humanistyczne. Literatura piękna, poezja, historia, wiedza o społeczeństwie były w nich obecne śladowo. Te podstawowe luki edukacyjne przejęło następne pokolenie, które nie trafiło do średnich szkół ogólnokształcących. Obie te generacje nie były w stanie wytworzyć nawyków korzystania z książek i czasopism. Zakres tego korzystania uwarunkowany był tradycjami rodzinnymi i środowiskowymi, a te nie były zbyt powszechne. Bywało, że sięganie po książkę i gazetę wynikało głównie z indywidualnych aspiracji życiowych.

Czytanie książek, czasopism, gazet miało – głównie na wsi, ale też i w miastach – dwa źródła. Pierwsze posiadało charakter wewnątrzgrupowy i wynikało z pragnień zmian stosunków społecznych: większego obszaru wolności, równości i sprawiedliwości. Bodźcem była literatura piękna, nawiązująca do europejskiej myśli filozoficznej, politycznej, ideologicznej, ale zakorzeniona w rodzimjej rzeczywistości. Utwory B. Prusa, W. Reymonta, M. Konopnickiej, E. Orzeszkowej, S. Żeromskiego doskonale ilustrowały to, co lokalne (polskie) i co uniwersalne (światowe). Po książki sięgali ludzie, których łączyła wspólnota przekonań i podobne nastawienie wobec rzeczywistości, najczęściej niezgoda na zastany porządek.

Drugim źródłem inspirującym korzystanie ze słowa drukowanego były działania zewnętrzne. O upowszechnianie piśmienności zabiegały różne organizacje społeczne, także partie polityczne liczące na pozyskanie członków i sympatyków. Zakładane przez nie biblioteki oświatowe różniły się między sobą głównie pod wzglę-

¹³ P. Sztompka: *Trudno dziś być pokoleniem*. „Tygodnik Powszechny” 2009, nr 23.

dem zawartości księgozbiorów. W bibliotece parafialnej próżno by szukać utworów Wandy Wasilewskiej, czy Leona Kruczkowskiego, a nawet S. Żeromskiego, a w bibliotece prowadzonej przez Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici” *Żywotu św. Genowefy*. Ta różnorodność miała swoje dobre strony. Dawała możliwości dokonywania wyborów, formowała postawy ideowe, kształtowała widzenie bliższego i dalszego otoczenia.

Zmiany w strukturze społecznej po 1945 r. zaznaczyły się w kilku obszarach. Po pierwsze w porównaniu z okresem międzywojennym społeczeństwo nasze stało się bardziej miejskie. Ponad 60% ogółu ludności Polski mieszka w miastach. Zmieniła się też – i proces ten postępuje nadal – struktura agrarna na wsi. Przybywa gospodarstw wielkotowarowych, coraz bogatszych w maszyny rolnicze. Coraz więcej młodzieży uczy się i studiuje. Powstanie prywatnych szkół wyższych na prowincji: w Pułtusku, Sieradzu, Legionowie i dziesiątkach innych miast, przełamało monopol wielkich aglomeracji na kształcenie. Kilkumilionowa emigracja zarobkowa (Wielka Brytania, Irlandia) umożliwiła nie tylko większe dochody, ale poznanie i oswojenie się z innym światem, ludźmi i obyczajem. To, że ponad 80% obywateli akceptuje nasze członkostwo w Unii Europejskiej, wynika między innymi również z tego posmakowania inności, naczonego przekonania się, że obcy „nie zionie siarką i smołą”. Te doświadczenia będą owocowały w przyszłości. Po drugie, staliśmy się społeczeństwem niemal jednolitym narodowościowo i etnicznie.

Według spisu ludności z 1931 r. na 31 915 tys. obywateli polscy stanowili: Polacy 68,9%, Ukraińcy – 13,9, Żydzi – 8,17, Białorusini – 3,1, Niemcy 2,3%. Tak więc przyjmując dynamikę wzrostu ludności, Polacy stanowili 2/3 ogółu obywateli, zaś 1/3 to mniejszości narodowe i etniczne. Rozkład ludności liczony według przynależności wyznaniowej i językowej był wielce zróżnicowany. W Poznańskim, Pomorskim, Śląskiem, Krakowskim, Łódzkim Polacy stanowili około 90% ogółu ludności, ale już w Poleskiem w miastach było ich 25,2%, na wsi tylko 8,9, w Wołyńskim podobnie 25,3 w miastach, 14,4 na wsi, w Stanisławowskim w miastach 29,4, na wsi 13,4, w Lwowskim w miastach i na wsi Polacy nie stanowili nawet połowy mieszkańców (47 i 45,9 %).

Wśród Ukraińców dominowali ubodzy rolnicy, Żydzi stłoczeni w miejskich gettach stanowili spauperyzowany proletariat, choć była też wśród nich nieliczna warstwa bogaczy. Najlepiej zorganizowani Niemcy stanowili warstwę zamożnych kupców i rzemieślników. Wszystkie grupy narodowościowe i etniczne były wewnątrznie zróżnicowane: materialnie, kulturowo i politycznie.

Pierwsza uchwalona 17 marca 1921 r. w Niepodległej Polsce Konstytucja określała państwo jako Rzeczpospolitą. Władza zwierzchnia miała należeć do narodu, organami w zakresie ustawodawstwa miały być Sejm i w zakresie wykonawstwa – prezydent i rząd. Przyjęto, że dwuizbowy parlament, złożony z sejmu i senatu, pochodzić miał z wyborów powszechnych, pięcioprzymiotnikowych. Prawo wyborcze przysługiwało każdemu obywatelowi, bez różnicy płci, jedynym warunkiem było ukończenie (21 lat) dla uzyskania czynnego prawa wyborczego do Sejmu i (30 lat) do Senatu.

Konstytucja zapowiadała podział administracyjny kraju na województwa, powiaty i gminy, przewidywała też powstanie samorządów terytorialnych aż do wojewódzkiego włącznie. W zakresie praw obywatelskich wprowadzała zasadę wolności osobistej oraz wolności sumienia i wyznania. Gwarantowała też nietykalność mieszkania i tajemnicę korespondencji, wolność myśli i przekonań, wolność prasy i nauki, swobodę zgromadzeń i stowarzyszeń oraz równość wszystkich wobec prawa. Nie ulega wątpliwości, że Konstytucja marcowa była przepojona duchem demokratycznym, liberalnym i wolnościowym. Ledwie ją uchwalono, już budziła zastrzeżenia i wątpliwości zgłaszane przez prawników i polityków.

Konstytucja zamykała okres scalania II Rzeczypospolitej, a ustalając granice wywalczone w wojnie z bolszewikami w 1920 r., powrotu Śląska do Macierzy, również Wilna włączonego przez gen. Lucjana Żeligowskiego, zapoczątkowała okres stabilizacji.

Włączenie do Polski województw: wileńskiego, nowogródzkiego, poleskiego, wołyńskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego i lwowskiego, w których Polacy przeciętnie stanowili 37,9% ogółu ludności, miało swoje ważne konsekwencje, z czego wielu nie zdawało sobie sprawy. Postanowienia Konstytucji zrównywały wszystkich wobec prawa i gwarantowały wolności osobiste, ale tak jakby zapomniano, czy nie brano pod uwagę, że w tym czasie w całej Eu-

ropie nie było klimatu do łączenia się, a wręcz odwrotnie, nasilały się dążności separatystyczne i odrębnościowe.

Na polskim gruncie stały się więc dążenia niepodległościowe: Litwinów, Ukraińców, Białorusinów. Ilustrowały to wyniki wyborów do Sejmu w 1922 r. Blok mniejszościowy rozpadł się na kluby narodowe: ukraiński, białoruski, niemiecki i żydowski. W wyborach tych mniejszości narodowe uzyskały 21,6% głosów, które opowiedziały się za wyborem pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza. Prawica nie szczędziła obelg i błota. Rozpętana w prasie nagonka zarzucała mu przynależność do masonerii (jakoś nie pamiętano, że twórcami Konstytucji 3 maja byli masoni), że jest protegowanym żydowskiej finansjery światowej, że jest apostatą religijnym itp. Zorganizowano wysyłanie tysięcy listów, depeesz, anonimów domagających się jego rezygnacji. Były też liczne demonstracje i groźby. 16 lutego 1922 r. endek Eligiusz Niewiadomski kilkoma strzałami pozbawił życia Narutowicza w czasie, gdy zwiędzał on wystawę w Zachęcie.

Wewnętrzne konflikty polityczne, wrogi stosunek do mniejszości narodowych miały swoje korzenie w przeszłości zaborowej, ale też i w braku jasnej koncepcji współpracy w wielonarodowym państwie. Dobrej woli brakowało zarówno po stronie władzy skłóconej wewnętrznie i podzielonej politycznie, jak i mniejszości narodowych. Na terenie województw wschodnich i południowych krzyżowały się sprzeczne dążenia i interesy ekonomiczne, oświatowe, kulturalne, polityczne. Szczególne ich natężenie występowało w tych województwach, gdzie ludność polska stanowiła mniejszość.

Odrzucając poglądy skrajne mieliśmy do czynienia z dwiema ideami polskiej myśli politycznej, dotyczącymi mniejszości narodowych. Według pierwszej, reprezentowanej przez Józefa Piłsudskiego i jego najbliższych współpracowników, wszyscy obywatele polscy winni byli państwu lojalność, lecz mieli prawo do zachowania odrębnych języków i kultur. Druga koncepcja, formułowana przez polskich nacjonalistów, zakładała, że modernizacja rejonów gospodarczo zacofanych doprowadzi do asymilacji przez ukraińskojęzyczną ludność polskiej kultury. Szczególnie biedny i cywilizacyjnie zaniedbany był Wołyń. W 1921 r. żadne miasto nie miało tam regularnych ulic. Jedynie Ostroróg mógł się szczycić kanalizacją

i tylko Łuck oraz Równe miały elektryczność (po jednym generato-
rze na miasto). Wśród analfabetów 31% stanowili katolicy w mia-
stach i 65,5% katolicy na wsi, 55,6% wśród prawosławnych w mia-
stach, 84% na wsi, 47,3% wśród Żydów w miastach i 59% na wsi¹⁴.

Analfabetyzm był w Polsce międzywojennej wysoki. Przyjmu-
je się według różnych źródeł, że w końcu lat trzydziestych około
40% ogółu obywateli nie umiało czytać i pisać. Dokładne określenie
tego stanu było trudne. Nawet *Mały Rocznik Statystyczny* z 1939 r.
(Warszawa 1939) zawierał dane tylko dla kilku największych miast.
I tak w Warszawie było prawie 100 tys. analfabetów, w Łodzi 81,4,
we – Lwowie 21,1, w Poznaniu – 2,1, w Krakowie – 9,2, w Wilnie –
19,5 tys. Liczono analfabetów od 10 roku życia, choć też było to
skomplikowane. Dzieci żydowskie, głównie chłopcy uczęszczali do
chederów, szkół religijnych, w których panował mieszany skądinąd
język hebrajski; mówiło się potocznie w jidysz. Tak było w jednej
z dzielnic stolicy, gdzie ludność żydowska stanowiła większość
mieszkańców (dzisiejszy Muranów). Dla polskich władz oświato-
wych byli analfabetami, ale w swoim środowisku traktowani byli
jako piśmienni.

Walkę z analfabetyzmem utrudniała struktura polskiego szkolnic-
twa. W latach 1938/39 na 100 dzieci w wieku 7-13 lat przypadało
90,6 uczniów. Około 1mln dzieci nie znalazło miejsca w szkołach.
W tymże roku wśród 27 235 publicznych szkół powszechnych na
wsi 12 494 miało jednego nauczyciela, 5831 dwóch, 3213 trzech,
1209 czterech, 2353 pięciu i więcej nauczycieli. Te szkoły o jednym
nauczycielu i łączonych klasach nie dawały szansy na opanowanie
umiejętności czytania i pisania. Ale nawet czteroklasówki – jeżeli
uczyły w systemie łączonym dawały podobne efekty.

Wśród 1,5 mln mieszkańców województwa wołyńskiego 1 034 000
(66,7%) stanowili Ukraińcy, resztę Żydzi i Niemcy, Czesi, Rosjanie.
Polska grupa licząca 165 tys. (11,0%) składała się z pracowników
administracji, sądownictwa, wolnych zawodów oraz osadników
wojskowych. Wszyscy oni działali w rozproszonych grupach lub
nawet pojedynczych rodzinach¹⁵.

¹⁴ T. Snyder: *Tajna wojna*. Warszawa, s. 95.

¹⁵ W. Pobóg-Malinowski: *Najnowsza historia polityczna Polski*. T. 2. Gdańsk 1990,
s. 621.

Społeczność ukraińska rozwijała aktywność kulturalną i spółdzielczą. Towarzystwo Ukraińskie „Proswita” w 1920 r. liczyło 25 tys. członków, 8 filii i 50 czytelń, w 1925 r. – 27 tys. członków, 81 filii i 2 tys. czytelni. Liczba szkół ukraińskich wzrastała z 1426 w 1921 r. do 2470 w 1923 r. W spółdzielczości ze związkiem mleczarskim „Masłojuz” liczba kooperatyw w 1921 r. wynosiła 579 i liczyła 169 tys. członków; w 1925 r. wzrosła do 1510 kooperatyw i 179 tys. członków.

Przybyły do Łucka wojewoda Henryk Józefski, najbliższy współpracownik Józefa Piłsudskiego, artysta malarz, wspierał kulturę ukraińską (teatr, kółka czytelnicze, język ukraiński jako wykładowy w szkołach). Tępił wpływy agitatorów – członków Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, działających w towarzystwie „Proswita” (zamknął je w 1931 r.) oraz w ruchu spółdzielczym. Jeżeli chodzi o wpływy komunistyczne (a były one duże), Józefski był nieprzejednany. Jako jeden z pierwszych pozytywnie ustosunkował się do akcji bibliotecznej. Powodem była świadomość rosnącego niezadowolenia wśród ludności ukraińskiej. Represje ograniczające działalność kulturalną i spółdzielczą, dowiodły, że na siłę niewiele da się zrobić, że trzeba wzmocnić polskie instytucje kulturalne na tyle, by stały się dla Ukraińców atrakcyjne. Henryk Józefski był przedstawicielem ruchu prometejskiego, który dążył do osłabienia Związku Radzieckiego poprzez oderwanie i przekształcenie jego zachodnich i południowych republik w niepodległe państwa. Rząd polski wspierał tę ideę (również finansowo), choć bez oficjalnych deklaracji.

Próby pozyskania ludności ukraińskiej na Wołyniu dla kultury polskiej mieściły się w idei prometejskiej, zaznaczyły się również we wspieraniu przez wojewodę akcji zakładania bibliotek publicznych.

Sytuacja w tej dziedzinie była fatalna. W 1929 r. na Wołyniu jedna biblioteka przypadła na 8 tys. mieszkańców, jedna książka na 45 mieszkańców, a jeden czytelnik na 103 mieszkańców. Wszystkie biblioteki były własnością organizacji społecznych, wśród których 124 placówki były polskie, a 137 niepolskie. W każdym miasteczku Żydzi mieli swoją bibliotekę. W 1937/38 w jedenastu powiatach powołano Centralne Biblioteki Powiatowe, obsługujące 683 punkty.

Centrale liczyły 57 tys. tomów i obsługiwały 25 212 czytelników. Biblioteki społeczne miały więcej tomów (201 260), ale czytelników tylko 14 905. Bibliotekarze byli kształceni przez Kuratorium na specjalnych kursach. Nad całokształtem polityki bibliotecznej czuwała Komisja Oświatowa Rady Wojewódzkiej¹⁶. Jednocześnie z akcją biblioteczną postępowała modernizacja województwa. Zbudowano 114 szkół podstawowych i jedną szkołę średnią, trzy szpitale, 10 budynków użyteczności publicznej, wszystkie ważniejsze miasta zelektryfikowano, założono sieć telefoniczną, otwarto dworzec autobusowy w Równem oraz w Łucku. Odsetek dzieci uczęszczających do szkół wzrósł z 15 do 70%.

Integracja ludności polskiej z mniejszościami narodowymi nie poczyniła jednak postępów. Polscy osadnicy żyli osobno, Ukraińcy i Żydzi tworzyli zamknięte środowiska. Modernizacja niewiele zmieniła. Henryk Józefski, mimo iż widział porażkę, nie tracił optymizmu. Jego wizja nowoczesnego państwa obejmowała dwie tradycje, odrzucane przez nacjonalistów tak polskich, jak i ukraińskich. Pierwszą to było europejskie Oświecenie, drugą szlachecki republikanizm w latach 1569-1795 w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. II wojna światowa przekreśliła wszystkie te marzenia i złudzenia.

Po 1945 r. tuszowano istnienie innych grup narodowych. Przystaliśmy być wielonarodową ojczyzną. Te niewielkie grupy narodowościowe i etniczne, które ocalały zniechęciliśmy skutecznie do zakorzenienia się w nowych warunkach. Obrzydzaliśmy życie Ślązakom, zmusiliśmy do wyjazdu Mazurów i Żydów, rozproszyliśmy w ramach akcji „Wisła” Ukraińców. Dopiero po 1989 r. ujawniły się mniejszości: niemiecka na Opolszczyźnie, Litwini, Białorusini, Ukraińcy zaczęli upominać się o prawo do oświaty i kultury, Kaszubi o własny język, a Ślązacy o swoją odrębność.

Dla współczesności z tych doświadczeń płynie przestroga, że budowie dróg, mostów i rozwojowi telefonii komórkowej i całej modernizacji materialnej muszą towarzyszyć zmiany w strukturze społecznej, głównie w sferze kulturowej, mentalnej i obyczajowej.

¹⁶ Szerzej o tych sprawach: J. Kołodziejska: *Publiczne biblioteki samorządowe w okresie międzywojennym*. Warszawa 1967, s. 128.

Zacofanie cywilizacyjne kraju w dwudziestoleciu międzywojennym ograniczało dostęp do wielu instytucji kultury. Do teatru, muzeum, sali koncertowej, a nawet do kina trzeba było dojechać (podobnie jest dziś). Stan dróg był fatalny, samochody należały do rzadkości. W 1939 r. na 10 tys. mieszkańców przypadało 12,1 samochodów; niewiele też było motocykli i rowerów. Dramatycznie przedstawiała się telefonizacja kraju – 7 aparatów na 1000 mieszkańców. Takiego wskaźnika nie dało się porównać z Niemcami (53), Anglią (64), Szwajcarią (103), Danią (113), Łotwą (39), Czechosłowacją (17). W województwach wschodnich w niektórych powiatach telefon mieli starosta, komenda policji, wójt, zamożniejsi ziemianie. Kiedy w powiecie święciańskim 17 września Armia Czerwona przekroczyła granicę, nie było sposobu, by ostrzec najbardziej zagrożonych ludzi. Współcześnie telefonów komórkowych jest więcej niż obywateli, a projekty likwidacji budek telefonicznych są coraz realniejsze.

W 1936 r. mieliśmy w Polsce 103 teatry, w tym 47 stałych i 56 objazdowych, 8 oper i operetek. Wszystkie te instytucje działały w dużych miastach, liczących 100 tys. i więcej mieszkańców. Jakimś uzupełnieniem były teatry ludowe, ale w latach trzydziestych ich liczba malała. W 1931 r. było ich 1965, zaś w 1938 r. już tylko 1037. Kina działały też w mniejszych miastach, liczących od 20 do 100 tys. mieszkańców. Było tych kin ogółem 790.

W latach dwudziestych radio dopiero raczkowało. Wskaźnik 29 aparatów na 1000 mieszkańców kształtował się rozmaicie w poszczególnych regionach kraju. Najwięcej radiodbiorników miała Warszawa (104), najmniej województwa: nowogródzkie (11,6), poleskie (3,6), wołyńskie (10), stanisławowskie (10), tarnopolskie (9). Dla porównania w Szwecji wskaźnik wynosił 195, w Niemczech 154, w Norwegii 125. Gorszą sytuację od nas mieli Włosi (23), Rumuni (14), narody Jugosławii (11).

Książek też wydawaliśmy niewiele. W 1937 r. na 7974 wydanych tytułów literatura piękna stanowiła 1560 dzieł w nakładzie 29 152,9 tys. egzemplarzy, czyli mniej niż egzemplarz na jednego mieszkańca. W grupie wydawnictw popularnych (bez podręczników szkolnych) wydano 2274 tytuły w nakładzie 14 112,9 egzemplarzy.

Wszystkie dane statystyczne wskazują na to, że aktywność kulturalna mieszkańców przedwojennej Polski skupiała się głównie w miastach. Niedostatek dróg, nikła motoryzacja i telefonizacja, cała ta infrastruktura cywilizacyjna różniła mieszkańców miast i wsi. Toteż plany związane z organizacją sieci bibliotek publicznych zakładały ich gęstość na tyle, by właśnie mieszkańcy wiosek mogli dotrzeć do biblioteki piechotą. Jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku wyniki badań Instytutu Książki i Czytelnictwa dowodziły, że optymalna odległość do biblioteki na wsi nie powinna przekraczać 3 kilometrów.

W związku z tak niekorzystną sytuacją cywilizacyjną nasuwa się nieodparte pytanie, czy ówcześni twórcy kolejnych projektów ustawy bibliotecznej, zabiegający o jej wprowadzenie, brali te wszystkie uwarunkowania i bariery pod uwagę? Odniesień takich nie ma w poszczególnych tekstach projektów. W pierwszym dokumencie, opracowanym w 1921 r., który stanowił część ogólnej ustawy o oświacie pozaszkolnej i nosił tytuł *Projekt ustawy o obowiązku utrzymywania początkowych kursów dla dorosłych i bibliotek powszechnych*, ograniczono się do spraw organizacyjno-praktycznych. Projekt ten został uchwalony przez Radę Ministrów i wniesiony do Sejmowej Komisji Oświatowej celem ostatecznego zatwierdzenia. Utknął tam na długo i nie uzyskał aprobaty, mimo iż jego autorzy opowiadali się za fakultatywnym charakterem całej akcji zakładania bibliotek, a usługi tychże miały być odpłatne.

Już ta pierwsza inicjatywa podzieliła opinię publiczną na zwolenników oraz przeciwników ustawowego uregulowania spraw bibliotecznych i powierzenia ich samorządom lokalnym. Obawiano się, że inicjatywa rządowa i samorządowa ograniczy aktywność społeczną w tej dziedzinie, że samorzady nie mają odpowiednich środków finansowych ani kwalifikowanych pracowników, którzy mogliby przejąć odpowiedzialność za funkcjonowanie bibliotek. Były też powody polityczne, czasami skrywane, a bywało, że głoszone publicznie. Obawiano się, że w rejonach, gdzie Polacy stanowili mniejszość, samorzady opanowane przez Ukraińców, Żydów, Białorusinów będą preferowały literaturę w językach narodowych i w ten sposób umacniały niepolskie kultury.

Przewidywana przez autorów ustawy bibliotecznej sieć księżnic miała składać się w miastach i w większych gminach z bibliotek stałych oraz w miejscowościach poniżej 2 tys. mieszkańców z bibliotek ruchomych, ściśle powiązanych z centralami bibliotek powiatowych. Wydatki preliminowane przez gminy na biblioteki uzależniono od liczby mieszkańców, przyjmując 10 gr rocznie na mieszkańca w najmniejszych gminach – do 1 złotego w gminach największych, skupiających powyżej 1 mln mieszkańców.

Przeprowadzony w 1929 r. pierwszy spis bibliotek oświatowych wykazał, że w całym kraju było 8526 tego typu bibliotek z zasobem liczących 6 163 590 tomów, obsługiwano 674 680 czytelników i dokonano 1 292 427 wypożyczeń. Na wsi jeden tom przypadał na pięciu mieszkańców. Najwięcej było bibliotek małych (27,7%). Ich księgozbiory liczyły od 20 do 100 tomów. Na drugim miejscu znalazły się biblioteki mające od 101 do 200 tomów (22,9%), na trzecim placówki liczące 201-500 tomów (23,2%). Dużych bibliotek, posiadających ponad 10 tys. tomów, było tylko 58.

Wśród wykazanych w spisie bibliotek 88,3% stanowiło własność organizacji społecznych. Oprócz nich spis po raz pierwszy wykazał liczbę bibliotek samorządowych. Było ich 233, w tym 51 central powiatowych, liczących 879 553 tomów. W latach 1937/1938 liczba central powiatowych zwiększyła się do 145, a bibliotek stałych do 884. Mimo że bibliotek społecznych było więcej niż samorządowych, rzesza ich czytelników nie była imponująca. Z bibliotek społecznych korzystało 617,0 tys. czytelników, zaś z samorządowych 357,3 tys.

Spis obalił mit o ekspansji książek obcojęzycznych w bibliotekach oświatowych, zwłaszcza samorządowych. We wszystkich bibliotekach książka w języku polskim stanowiła 73,7% ogółu zasobów. Książek ukraińskich było 14,4 %, żydowskich i hebrajskich około 1%. Biblioteki zawierające książki w językach obcych stanowiły w większości własność organizacji społecznych. Na przykład Towarzystwo Ukraińskie „Proswita” miało 1000 bibliotek, a żydowski „Tarbut” przeszło 100. Tylko 2 biblioteki ukraińskie, liczące 800 tomów, były prowadzone przez instytucje samorządowe. Ale oponenti nie zmienili zdania, byli nieugięci przeciwni jakimkolwiek kompromisom.

Ocena zmian w strukturze społecznej w pierwszych powojennych latach jest trudna i to z wielu względów. Po pierwsze, brakuje wiarygodnych wyników badań socjologicznych. Uniwersytety dopiero zaczęły się wtedy odbudowywać, brakowało specjalistów, warsztatów, pieniędzy. Ogląd tego, co się działo wokół, zależał od indywidualnego i subiektywnego punktu widzenia w sferze polityki, gospodarki, kultury. I to był drugi powód, widoczny w dzisiejszej publicystyce, ale i w pracach historycznych. Inaczej oceniali zmiany ludzie, którzy tracili (np. ziemianie czy fabrykanci), a inaczej ci, którzy zyskiwali (wiejska biedota, służba folwarczna). W *Pożegnaniach* Stanisława Dygata¹⁷, Felix, lokaj hrabiny Róży, wymawia wieloletnią służbę i zakłada w Podkowie Leśnej prymitywną restaurację. Jeszcze są Niemcy, ale zaraz wejdą Rosjanie i wszystko się zmieni. To tylko przykład nadziei, jakie rodziły się u osób niżej postawionych w hierarchii społecznej pod wpływem ówczesnej propagandy. Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN) z 22 lipca 1944 r. zawierał obietnice wyborów pięcioprymiotnikowych, przywrócenie swobód demokratycznych (wolność zrzeszania się w partiach politycznych, wolne związki zawodowe, popieranie przez państwo inicjatywy prywatnej, zniesienie kontyngentów ustanowionych przez Niemców). Dekret o reformie rolnej realizował przedwojenne (ślamazarnie prowadzone) uwłaszczenia, nadzieje na uzyskanie kawałka ziemi na własność. Nikt specjalnie nie płakał, że parcelacja odbyła się bez odszkodowania i że parę tysięcy rodzin wiejskich zostało bez dachu nad głową i środków do życia.

Migrujące społeczeństwo, głównie wiejskie, nie miało pewności swego losu i przyszłości. Ci, którzy obejmowali gospodarstwa na Ziemiach Zachodnich obawiali się powrotu byłych niemieckich właścicieli. Biorący ziemię w ramach reformy rolnej nie wykluczali wybuchu zbrojnego konfliktu między aliantami albo represji „ludzi z lasu”¹⁸. Ale nowa władza stopniowo krzepła i rosła w siłę. W 1946 r. Polska Partia Robotnicza liczyła już 400 tys. członków i stan ten systematycznie się powiększał. Prawie dwukrotnie zmniejszyła się

¹⁷ S. Dygat: *Pożegnania*. Wyd. 1. Warszawa 1948; i następne. Wyd. „Polityki” Warszawa [2009].

¹⁸ M. Zaremba: *Niemiecka dżuma, sowiecka grypa*. „Polityka” 2009, nr 30.

liczba analfabetów (także z tego powodu, że odeszły do Związku Radzieckiego mniejszości narodowe zamieszkujące województwa wschodnie i południowe).

W pierwszych powojennych latach podejmowano liczne akcje zmierzające do upowszechnienia piśmienności. Jako najważniejszy wypada wymienić dekret z dnia 17 kwietnia 1946 r. o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi¹⁹. Bibliotekarze nie zasypiali gruszek w popiele i mając gotowe przedwojenne projekty organizacji sieci samorządowych bibliotek publicznych (poprawione i udoskonalone w latach okupacji) przystąpili do działania. Nauczeni smutnymi przedwojennymi doświadczeniami, przyspieszyli wyraźnie prace przygotowawcze. W kwietniu 1945 r. Józef Grycz opracował projekt ustawy bibliotecznej i przedstawił go na specjalnie w tym celu zwołanej konferencji. Wzięli w niej udział przedstawiciele Wydziału Bibliotek Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Informacji i Propagandy, Ministerstwa Administracji Publicznej, przedstawiciele PPS i PPR oraz Związku Bibliotekarzy Polskich. Po uwzględnieniu zgłoszonych na konferencji poprawek w sierpniu 1945 r. projekt był rozważany przez Komisję Oświatową Krajowej Rady Narodowej.

Niewątpliwym wsparciem dla bibliotek było to, co robił twórca imperium „Czytelnika” Jerzy Borejsza. „Czytelnik” był czymś na kształt koncernu prasowego, a w jego programie działania mieściło się wydawanie książek z myślą o likwidacji niewidocznych „rogatek kulturalnych” między miastem a wsią. W 1947 r. „Czytelnik” zatrudniał 5 tys. osób. Zakładał również biblioteki i kluby czytelnicze. Jerzemu Borejszy marzyły się tłumaczenia amerykańskiej literatury, zakup nowoczesnych drukarni, ściąganie do kraju emigrantów, wydawanie tysięcy egzemplarzy gazet i czasopism oraz setek tytułów książek. To w „Czytelniku” pod kierownictwem Anieli Mikuckiej przeprowadzono pierwsze badania czytelnictwa. Wszystko to skończyło się, jak nożem uciął w 1948 r. podczas Kongresu Intelktualistów i wystąpieniu radzieckiego pisarza Konstantina Fadiejewa, który zapowiedział niedwuznacznie epokę stalinowską również

¹⁹ Dz. U. RP 18 czerwca 1946 r., Nr 26, poz. 163.

w kulturze²⁰. Borejsza zmarł w 1952 i pozostawił po sobie i „Czytelniku” legendę.

Organizacja produkcji książki, a także zakładanie bibliotek musiało być wsparte – a dokładniej – poprzedzone działalnością oświatową i to na podstawowym poziomie. Analfabetów w porównaniu z okresem międzywojennym było mniej, ale i tak wcale nie tak mało. Liczby te według rozmaitych źródeł oceniano od 2 do 3,5 mln osób. 7 kwietnia 1949 r. Sejm uchwalił ustawę o likwidacji analfabetyzmu. Na podstawie spisów meldunkowych, list pracowniczych, akt gminnych, wytypowano osoby, które następnie odwiedzano w domu i sprawdzano ich umiejętności czytania i pisania. Według tych działań określono wówczas, że mamy w Polsce około 1 mln analfabetów. Prawdopodobnie było ich znacznie więcej. Udział w sporządzaniu spisów analfabetów brała młodzież ze Związku Młodzieży Polskiej (ZMP). Nie wszystkim się taka łapanka podobała, ale stwierdzenie, że niepiśmienni barykadowali się w domach i spisujących szczuli psami, jest wyssany z palca²¹. Nie wydaje się też prawdziwe imputowanie ówczesnej władzy najgorszych intencji związanych z organizacją kursów dla analfabetów. Według Piotra Osęki miały one służyć wyłącznie indoktrynacji politycznej i ideologicznej. Mogło być tak tu i ówdzie, ale do masowego uczenia czytania i pisania przyczyniły się potrzeby przemysłu, górnictwa itp., które potrzebowały robotników o najniższym choćby poziomie alfabetyzacji. Tam, gdzie to było możliwe, kursy organizowano w bibliotekach publicznych. Ludzie dorośli traktowali bywanie w bibliotece chętniej niż zasiadanie w ławce szkolnej. Biblioteki starały się udostępniać kursantom książki z tzw. dużą czcionką i nie były to broszury propagandowe, ale XIX-wieczna klasyka polska. Oczywiście, w pośpiechu i w pogoni za osiągnięciami trafiały się momenty humorystyczne. W Zamościu na tablicy upamiętniającej zakończenie akcji uczenia, czytania i pisania widniał napis, że w tym miejscu „zlikwidowano” ostatniego analfabetę.

²⁰ R. Kurkiewicz: *Jerzy Borejsza: magnat rewolucji*. „Gazeta Wyborcza”. Duży Format 2009, nr 28.

²¹ P. Osęka: *Naucz się czytać, napisz Stalin*. „Gazeta Wyborcza” 2009, nr 167.

To, że władza traktowała słowo drukowane jako główny element propagandowy, było oczywiste. Po prostu nie było innego. Radiofonia była słaba, a telewizja zaczęła działać dopiero w drugiej połowie lat pięćdziesiątych.

Te trzy wielkie akcje: Dekret o bibliotekach, działalność „Czytelnika” i ustawa o walce z analfabetyzmem miały duże znaczenie dla upowszechnienia piśmienności. Brakowało w nich jednak podstawy, jaką była edukacja szkolna. Zabrakło po prostu wizji i łącznego traktowania gospodarki i kultury. Nowe struktury ekonomiczne były zainteresowane głównie pozyskiwaniem tysięcy pracowników fizycznych z elementarnym przygotowaniem do wykonywania najprostszych prac w przemyśle ciężkim, kopalnictwie i budownictwie. Miało to swoje uzasadnienie w technicznym i technologicznym zacofaniu kraju. Łopata, oskard, chłopski sprzężaj na budowie: tak odbudowywano zburzoną stolicę, koleje, drogi, szkoły i szpitale. I w taki sposób powstała Nowa Huta. Siłą rzeczy całe powojenne pokolenie, głównie wiejskie musiało zadowolić się elementarnym wykształceniem, często na poziomie kilku klas szkoły podstawowej, bywało, że tej przedwojennej albo okupacyjnej.

Wielka wędrówka ze wsi do miast i przemysłu nie sprzyjała utrzymaniu ciągłości sięgania po książkę nawet tam, gdzie potrzeba lektury zdołała się wytworzyć. Podejmowane w różnych okresach próby wyrównywania dystansów kulturowych dzielących miasto i wieś nie powiodły się. Zabrakło wyobraźni. W środowiskach sprawujących władzę tylko nieliczni uświadamiali sobie, że to kultura wpływa decydująco na rozwój społeczny, w tym również na gospodarkę. Nauczeni przedwojennym doświadczeniem ludzie wsi wierzyli, że tylko ciężka praca fizyczna może zmienić ich los. Nowa władza zdawała sobie z tego sprawę i wyższość pracy fizycznej nad umysłową była systematycznie podtrzymywana. Podział na pracowników fizycznych i umysłowych też. Dopiero dwie ostatnie dekady zmieniły to nastawienie. I to dzięki rozwojowi szkolnictwa, zwłaszcza wyższego oraz za sprawą modernizacji gospodarstw rolnych.

Postawmy więc pytanie, do jakiego stopnia biblioteki publiczne mogły wpływać na zmiany w strukturze społecznej? Wiele wskazuje na to, że był on niewielki. Zakładanie bibliotek w latach trzydzie-

stych na Wołyniu nie zmieniło negatywnych odniesień mniejszości narodowych wobec kultury polskiej, podobnie tworzenie gęstej sieci bibliotecznej w dwóch pierwszych dekadach powojennych nie mogło wyrównać braków w wykształceniu społeczności wiejskiej. Wśród bibliotekarzy utarł się pogląd, że biblioteki stanowią naturalne zaplecze szkoły, że wspomagają jej programy edukacyjne. W jakimś stopniu na pewno tak było i jest, o czym świadczą statystyki biblioteczne ilustrujące wysokie wskaźniki dzieci i młodzieży korzystających z bibliotek. Szkoła sprzyja zmianom w strukturze społecznej, jednak pod warunkiem, że stanowi ona integralną część ogólnego programu modernizacyjnego kraju, a jej struktura odpowiada wizji rozwoju gospodarczego.

Po drugiej wojnie światowej Japonia, mająca wcale nie mniejsze niż Polska starty materialne oraz straszliwe doświadczenia Hiroszimy i Nagasaki, jako pierwszy krok wiodący do odbudowy a w przyszłości rozwoju przemysłu precyzyjnego wprowadziła jako obowiązkową dla wszystkich szkołę średnią, prawa wyborcze dla kobiet, masowe odrobaczywianie ludności wiejskiej, powszechną wiedzę o antykoncepcji oraz ustawę o zakładaniu bibliotek publicznych. To była swoista rewolucja społeczna, odbywająca się pod okupacją amerykańską i osobistym nadzorem gubernatora generała Douglasa Georga MacArthura. Ówczesny premier Japonii przy każdym projekcie reformy zapewniał go, że społeczeństwo japońskie tego nie przełknie - bowiem nie jest ona zgodna z tradycją. Ale wbrew obawom ludzie te zmiany zaakceptowali i dziś japońskie produkty elektroniczne dominują na światowych rynkach.

Nasze decyzje o kierunkach rozwoju gospodarczego nie były w pełni suwerenne. Stanowiliśmy część RWPG oraz Układu Warszawskiego, zależni byliśmy od wymiany towarowej ze Związkiem Radzieckim, która służyła przede wszystkim jego potrzebom.

Biblioteki publiczne w II Rzeczypospolitej

Po 125 latach niebytu państwowego, w 1918 r. Polska wróciła na mapę Europy, odzyskała niepodległość. Wyrosła ona na gruzach imperium rosyjskiego i austriackiego oraz po klęsce wojennej cesarskich Niemiec. Wyzwolenie kraju poprzedził rozpad monarchii habsburskiej, zawieszenie broni w dniu 10 listopada 1918 r. i dzień później zawieszenie broni oraz przerwanie walk na wszystkich frontach. W niedzielę 10 listopada 1918 r. powrócił do Warszawy więziony w Magdeburgu Józef Piłsudski i natychmiast rozpoczął rozmowy z ugrupowaniami politycznymi na temat utworzenia rządu koalicyjnego. W Warszawie byli jeszcze Niemcy, którzy powołali rady robotniczo-żołnierskie. Oficjalnie społeczeństwo reprezentowała Rada Regencyjna, Gubernator generał Hans von Beseler opuścił stolicę i jak wieść niosła ewakuował się Wisłą na tratwie do Torunia. Zaczęło się rozbrajanie Niemców, oddziałów w dużej mierze zrewoltowanych, które chciały wracać do domu. Na granicach nie było spokojnie. We Lwowie toczyły się walki z Ukraińcami, również w okolicach Chyrowa i na północy koło Rawy Ruskiej. Bolszewicka Rosja zamierzała rozszerzyć swoje wpływy na kraje zachodnie: Niemcy, Austrię, Węgry, Rumunię, a droga do tych krajów prowadziła przez Polskę.

W tych czasach zamętu i niepewności udało się Józefowi Piłsudskiemu powołać 18 listopada rząd pod prezesurą Jędrzeja Moraczewskiego. Ten pierwszy w niepodległej Polsce rząd, nie czekając na powołanie sejmu, wydał kilka istotnych dekretów. Po pierwsze, wprowadził 8-godzinny dzień pracy; po drugie, ubezpieczenia na wypadek choroby i pomoc dla bezrobotnych; po trzecie, powołał biura pośrednictwa pracy oraz instytucję inspektorów pracy; po czwarte określił najniższą granicę płac oraz wprowadził ustawę o ochronie lokatorów. Już te posunięcia świadczyły, że priorytetem tego rządu były sprawy ważne dla przeciętnego obywatela.

Równie istotny był dekret o najwyższej władzy. Określał on, że Polska jest i będzie republiką i wprowadzał tymczasowy jej ustrój. Piłsudski jako Naczelnik Państwa sprawować miał władzę aż do zwołania sejmu ustawodawczego, rząd stanowili ministrowie przez niego mianowani i przed nim odpowiedzialni. On też miał zatwierdzać projekty ustawodawcze rządu. Niezawisłe sądy miały wydawać wyroki w imieniu Republiki Polskiej, urzędnicy zaś przysięgać na wierność republice. 28 listopada ogłoszono dekret o ordynacji wyborczej, opartej na pięcioprzymiotnikowej zasadzie i przyznającej prawo wyborcze wszystkim obywatelom bez różnicy płci od 21 roku życia. Wybory przewidziano na 28 stycznia 1919 r.¹. Tak więc polskie kobiety uzyskały prawa wyborcze, wyprzedzając wiele krajów europejskich w tym zakresie. Konflikty dotyczące składu osobowego rządu, a właściwie jego składu partyjnego, zaczęły się od pierwszych dni, z czasem przeniosły się na grunt sejmowy. „Nadzieja – pisze Władysław Pobóg-Malinowski – z którą wracał do kraju więzień magdeburski, że przejście od niewoli do wolności przyniesie też przewrót w psychice polskiej: przekreślenie dawnych sporów i gotowość do odbudowy Państwa wspólnym wysiłkiem – zawiodła”². Lewica walczyła z prawicą o wpływy i teki oraz stanowiska w rządzie. A wszystko to w sytuacji, gdy trzeba było stworzyć siły zbrojne, ujednoczyć pozaborowe dziedzictwo w postaci trzech różnych systemów administracyjnych, przepisów podatkowych, kodeksów karnych, prawa handlowego, spadkowego, małżeńskiego – a co również istotne – wprowadzić polską walutę w miejsce austriackiej korony, niemieckiej marki oraz rosyjskich rubli.

Wszystkie te reformy były podejmowane w kraju gospodarczo zrujnowanym, ogołoconym z maszyn i urządzeń w przemyśle, o zdewastowanym kolejnictwie, o rozpaczliwie wyglądających drogach, gruzach po zbombardowanych miastach i spalonych wsiach. W trzech dzielnicach pozaborowych sytuacja była zróżnicowana. Najkorzystniej przedstawiała się w Poznańskim, nieporównanie gorzej w Galicji, gdzie kilkakrotnie przewalały się fronty wojenne.

¹ W. Pobóg-Malinowski: *Najnowsza historia polityczna Polski. Tom II 1914-1939*. Warszawa 1990, s. 148.

² Op. cit., s. 146.

Konieczności odbudowy kraju nie wspierała odziedziczona po zaborach mentalność jednostek i grup społecznych. Potrzebę reform paraliżowały niechęć do wszystkiego, co pochodziło od władzy, choć była już ona polska, odruchowe omijanie prawa, nieumiejętność działania w zespole, brak poczucia odpowiedzialności za dobro publiczne, nietolerancja w stosunku do innych narodowości, które znalazły się w granicach państwa: Żydów, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Niemców i innych. Polski nacjonalizm odczuwalny w pierwszych latach niepodległości nie był ani lepszy ani gorszy od innych, jego korzenie zawsze są te same, ale w sytuacji budowy państwowości od podstaw, zatruwał atmosferę, opóźniał integrowanie się społeczeństwa, dzielił je, nie dopuszczając do upowszechnienia się świadomości wspólnoty obywatelskiej. Nie są to, jak się niektórym wydaje, cechy przynależne do przeszłości. Łatwiej odbudować zgliszcza, czego nasze społeczeństwo dawało niejednokrotnie dowody, niż zmienić jego mentalność. Na to trzeba wielu pokoleń, a ile wymaga czasu tego nikt nie jest w stanie przewidzieć.

Polska – jak twierdzi Janusz Czapiński – jest krajem mającym jeden z najniższych kapitałów społecznych na świecie³. Oznacza to, że brakuje nam więzi międzyludzkich, jesteśmy niezdolni do współpracy, brakuje nam zaufania nawet do najbliższych sąsiadów, nie ufamy rządowi, politykom, duchownym i nauczycielom akademickim, zamykamy się najchętniej w gronie rodzinnym, tolerujemy korupcję i nepotyzm, godzimy się z wprowadzaniem coraz szczegółowszych procedur w instytucjach publicznych: bankach, na poczcie, na lotnisku, w szkole – również w bibliotece. Uproszczenie procedur idzie nam jak z kamienia, wierzymy, że szczegółowe kontrole zastąpią zaufanie, a przy jego braku każda umowa (o czym wiedzą najlepiej przedsiębiorcy) musi być obwarowana zastrzeżeniami, dokument zaś powinno się czytać z lupą w rękę, bo w zapisach drobnym drukiem mogą być pułapki, o których donosi codzienna prasa. Życie w społeczeństwie, któremu brakuje zaufania, staje się coraz bardziej uciążliwe. I nie chodzi tylko o komfortowość naszego samopoczucia ale o rozwój gospodarczy, techniczny, edukacyjny i kulturalny, jednym słowem to wszystko, co ma charakter globalny.

³ J. Czapiński: *Polska smuta*. „Polityka” 2009, nr 16.

Zachowania Polaków w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości były wielce zróżnicowane. Nie prowadzono wówczas na szerszą skalę badań społecznych więc i porównania z dniem dzisiejszym nie są możliwe. Z prac historycznych, pamiętników oraz literatury pięknej wyłania się obraz społeczeństwa zróżnicowanego, skłóconego, w którym indywidualizmy jednostkowe i grupowe przeplatały się z ogromnym zaangażowaniem w odbudowę kraju, tworzeniem ośrodków przemysłowych, czego symbolem stała się rozbudowa Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego, utworzenie nowych uniwersytetów i wyższych uczelni, również bibliotek specjalistycznych takich jak: Biblioteka Sejmowa (1918), Biblioteka Głównego Urzędu Statystycznego (1918), Centralna Biblioteka Wojskowa (1919), Biblioteka Ministerstwa Komunikacji (1919) i inne.

Bibliotekarze krzęтали się wokół spraw bibliotecznych już w przededniu odzyskania niepodległości. W 1918 r. Dekret Rady Regencyjnej o tymczasowej organizacji władz naczelnych w państwie przyznał opiekę na bibliotekami publicznymi i czytelniami Ministerstwu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W związku z tym w 1919 r. powołano do życia Wydział Bibliotek Państwowych w ramach Departamentu Nauki i Szkół Wyższych tego ministerstwa. Powołanie w styczniu 1919 r. pierwszego w odrodzonej Polsce ustawodawczego Sejmu stanowiło dla bibliotekarzy dodatkowy bodziec sprzyjający staraniom o włączenie bibliotek do polityki oświatowo-kulturalnej państwa. Już w 1921 r. bibliotekarze opracowali pierwszy projekt ustawy bibliotecznej, stanowiącej część ogólnej ustawy o oświacie pozaszkolnej. Nosił on tytuł *Projekt ustawy o obowiązku utrzymywania początkowych kursów dla dorosłych i bibliotek powszechnych*. Projekt ten został uchwalony przez Radę Ministrów i wniesiony do Sejmowej Komisji Oświatowej celem ostatecznego zatwierdzenia⁴. Utknął w niej na dobre, choć w środowisku twórców wywołał ciekawą dyskusję, która świetnie oddawała ówczesne poglądy na społeczną funkcję książki i biblioteki publicznej.

⁴ F. Czerwijowski: *Polityka bibliotekarska w kraju w stosunku do bibliotek publicznych i powszechnych*. „Oświata Pozaszkolna” R. 1: 1921, z. 4, s. 130-142.

Połączenie w jednym projekcie rozwiązywania problemów bibliotek publicznych, spraw związanych z nauczaniem początkowym dorosłych, co w praktyce oznaczało walkę z analfabetyzmem, dowodziło dużej przenikliwości jego autorów. Organizację pozaszkolnych kursów czytania i pisania należało wesprzeć powszechnym dostępem do książek, umożliwiając kontynuowanie i utrwalanie nabytych umiejętności. Należało skorzystać z pomocy bibliotek zwłaszcza w sytuacji, gdy organizacja szkolnictwa podstawowego borykała się z ogromnymi trudnościami materialnymi. Brakowało pieniędzy, lokali, wyposażenia i kwalifikowanych nauczycieli. Można się jedynie domyślać powodów braku zainteresowania wśród posłów projektem. „Wybory styczniowe – pisze W. Pobóg-Malinowski – mimo czynnego w nich udziału szerokich mas dały (Sejmowi – J.K.) wyraźną przewagę elementów prawicowo-konserwatywnych, żadne ze stronnictw nie uzyskało jednak większości bezwzględnej, a przy tym żadne nie było jeszcze skonsolidowane wewnętrznie. Zwłaszcza pierwszy rok istnienia Sejmu był okresem bezustannych fluktuacji, przegrupowań indywidualnych i zbiorowych”⁵.

W Sejmie było 340 posłów, grupujących się w 13, a bywało że w jeszcze liczniejszych klubach. W. Pobóg-Malinowski ocenił bardzo krytycznie kwalifikacje intelektualne tej zbiorowości. Twierdził, że 70% nie miało żadnego doświadczenia parlamentarnego (z wyjątkiem posłów galicyjskich), a intelektualnym poziomem nie dorównywali oni średniej inteligencji. Ludzie zdolni, o szerszych horyzontach stanowili znakomitą mniejszość. Ze sprawozdań stenograficznych z tamtego czasu wyziera ubóstwo treści i krańcowo niemal prymitywna forma, zaściankowa ciasnota i płytkość, warcholenie i partyjne sobiepaństwo, zacierzewienie wybuchające ordynarnymi połajankami. Wiele z tych ujemnych cech można by odnieść do czasów dzisiejszych, bowiem dają się one zaobserwować we współczesnym Sejmie. Oczywiście, wszelkie porównania powinna cechować ostrożność, zwłaszcza gdy dotyczą sytuacji historycznych, które są zmienne, natomiast mentalność i zachowania jednostek cechuje trwałość przez dziesięciolecia.

⁵ W. Pobóg-Malinowski: Op. cit. T.2 1914-1939, s. 185.

Skład Sejmu w 1919 r. i obecnie stanowi odbicie struktury społecznej. Różnice są jednak bardzo duże, warto więc im się przyjrzeć. Według pierwszego spisu ludności w 1921 r. ludność Polski liczyła 27 mln. Byliśmy krajem rolniczym. Z rolnictwa, leśnictwa i ogrodnictwa żyło 64% ogółu mieszkańców. W tym czasie we Włoszech żyło z rolnictwa 40% ogółu ludności, we Francji 35%, w Danii 30%, w Niemczech 26%, w Holandii 22%, w Anglii zaledwie 6%, w sąsiedniej Czechosłowacji 39,5%. W Polsce w przemyśle i rzemiośle pracowało 12% ogółu mieszkańców. Całą resztę, około 18% stanowiły zawody kupieckie, edukacyjne i tak zwane wolne zawody: lekarze, aptekarze, adwokaci, duchowieństwo. Przy takiej strukturze zatrudnienia domaganie się utworzenia sieci bibliotek publicznych, utrzymywanych przez samorządy, mogło się wielu wydawać zbędnym luksusem. Wątpliwości wynikały również z faktu, że byliśmy państwem wielonarodowym. Prawie 30% ogółu ludności stanowili: Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Niemcy, Litwini. Według „Rocznika Statystycznego RP 1931/32” językiem polskim posługiwało się 68,9% ogółu ludności. Na drugim miejscu odnotowano ukraiński (10,1%), na trzecim żydowski i hebrajski (8,6%) na dalszym miejscu ruski (3,8%), białoruski (3,1%), niemiecki (2,3%) oraz inne (2,8%).

Przedstawiciele mniejszości narodowych i etnicznych chcieli rozwijać własną kulturę, co dla wielu polskich oświatowców było oczywiste, ale nie dla wszystkich. W pamięci starszego pokolenia nie zatarły się doświadczenia płynące z polityki kulturalnej zaborców, a zwłaszcza dążności rusyfikacyjnych i germanizacyjnych. Mimo tych zaszczości wielu działaczy oświatowych zdawało sobie sprawę z tego, że polityka siły i represji w stosunku do mniejszości narodowych prowadzi jedynie do konsolidacji politycznej i kulturalnej poszczególnych grup i wzmaga nienawiść do wszystkiego, co polskie. Publiczna debata na te tematy nie była łatwa, zwłaszcza że w przypadku Ukraińców składały się na nią różnice narodowe, religijne i klasowe. Niektórzy zabierający głos w tej materii próbowali zwrócić uwagę na ścisłą łączność tych zagadnień i przeciwstawić się pogładowi, jakoby dobrym obywatelem mógł być tylko Polak. Jak pisał Czesław Wycech – „...cel wychowania ludności ziem mieszanych

musimy określić jako dążenie do godzenia i łączenia dla zgodnego współżycia ludności ziem mieszanych narodowo i wychowania na dobrych obywateli państwa narodowości polskiej i niepolskiej pozostających we wzajemnym szacunku”⁶.

Jaki szacunek mogli żywić do władz polskich Białorusini, którym zamykano szkoły podstawowe, a na utrzymanie kilku gimnazjów nie dawano środków finansowych, albo Ukraińcy, którym obiecano utworzenie uniwersytetu we Lwowie i słowa nie dotrzymano. Głównym powodem był anachroniczny stosunek organizacji i partii prawicowych do mniejszości narodowych, brak wyobraźni, jak mają się układać relacje między nimi a ludnością polską, nieumiejętność wyszukiwania problemów sprzyjających wspólnemu działaniu, na przykład w zakresie spółdzielczości czy na polu samorządowym. Na obu tych polach bardzo aktywni byli Ukraińcy, którzy rozwija- li również działalność wydawniczą. Po I wojnie światowej reaktywowała swoją działalność „Proswita”. W 1920 r. miała tylko 8 filii i 50 czytelników liczących 25 tys. członków. W 1912 r. było 2420 szkół ukraińskich, w 1921 r. – 2426, a w 1923 r. – 2470.

W 1921 r. było 579 ukraińskich spółdzielni liczących 189 tys. członków, w 1925 liczba ta wzrosła do 197 tys. członków. Ponieważ od wstępujących na uniwersytet Ukraińców wymagano dowodu służby w wojsku, młodzi ludzie wyjeżdżali za granicę na studia, głównie do Pragi, a po powrocie, nie mogąc znaleźć pracy w polskich urzędach, zasilali ruch oświatowy i spółdzielczy. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby się domyślić, że w poczuciu osobistej krzywdy stawali się rozsądnymi, głównie na wsi, niechęci do wszystkiego co polskie.

Drugim elementem, który tłumaczy – choć nie usprawiedliwia – działania wobec mniejszości narodowych, były ogromne trudności w organizacji szkolnictwa. Począwszy od lat 1931/1932 sytuacja ulegała pogorszeniu i to w całym szkolnictwie. Procent dzieci nie znajdujących miejsca w szkole podstawowej wzrastał, a całe rzesze formalnie objęte nauczaniem niewiele z niego wynosiły.

W 1925/1926 r. 75,2% szkół stanowiły szkoły jednoklasowe realizujące program w zakresie czterech klas. W szkołach tego

⁶ C. Wycech: *Jak prowadzić oświatę pozaszkolną na terenach mieszanych narodowościowo?* „Polska Oświata Pozaszkolna” 1928, nr 3, s. 157.

typu, dysponując jedną izbą, nauczyciel prowadził zajęcia z kilkoma grupami dzieci, przerabiającymi materiał z kilku klas. W latach 1929/1930 sytuacja się nieco poprawiła, tylko bowiem 44,1% stanowiły jednoklasówki, ale do pełnych siedmioklasowych szkół uczęszczało jedynie 30,4% ogółu uczniów. W praktyce około 10-15% dzieci kończyło szkołę podstawową ze świadectwem siódmej klasy.

W latach kryzysu gospodarczego 1928/1929-1932/1933 liczba dzieci w wieku szkolnym wzrosła prawie o milion przy zmniejszonym budżecie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz zmniejszonej liczbie nauczycieli. W 1936 r. dla 1 mln dzieci zabrakło miejsc w szkołach podstawowych. Efekt tych braków był taki, że wśród poborowych do wojska duży procent stanowili analfabeci i półanalfabeci. Przy aprobacie naczelnego wodza, marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego organizacja Białego Krzyża prowadziła w wojsku kursy czytania i pisania. Sprawa była poważna. W czasie działań wojennych w 1939 r. wielu żołnierzy nie potrafiło odczytać i zrozumieć instrukcji dotyczącej wydobywanej z magazynów broni.

Konsekwencją trudności w organizacji w szkolnictwie powszechnym był analfabetyzm. W 1921 r. wśród liczącej 26,8 mln ludności kraju 37,2% nie umiało czytać i pisać. Wśród 15-milionowej populacji wiejskiej 60% stanowili analfabeci. W województwach południowych i wschodnich było ich jeszcze więcej, bo około 70%. Według spisu ludności z 1931 r. sytuacja nie uległa zmianie. Na przykład w woj. warszawskim procent analfabetów w poszczególnych powiatach wynosił 31-40%, w woj. wileńskim 43-50%, a na Polesiu 50-70%. Wśród analfabetów spory procent stanowiła młodzież w wieku szkolnym. Podejmowano więc różne próby by temu zaradzić. Jedną z nich była inicjatywa Polskiej Macierzy Szkolnej zwalczania analfabetyzmu drogą indywidualnego nauczania przez ludzi dobrej woli, na zasadzie niech każdy nauczy czytania i pisanie chociaż jedną osobę. Włączyły się do tego przedsięwzięcia: Związek Harcerstwa Polskiego, Związek Studencki, Legion Młodych i inne. Organizacje lewicowe, głównie Polska Partia Socjalistyczna, skrytykowały ten pomysł, jako filantropijny w sytuacji, gdy likwidacja

cją analfabetyzmu powinno zająć się państwo i samorzady. Nietrudno było przewidzieć, że nie osiągnięto tą drogą żadnych rezultatów i sprawa została rychło zapomniana.

Wielki kryzys lat trzydziestych uderzył znienacka, jak zwykle to bywa z kryzysami. Najdotkliwszym jego przejawem było bezrobocie. Na wschodzie kraju przekroczyło ono 50%. „Praca była wielkim dobrem – stwierdził prof. Jerzy Tomaszewski – nawet praca opłacana podle, poniżej minimalnych kosztów utrzymania zatrudnionego. Każdy grosz pomagał przetrwać”⁷. Poszkodowani byli robotnicy, drobni przedsiębiorcy i rzemieślnicy. W przemyśle spadła produkcja, a w rolnictwie ceny. Spadek był drastyczny: zboża, ziemniaki, wieprzowina staniały o 66%. Na Wileńszczyźnie kurczak kosztował 20 groszy, osetka masła 1,80 zł, jajko jeden grosz, dwukilowy szczupak 2 zł. Chłop nie miał z czego zapłacić podatków, kupić soli czy zapalek. Żydowski krawiec wędrował od wsi do wsi i za nocleg oraz wyżywienie naprawiał chłopski przydziewek. Prócz krawców krążyli po wsiach szewcy, znachorzy, kołodzieje i druciarze. W mieście praczka dostawała obiad, często przyprowadzała jedno lub dwoje dzieci, żeby i one się pożywiły. Lata gospodarczej zapaści cofnęły nas cywilizacyjnie o lata. Bylejakość, brud, brak elementarnej higieny stały się powszechne.

Kryzys odczuł również ruch wydawniczy. Średni nakład książki w latach 1939-1939 zmniejszył się do 4 tys. egzemplarzy (w latach 1918-1929 wynosił 6 tys. egzemplarzy). Nie lepiej kształtowała się produkcja podręczników szkolnych, w której przeciętny nakład w latach 1924-1937 wynosił 7243 egzemplarze. W ciągu całego dwudziestolecia produkcja książki nie osiągnęła wskaźnika 1 książki na jednego mieszkańca w stosunku rocznym.

Trudną problematykę współczesną podejmowali w swojej twórczości: Stefan Żeromski, Jarosław Iwaszkiewicz, Maria Dąbrowska, Leon Kruczkowski, Bruno Jasieński, Tadeusz Boy-Żeleński, Pola Gojawiczyńska, Juliusz Kaden-Bandrowski, Hanna Boguszewska, Zofia Nałkowska, Andrzej Strug i inni. Dźwięczą w tych książkach nuty krytyki panujących stosunków ustrojowych, społecznych i obyczajowych. Przecistawiano się konformizmowi ukazując nędzę

⁷ J. Tomaszewski: *Krach w Polsce, lud w sławojce*. „Gazeta Wyborcza” 2009, nr 36.

w środowiskach wiejskich i miejskich. Uzupełnieniem literatury były opracowane przez Instytut Gospodarstwa Społecznego pamiętniki: chłopów, lekarzy, bezrobotnych. Jeszcze dziś można te wydawnictwa traktować jako wstrząsające lektury.

Problem bezrobocia jako masowego zjawiska społecznego znalazł również odbicie w działalności bibliotekarskiej na terenie stolicy. Na początku 1932 r., w okresie największego nasilenia kryzysu, Koło Warszawskie Związku Bibliotekarzy Polskich zorganizowało sekcję Pomocy Bibliotecznej dla Bezrobotnych, której celem było bezpłatne dostarczanie książek i czasopism ludziom pozbawionym pracy. W 1934 r. na terenie Warszawy było 5 takich specjalnych punktów bibliotecznych (4 na przedmieściach dla pracowników fizycznych i 1 w śródmieściu dla inteligencji) oraz Centrala Czytelni. Wszystkie były związane z kuchniami dla bezrobotnych i początkowo mogli z nich skorzystać, tylko otrzymujący obiady. Według organizatorki tych placówek, Jadwigi Zaremby-Guzińskiej⁸ czytelnie te stały się przytuliskiem dla lokatorów przytułków, domów noclegowych, baraków, mieszkańców piwnic, strychów i komórek. Wierzącym, że to tylko niepowrotna przeszłość, wypada polecić przejazd ulicą Miodową, gdzie przed kościołem ojców kapucynów dzień w dzień formuje się coraz dłuższa kolejka po darmową zupę. Brakuje tylko towarzystwa pod przedwojenną nazwą Kropla Mleka, która starała się zapewnić najuboższym dzieciom choć jedną szklanek mleka dziennie. Piekarz dobroczyńca, który dostarcza do popegerowskiej wsi na Mazurach świeże bułki, rozchwytywane w mig przez dzieci, jakoś do tych tradycji nawiązuje. I chwala mu za to.

Rok 1934, w którym odbywała się zasadnicza batalia o ustawę biblioteczną, obfitował również w wydarzenia polityczne w kraju i za granicą. Słynna afera żyrdowska odstoniła kulisy bezwzględnej dewastacji i penetracji obcego kapitału w naszym przemyśle. Zamach na ministra Bronisława Pierackiego świadczył o nabrzmiałym problemie mniejszości ukraińskiej i bezradności rządu w jego rozwiązywaniu. Rozgrywki wewnątrzpartyjne, przy których dzisiejsze kłótnie sejmowe mogą wydawać się zabawami w piaskownicy,

⁸ J. Zaremba-Guzińska: *Jak pogłębiać zainteresowania czytelnicze bezrobotnych*. Warszawa 1934, s. 22.

rozwiązanie Obozu Narodowo-Radykalnego i utworzenie „miejsca odosobnienia” w Berezie Kartuskiej, w którym osadzano nacjonalistów ukraińskich, komunistów oraz politycznych opozycjonistów, wszystko to animowało opinię publiczną. Wypada dodać do tego również to, co działo się u sąsiadów. W Niemczech umacniał się narodowy socjalizm, nasilały się prześladowania Żydów i partii lewicowych. W Związku Radzieckim zaczynał się krwawy terror, a głód na Ukrainie pochłoniął miliony istnień ludzkich. Nie mogą więc dziwić: wzrost nastrojów radykalnych, masowe wystąpienia nacjonalistycznych bojówek spod znaku „mieczyków Chrobrego” Obozu Wielkiej Polski, wybijanie szyb w żydowskich sklepach, bicie studentów żydowskich na Uniwersytecie Warszawskim, którzy nie chcieli poddać się tzw. gettu ławkowemu, walka o numerus clausus, czyli ograniczenie liczby studiujących, haniebne pobicie prof. Marcelego Handelsmana itp.

Nie sposób rozpatrywać dyskusji toczonej wokół projektu ustawy bibliotecznej w oderwaniu od tych wszystkich i wielu innych spraw, które działy się wokół. Echa sporów ideologicznych i politycznych brzmiały wyraźnie w artykułach publicystycznych dotyczących produkcji książki, bibliotek i najogólniej rzecz ujmując – kultury. Bibliotekarze zabierający głos na łamach prasy byli raczej wstrzeźliwi i starali się zachować do polityki odpowiedni dystans. Podobnie jak dziś, trzymali się kurczowo problemów organizacyjnych i warsztatowych, które to sprawy nikogo nie obchodziły. Nie dbali o własne przedstawicielstwo w Sejmie lub Senacie ani o biblioteczne lobby w dzisiejszym rozumieniu w obu tych ciałach ustawodawczych. Podobnie jak, dziś nie potrafili powiązać działalności bibliotek z perspektywami cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa. Była to sprawa podstawowa, bowiem potrzeba rozwoju umysłowego jednostki i grup z trudem trafiała do przekonania ludziom reprezentującym administrację, samorządy i politykę. Liczyły się głównie pieniądze, które trzeba było wydać na utrzymanie i rozwój bibliotek.

Nic dziwnego, że właśnie przedstawiciele związków samorządowych stworzyli wobec projektu ustawy bibliotecznej najostrzejszą opozycję. Liderem jej był znawca prawa administracyjnego, były minister, profesor prawa administracyjnego Maurycy Jaroszyński.

Indywidualność tego człowieka, jego rzeczywiście gruntowna wiedza i znajomość przedmiotu zarówno teoretyczna, jak i praktyczna oraz nietajona niechęć do ambitnych, ale nieliczących się z rzeczywistością zamierzeń autorów projektu i całej grupy jego entuzjastów zaważyła poważnie na całej dyskusji.

Wypadałoby rozważyć, co w tym projekcie (było ich zresztą kilka) budziło największe kontrowersje. Projekt przewidywał, że zakładanie i utrzymywanie bibliotek publicznych należy do obowiązków samorządów lokalnych. Tymczasem 1934 r., w którym toczyła się dyskusja na ten temat, był najtrudniejszy ze względu na kryzys ekonomiczny. Samorządy były do tego stopnia zadłużone, że specjalny dekret Prezydenta Ignacego Mościckiego stanowił o umorzeniu tych długów. To między innymi dlatego przedstawiciele samorządów postulowali, by zakładanie bibliotek nie miało charakteru obligatoryjnego. Dodatkową zachętą miał być udział Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, w subwencjonowaniu zakupów książek w wysokości 75% wydatków ponoszonych na ten cel z własnych dochodów przez związki samorządowe. Sporo zastrzeżeń budził właśnie ów obowiązek ponoszenia przez gminy części kosztów związanych z utrzymywaniem powiatowych bibliotek publicznych, choć ich wysokość stanowiła jedynie 25%.

Korzystanie z bibliotek miało być bezpłatne, ale w pewnych przypadkach można było pobierać opłaty w wysokości 50 gr miesięcznie w miastach i 10 gr w gminach wiejskich. Pozornie były to opłaty minimalne, ale w latach kryzysu, zwłaszcza na wsi te 10 groszy budziło wątpliwości, również wśród bibliotekarzy.

Środowiska opozycyjne wobec projektu miały też inne zastrzeżenia do proponowanego systemu zakupów książek dla samorządowych bibliotek publicznych. Zakładał on, iż to Ministerstwo będzie ustalało wykazy książek za pośrednictwem specjalnie powołanych komisji oceniających poszczególne tytuły. Potraktowano to jak ingerencję czynników rządowych w dobór piśmiennictwa i okazję do preferowania utworów odpowiadających aktualnej polityce kulturalnej państwa. Obawiano się, że wydawnictwa będą się kierowały przyjętymi przez Ministerstwo preferencjami lekturowymi, pomijając twórczość krytyczną wobec aktualnego systemu. Poglądy

bibliotekarzy na ten temat odbiegały dalece od skrajności politycznych, głównie prawicowych. Wychodzili oni bowiem z założenia, że o doborze książek do bibliotek powinny decydować głównie względy estetyczne i to czy książka ma walory edukacyjne i kształcące zawodowo oraz pogłębiające świadomość obywatelską. Zasady te były zgodne z tym, co proponowały ustawy biblioteczne w innych krajach europejskich.

Projekt zakładał dwustopniową organizację sieci publicznych bibliotek samorządowych, składającą się z bibliotek gminnych i powiatowych. Głównym ogniwem sieci była biblioteka powiatowa. Zadania, jakie jej przypisywano, były zróżnicowane. Z jednej strony miała ona sprawować opiekę nad bibliotekami gminnymi danego powiatu oraz punktami bibliotecznymi obsługiwanymi przez komplety ruchome, z drugiej zaś centralizować budżet, co umożliwiała zakupy nowości wydawniczych, ich katalogowanie i udostępnianie. Biblioteka gminna miała upowszechniać książki przysyłane przez bibliotekę powiatową, dostarczając je głównie młodzieży wiejskiej, skupionej w organizacjach społecznych. Biblioteka powiatowa traktowana jako centrala powinna zatrudniać kwalifikowanego pracownika na pełnym etacie. O te etaty toczyły się zażarte boje. Wielu oświatowców nie chciało przyjąć do wiadomości, że bez fachowych bibliotekarzy niewiele da się zrobić.

Tak więc biblioteka powiatowa cieszyła się dużym uznaniem w środowisku bibliotekarskim i była traktowana jako wypróbowana zasada organizacyjna. Po 1945 r. ponownie stanowiła ona podstawę do organizacji sieci bibliotek publicznych. Uwzględnił ją Dekret z dnia 17 kwietnia 1946 r. o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi (Dz. U. z dnia 18 czerwca 1946 r., Nr 26, poz. 193) z tą jednak różnicą, że oprócz bibliotek powiatowych przewidziano w nim powołanie bibliotek wojewódzkich.

Zasadnicza różnica między projektami ustawy bibliotecznej opracowanymi w okresie międzywojennym a postanowieniami Dekretu dotyczyła traktowania wszystkich bibliotek: powszechnych, naukowych i szkolnych jako ogólnokrajowej sieci bibliotecznej. O takim projekcie nawet nie marzyli przedwojenni bibliotekarze. O ile jednak struktura sieci publicznych bibliotek samorządowych była w jakimś

stopniu przetestowana, to łączne traktowanie bibliotek różnych typów miało bardziej charakter wirtualny i daleki od rzeczywistości.

Jedynym aktem rządowym w sprawie bibliotek samorządowych był Okólnik Nr 31 Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dn. 3 czerwca 19 r.37 w sprawie popierania akcji bibliotecznej (Dz. MSW 1937 Nr 15 s. 252). Był on skierowany do wojewodów, przewodniczących wydziałów powiatowych i prezydentów miast. Stwierdzono w nim, że stosunek samorządów terytorialnych do akcji bibliotecznej powinien wynikać z dążenia samorządu do podniesienia poziomu oświaty i uświadomienia obywatelskiego mieszkańców oraz troski, ażeby poniesiony na cele szkolnictwa powszechnego wysiłek ze strony Skarbu Państwa i samorządu nie został zmarnowany. Przesłanki te prowadzą nas do postawienia przed samorządem terytorialnym wyraźnego postulatu moralnej, organizacyjnej, materialnej opieki nad akcją biblioteczną. Okólnik podpisał minister Felicjan Sławoj Składkowski. Nie wytyczał on żadnej linii rozwoju sieci bibliotek publicznych, ale wśród sformułowanych w nim zaleceń wymieniał centrale powiatowe i biblioteki gminne, co dowodziło, że opracowane przez bibliotekarzy koncepcje organizacyjne aprobowały czynniki rządowe i uznawały za najwłaściwsze. Okólnik trafił do Sejmu i w trakcie dyskusji nad budżetem wywołał sprzeciwy, głównie ze strony posłów reprezentujących organizacje społeczne prowadzące działalność biblioteczną. Zarzucano mu, że nie docenił wkładu w organizowanie bibliotek i zasłużonych organizacji społecznych takich jak: Towarzystwo Czytelń Ludowych, Towarzystwo Szkół Ludowych i Polskiej Macierzy Szkolnej. Innym zarzutem było obsadzanie stanowisk instruktorów oświaty ludźmi młodymi (a jak wiadomo, dla ludzi starszych młodość nie jest zaletą), którzy reprezentowali w swojej pracy pogląd rządowy. Nie cieszący się w województwach zachodnich poparciem, mimo werbalizowanych przy różnych okazjach krytyk, Okólnik przyspieszył jednak zakładanie bibliotek w poszczególnych województwach i powiatach. W 1934 r. w niektórych powiatach wszystkie gminy miały już biblioteki, a gromady były obsługiwane przez ruchome komplety, finansowane przez samorządy.

10 listopada 1937 r. Wołyńska Rada Wojewódzka powzięła

uchwałę zawierającą kierunkowe wskazania i zasady, które regulowały całokształt polityki bibliotecznej na Wołyniu. Przewodnictwo Wołynia w akcji zakładania bibliotek nie było przypadkowe. Ukraińska mniejszość narodowa ograniczana z roku na rok w działalności oświatowej i kulturalnej, korzystała z usług sąsiadów zaopatrujących czytelników w przemycaną literaturę polityczną i przeważnie tendencyjnymi wydawnictwami. Rozumiał to doskonale wojewoda wołyński, Henryk Józefski, przeciwny restrykcjom i represjom, a sprzyjający wzmocnieniu instytucji polskich, w tym również bibliotek samorządowych. Władysław Pobóg-Malinowski pisał, że był to jeden z najwartościowszych ludzi rządzącego obozu, rozumny, o wysokiej kulturze i głęboko pojmujący politykę narodowościową⁹.

Kolejnym województwem, w którym stworzono lokalną ustawę biblioteczną, było łódzkie. W sumie jednak te lokalne inicjatywy, umożliwiające sprawdzenie w praktyce założeń organizacyjnych tworzonych przez środowisko bibliotekarskie, nie były w stanie zastąpić jednolitej w skali krajowej sieci bibliotecznej.

⁹ Op. cit., s. 825.

Biblioteka częścią kapitału intelektualnego

W 2008 r. powstał Zespół Doradców Strategicznych Prezesa Rady Ministrów, któremu przewodził Michał Boni. Sporządził on *Raport o Kapitale Intelektualnym Polski*¹. Nie jest to dokument rządowy, lecz ekspercki, opracowany zespołowo, którego celem jest zainicjowanie debaty publicznej nad przyszłym rozwojem Polski. W środowisku bibliotekarskim nie wywołał żadnej dyskusji, choć jego zawartość, jak rzadko który tekst, może stanowić punkt odniesienia do rozważań nad teraźniejszością i przyszłością bibliotek. Analiza zawartości prasy fachowej dowodzi, że dalej głównym tematem jest: społeczeństwo informacyjne, społeczeństwo wiedzy (o konsumpcyjnym się nie mówi, bo to przecież każdy widzi). Uwaga piszących skupia się wokół spraw warsztatowych, głównie spraw technicznych i technologicznych związanych z komputeryzacją. Marketing i zarządzanie dopełniają całości.

Raport zlecony przez Zespół Doradców Boniego wskazuje na liczne uwarunkowania, które wpłyną na przyszłość bibliotek. Do najważniejszych wypada zaliczyć: regres demograficzny Polski, starzenie się społeczeństwa, zaniedbania w dziedzinie kształcenia, zwłaszcza najmłodszych, wczesne przechodzenie na emeryturę i nieumiejętność wykorzystania kwalifikacji seniorów, brak zgodności między kierunkami kształcenia a rynkiem pracy, niekonsekwencje w polityce prorodzinnej, oraz wiele innych dotyczących gospodarki, prawa i zarządzania, które ominiemy ze względu na ich specyfikę, wymagającą specjalistycznego przygotowania.

Głównym celem *Raportu* jest skupienie uwagi na budowaniu i wykorzystaniu kapitału intelektualnego, na który składa się poten-

¹ Prace w 2008 r. koordynował Paweł Bochniarz. Do Zespołu należeli reprezentanci różnych dziedzin. Dokument elektroniczny <http://www.innowacyjnosc.gpw.pl/kip/index.php?r=46>.

cjał wszystkich rodaków: a) wyrażający się w ich wykształceniu, doświadczeniu życiowym, postawach i umiejętnościach; b) zgromadzony we wszystkich placówkach oświatowych, naukowych i badawczych; c) tkwiący w normach obyczajowych, we wzajemnym zaufaniu, zaangażowaniu i współpracy; d) związany z zewnętrznym wizerunkiem Polski, poziomem integracji z globalną gospodarką, atrakcyjnością dla partnerów handlowych, inwestorów i turystów.

Nie jest tajemnicą dystans dzielący nas od 16 krajów europejskich. Z porównań wynika, że pod koniec pierwszej dekady XXI wieku jesteśmy na 13 miejscu w ocenie zdolności pokolenia dzieci, młodzieży, studentów, dorosłych i na 16 miejscu – seniorów. Z tego porównania wynika, że zajmujemy poślednie miejsce w tym rankingu. Nie wydaje się, by ten stan uległ zmianie w ciągu najbliższych lat. Bliższa prawdopodobieństwa jest granica trzeciej dekady XXI wieku, a więc co najmniej jednego, dwu pokoleń, pod tym wszakże warunkiem, że działania zmierzające do zmian będą podjęte już dziś, a w działaniach tych muszą być uwzględnione narzędzia, które można będzie wykorzystać do ich wprowadzenia. Wśród nich wypada wymienić biblioteki, niezależnie od tego czy będą to placówki szkolne, publiczne, czy naukowe. Nie wiemy, jakiej wielkości środki finansowe będą przeznaczone na rozwój kraju. Są one zależne od licznych uwarunkowań, które mają to do siebie, że są zmienne i nieprzewidywalne. Nie potrafimy określić rozmiarów kryzysu gospodarczego, zwłaszcza w sferze materialnej, ale również psychologicznej. Próby określenia nakładów finansowych na edukację, od przedszkola poczynając, poprzez szkolnictwo średnie, na uczelniach wyższych kończąc, są równie dalekie od precyzji. Nie wiemy, jaki procent sześciolatków trafi w najbliższych latach do szkoły. Równie niepewne jest wyrównywanie szans zarobkowych między mężczyznami i kobietami oraz udziału tych ostatnich w życiu publicznym. Te i wiele innych niewiadomych skłania do wykorzystania instytucji działających w przestrzeni publicznej, do których niewątpliwie należą: biblioteki publiczne, księgarnie, empiki i kluby, organizacje aktywne na wsi: koła gospodyń wiejskich, ochotnicze straże pożarne itp. Mają

one, zwłaszcza biblioteki, ugruntowane tradycje, są osadzone w środowiskach lokalnych, sprawdzone formy pracy, doświadczonych pracowników i działaczy.

W bibliotece publicznej spotykają się pokolenia dziadków i wnuków. Stwarza to możliwości rozwoju międzypokoleniowych kontaktów, wzajemnego rozumienia wyznawanych wartości, a w konsekwencji – tolerancji dla innego widzenia spraw ogólnych i szczegółowych, dotyczących obyczajów i codziennych zachowań. Jest to ważne, bowiem młodzi zarzucają starszym, że zwróceni do przeszłości nie chcą dostrzec zachodzących współcześnie zmian, zaś starsi mają pretensje do młodych, że nie respektują dokonań przeszłych, lekceważą fakty historyczne, w których oni uczestniczyli i które oceniają jako ważne i często bohaterskie. Spotkania w bibliotece mogą wiele wyjaśnić i sprawić, że różnice pokoleniowe okażą się znacznie płytsze i mniej istotne, niż się wydawały. Rozwój form pracy bibliotecznej z przedstawicielami różnych grup wiekowych wymaga uwzględnienia ich w programach kształcenia akademickiego bibliotekarzy, a więc przesunięcia wielu przedmiotów nauczania w kierunku teraźniejszości i przyszłości. Taki zwrot obliguje kadrę nauczającą do umiejętnego i kompetentnego analizowania całego złożonego kontekstu społecznego i wyciągania z tej analizy w miarę prawidłowych wniosków.

Nie jesteśmy krajem bogatym. Według *Raportu o Kapitale Intelktualnym Polski* 26% dzieci i młodzieży poniżej 15 roku życia zagrożone jest ubóstwem (pierwsze miejsce w Europie). Na to ubóstwo składa się: niedożywienie, niedostateczny dostęp do edukacji i opieki zdrowotnej. Nie należymy do społeczeństw zdrowych. Aż 36% dorosłych Polaków deklaruje, że długotrwała choroba lub niedyspozycja ogranicza ich aktywność. Jest to po Finlandii drugie miejsce wśród 16 krajów Unii Europejskiej. Nasze wydatki na kulturę w gospodarstwach domowych są niskie (4,1%), gdy w Danii stanowią one 5,8%, w Szwecji 5,6%, Niemczech 5,4%, Norwegii 5,2%. Po nas jest tylko Łotwa 4,0%, Litwa (2,7%), Cypr (2,6%).

Cytujemy te dane, ponieważ dodatkowo uzasadniają konieczność wykorzystania zasobów materialnych, które posiadamy, głównie bibliotek. Mają one gorsze lub lepsze lokale, wyposażenie (coraz

częściej elektroniczne) oraz kwalifikowanych pracowników. To nie są instytucje, które trzeba budować od podstaw, ale odpowiednio je wspomagać finansowo.

Faktem jest, że żaden rząd nie rozpieszczał bibliotek pod względem materialnym, nawet w tak bogatym kraju jak Stany Zjednoczone. Biblioteki publiczne są tam bezpłatne. Jako instytucje non profit nie mogą zarabiać na sobie, a jeżeli tak jak w Wielkiej Brytanii pobierają one niewielkie opłaty za specjalne usługi, to są to dochody nieprzekraczające 10% ogólnego budżetu. W krajach zachodnich, nawet tych najbogatszych, są często obiektem krytyki. Dla jednych biblioteki przywiązują zbyt dużą wagę do gromadzenia beletrystyki, dla innych należałoby ograniczyć kupowanie nagrań muzycznych, jeszcze innym przeszkadza organizowanie przedstawień teatralnych czy spotkań z pisarzami. Wszystko to nie miałoby większego znaczenia, bowiem w państwie demokratycznym każdy ma prawo do wyrażania własnego poglądu, gdyby nie to, że te opinie, wypowiedane w środkach masowego przekazu, trafiają do polityków, samorządowców, prywatnych sponsorów, jednym słowem do tych, którzy decydują o wielkości przyznawanych środków na rozwój.

Poglądy i opinie o ograniczeniu działalności bibliotek mają różne źródła. Jako najistotniejsze i najczęściej powtarzające się wypada wymienić te, które zostały przeniesione z ekonomicznego systemu wolnorynkowego, z zasady niechętnie wydatkowaniu pieniędzy ze środków publicznych na cele odległe od prywatnej, gospodarczej przedsiębiorczości.

W *Raporcie o Kapitale Intelktualnym Polski* stwierdza się, że Polska starzeje się jako społeczeństwo. Udział osób powyżej 65 roku życia wynosił w 1950 r. – 4,2%, zaś w 2005 r. – 13,3%, według prognoz w 2050 r. będzie stanowił 31,2%. W porównaniu z innymi regionami świata: Afryką, Azją Wschodnią, Europą Zachodnią, Ameryką Południową jest to najwyższy współczynnik. Przodujemy, jeżeli chodzi o średni wiek populacji. W 1950 r. wskaźnik ten stanowił 28 lat, w 2005 r. – 36,8 , a w 2050 będzie wynosił 52,4 lata. W porównaniu z wymienionymi regionami jest to również najwyższy współczynnik.

Autorzy *Raportu* proponują aktywne wykorzystanie seniorów

poprzez ich aktywizację zawodową – lub inaczej – przedłużenie czasu pracy zawodowej. Tylko jak tego dokonać? Pośród 16 krajów europejskich (objętych porównaniem) poziom aktywności zawodowej polskich seniorów jest najniższy. Równie niski jest poziom dostępności usług medycznych, ale za to wysokie poczucie alienacji w tej grupie. W miarę starzenia się nie przybywa sił, pojawiają się natomiast dolegliwości i choroby, co oczywiście jest rzeczą normalną. Postulowanie przedłużenia aktywności zawodowej nie może mieć charakteru bezwzględniego po prostu dlatego, że praca zawodowa jest zróżnicowana. Inaczej ocenia przedłużenie pracy nawet o dwa lata prądką albo górnik, inaczej nauczyciel i kasjerka w supermarkecie. Są jednak dziesiątki zawodów, w których można pracować dłużej: bibliotekarstwo, archiwistyka, opieka społeczna i inne.

Biblioteki publiczne mogą przyczynić się do zmian nastawień do ludzi starszych. Jest to konieczne, bowiem czasy współczesne, jak pisze Marek Safian „...charakteryzuje być może bardziej niż cokolwiek innego kult młodości. To dla młodych tworzy się kulturę – edukację, miejsca pracy i nowoczesną medycynę. Starość jest wstydliva i niemedialna, powinna za wszelką cenę ukryć swoją miżerię, beznadzieję, pomarszczoną twarz, niesprawne ciało, znoszone ubranie. Wypada epatować młodością, nie wypada ukazywać starości. Młodość bije z reklam telewizyjnych, ulicznych billboardów, zewsząd. Ta atmosfera nie ominęła bibliotek. Na szczęście nie wszystkie”². Wielu dyrektorów pozbywa się pracowników osiąających wiek emerytalny, zamiast zorganizować dla nich (jeżeli są potrzebne) kursy dokształcające (np. w zakresie komputeryzacji, Internetu). Zatrudniając młode kobiety po studiach, nie bierze się pod uwagę, że będą zakładały rodziny, rodziły dzieci, korzystały z urlopów wychowawczych, zwolnień na opiekę nad dzieckiem. Czterdziestoletnie i pięćdziesięcioletnie bibliotekarki mają to wszystko za sobą, są dyspozycyjne.

Wiele bibliotek postępuje w środowisku społecznym inaczej, wciągając do współpracy starsze pokolenie. Zapraszają babcie i ciotcie, by czytały małym dzieciom. Albo pokazały, jak się piekło niegdyś chleb, plotło koronki. Dziadek może zagrać na nieznanym już

² M. Safian: *Ludzie niewidzialni*. „Newsweek” 2008, s. 33.

instrumencie, pokazać swoje malunki czy wyroby z wikliny. Bywa, że młodzi czytelnicy zanoszą starszej osobie książkę, poczytają gazetę, opowiedzą, co się dzieje we wsi i na szerokim świecie. Są to takie działania, z których można utkać międzypokoleniową więź. Przyszłym bibliotekarzom trzeba mówić o zmianach zachodzących w społeczności lokalnej i nie tylko, zachęcać do obserwacji, przewidywania tego, co nas czeka, a nie tylko tego, co już za nami.

Głównym zajęciem emerytów w Polsce jest zajmowanie się rodziną, przede wszystkim wnukami. Tu prym wiodą kobiety. Spośród 19 badanych na tę okoliczność krajów Polska zajmuje pierwsze miejsce. Odsetek emerytów zajmujących się rodziną stanowi u nas 30%. Dla porównania w Kanadzie, Niemczech i w Stanach Zjednoczonych odsetek ten kształtuje się około 15%. I nic w tym dziwnego, bowiem w krajach gospodarczo rozwiniętych dzieci usamodzielniają się bardzo wcześnie. Ukończenie 18 lat jest wystarczającym powodem do opuszczenia domu rodzinnego, zamieszkania w kampusie uniwersyteckim albo wynajęcia mieszkania. Odległości, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, powodują, że kontakt z domem rodzinnym staje się coraz luźniejszy. Na pomoc rodziców w wychowywaniu dzieci nie ma co liczyć. Rodzice, przeważnie w średnim wieku, mają niezliczone możliwości realizowania swoich zainteresowań: kulturalnych, społecznych, sportowych itp. W pracach lokalnych wykorzystują często swoje umiejętności.

W jednej z amerykańskich bibliotek publicznych emerytowani bankowcy przeprowadzili wśród czytelników ćwiczenia związane z wykorzystaniem komputera i Internetu, w jeszcze innej meksykańskie babcie przygotowały z czytelnikami wspólny lunch, tak by mogli oni posmakować meksykańskich potraw.

Wszelkie programy zakładające aktywizację kulturalną seniorów muszą liczyć się z uwarunkowaniami społecznymi i kulturowymi, w których żyje jednostka i grupa. Cieszące się popularnością w Polsce Uniwersytety Trzeciego Wieku są zdominowane przez osoby mające przynajmniej średnie wykształcenie.

Są to instytucje działające w dużych miastach. Na wsi i w małych miasteczkach możliwości zorganizowania ośrodków edukacyjnych oraz rekreacyjnych są nieporównanie skromniejsze. Stąd wydaje

się, że trzeba wykorzystać placówki zakorzenione w tych środowiskach i znane mieszkańcom. Są nimi biblioteki publiczne. Ich aktywizacja w tym względzie nie wymaga dodatkowych środków finansowych. Podstawę stanowią: lokal, wyposażenie, księgozbiór, urządzenia elektroniczne (komputer, dostęp do Internetu) oraz odpowiednio wykształceni bibliotekarze. Za wykorzystaniem bibliotek przemawia głównie ich liczba oraz rozmieszczenie przestrzenne. Umożliwiają one przy niewielkich dodatkowych nakładach realizację programów zmierzających do zintegrowania starszego pokolenia z młodszymi generacjami w zakresie edukacji, kultury, pełnionych zawodów i wielu innych dziedzinach życia społecznego. Integracja ta wobec nierównowagi pokoleniowej staje się koniecznością. I nie chodzi tu tylko o wydłużenie czasu pracy ludziom starszym, tak by płacone przez nich podatki odciążyły budżet państwa w części przeznaczonej na wypłaty emerytur i rent choć z ekonomicznego punktu widzenia jest to sprawa ważna, ale o budowę struktur społeczeństwa obywatelskiego, w którym poszczególne generacje wypełniają przypisane im funkcje, a ludzie starsi zyskują poczucie swojej przydatności i użyteczności.

Budowa społeczeństwa obywatelskiego zaczyna się bardzo wcześnie, już od przedszkola. A z tym jest bardzo źle. Według *Raportu o Kapitale Intelktualnym Polski* dostęp do edukacji przedszkolnej ma tylko 41% dzieci w wieku 3-5 lat. Jest to rezultat bezmyślnego likwidowania przedszkoli począwszy od lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Trudno dziś dociec czym się wówczas kierowano. Można jedynie przypuszczać, że dominowała wówczas idea zachowawcza, zakładająca, że dziecko powinno wychowywać się w rodzinie i że żadne publiczne instytucje tego wychowania nie zastąpią ani nie wspomogą. Jakoś nikomu nie przyszło wówczas do głowy, że rodziny są różne: bywa, że dysfunkcjonalne, że coraz więcej jest matek samotnie wychowujących dzieci (w 2008 r. było ich około 1,5 mln), że w wielu rodzinach małe dzieci są niedożywione, że brakuje książek, zabawek, przestrzeni, że istnieją duże różnice w dostępie do kultury, dzielące nie tylko miasto i wieś, ale także poszczególne regiony kraju. Nikt też nie próbował porównać dostępu do nauki przedszkolnej w Polsce i innych krajach. Różnice te

są uchwytnie statystycznie i wypadają dla nas fatalnie. Udział polskich dzieci w tej przedszkolnej edukacji jest najniższy w Europie. We Francji, Hiszpanii, Włoszech, Belgii 100% 3-5 latków objętych jest nauką przedszkolną. W Danii, Wielkiej Brytanii, na Węgrzech, w Czechach, Szwecji, Niemczech, Estonii, Austrii wskaźnik ten kształtuje się około 80%.

Przedszkole pełni funkcje wyrównawcze w stosunku do najmłodszych dzieci. Tu poszerza się zasób słownictwa, kształtują wyobrażenia i pojęcia oraz zdolność abstrakcyjnego myślenia. To tu kształtują się zachowania społeczne, ciekawość świata, umiejętność koncentracji w słuchaniu i zapamiętywaniu, ale też współdziałania z innymi. O tej ostatniej umiejętności wiedzą bibliotekarze – pracownicy bibliotek publicznych dla dzieci. Sprawdza się ona podczas organizowania różnych imprez, w których dzieci uczestniczą; czy to będą deklamacje czy przedstawienia, tańce lub śpiewy, w których dzieci pełnią rozmaite role.

Przedszkola, udział w zajęciach bibliotecznych, stanowią wstęp do zajęć szkolnych, ułatwiają przyswajanie wiedzy, współzycie w klasie. Dzieci, które uczęszczały do przedszkola, są bardziej tolerancyjne, ale też zachowują swoje zdanie na różne tematy i potrafią go bronić. W wielu bibliotekach publicznych dla dzieci rodzice i wychowawcy uczestniczą we wspólnych imprezach.

Przedszkole jest miejscem, gdzie dziecko uczy się rozróżniać poszczególne litery, oswaja z ich kształtem, bywa że zaczyna je składać i w taki sposób nabywa umiejętności czytania. W szkole daje mu to przewagę nad dziećmi, które do przedszkola nie uczęszczały.

W *Raporcie o Kapitale Intelktualnym Polski* jest mowa, że w porównaniu z innymi krajami ponadprzeciętne wyniki w nauczaniu osiągamy jedynie w zakresie umiejętności czytania. Autorzy martwią się, że zostajemy w tyle w zakresie matematyki i nauk przyrodniczych. Nie wydaje się, by te zmartwienia były w pełni uzasadnione, prognoza rozwoju zawodów opartych na wysokich kwalifikacjach opartych na matematyce i naukach przyrodniczych może się nie sprawdzić, a to dlatego, że wszystkie przewidywania co do rozwoju techniki zależą od wielu zmiennych kulturowych i najogólniej rzecz ujmując, społecznych, umykają wszelkim planowaniom.

Wydaje się, że autorzy *Raportu* nie doceniają kompetencji czytelnicych, a to one leżą u podstaw uczenia się i zdobywania wiedzy. Zwłaszcza gdy chodzi o wiedzę o społeczeństwie, jego strukturze, dystansach oświatowych i materialnych i właśnie intelektualnych.

Poziom kwalifikacji nauczycieli, również bibliotekarzy, warunkuje efekty nauczania. Podobnie jak nauczyciele, bibliotekarze dzielą się na stażystów, kontraktowych, mianowanych i dyplomowanych. Zgodnie z założeniem dyplomowani (nauczyciele i bibliotekarze) mieli być elitą intelektualną zawodu nauczycielskiego. Bywa różnie. Po złożeniu egzaminów i uzyskaniu stopnia nauczyciela dyplomowanego przestają czytać, sięgać po najnowsze lektury, nie uczestniczą w grupach samokształceniowych, jednym słowem nie dbają o dalsze zdobywanie i uzupełnianie wiedzy. Okopani na zdobytych stanowiskach mogą spokojnie doczekać emerytury, zwłaszcza że kandydatów na początkujących nauczycieli nie jest tak wielu, by mogli stanowić konkurencję. Poprzestawanie na zdobywaniu poszczególnych stopni w hierarchii zawodowej powoduje zrutynizowanie a sprzyja mu zasada wspólnego programu nauczania dla wszystkich uczniów, bez uwzględniania różnicowania indywidualnych możliwości i uzdolnień poszczególnych jednostek.

Bibliotekarze szkolni przywiązują najwięcej uwagi do sprawozdawczości liczbowych: ilu uczniów, ile wypożyczeń, jaka przeciętna. Według tych liczbowych osiągnięć są oceniani przez kierownictwo szkoły. W praktyce uczeń wypożycza z biblioteki książkę, przygląda się jej i stwierdza, że ta lektura mu nie odpowiada i po paru dniach je zwraca. Bibliotekarz rzadko się interesuje, co uczeń sądzi o tej książce, dlaczego mu się nie podobała.

Jest w bibliotekarskiej tradycji, że najważniejszy jest księgozbiór, a o wartości biblioteki świadczą zapchane książkami regały. Bibliotekarze niechętnie usuwają przestarzałe, nieaktualne pozycje. Chyba, że są bardzo zniszczone. Dzieci i młodzież szukają książek nowych, o których coś słyszeli, głównie w środkach masowego przekazu. Popularność Harrego Pottera najlepiej o tym świadczy. Uczniowie gimnazjalni już wiedzą, czego szukają, jaka tematyka ich interesuje i próżny trud bibliotekarza by ich zachęcić do czytania staroci, jeżeli nawet z punktu widzenia artystycznego są to dzieła wartościowe.

Szkoła ani biblioteka nie są przygotowane do sprostania zróżnicowanym zainteresowaniom czytelniczym młodzieży gimnazjalnej. Zakłada się i potwierdzają to różne publikacje, że mamy do czynienia z prostą korelacją wieku i zainteresowań lekturowych młodych ludzi. Rzeczywistość nie potwierdza tych opinii. Już w piątej klasie szkoły podstawowej widoczne są kontrasty, lektury się różnicują na te czytane przez dziewczęta, i te którymi interesują się chłopcy. I tak w pierwszej grupie znajdują się książki o wątkach miłosnych, społecznych, rodzinnych, w drugiej zaś pozycje poświęcone technice, elektronice (komputerom), samolotom, ale też podróznikom i odkrywcom. Charakterystyczna w obu grupach jest niechęć do książek historycznych. Można tylko przypuszczać, że jedną z przyczyn tej niechęci jest szkolny program nauczania historii.

Nikt nie bierze pod uwagę, że zamiast przerabiać temat powstania warszawskiego wystarczyłoby kilka lektur np. Mirona Białoszewskiego *Pamiętnik z powstania warszawskiego* albo Leszka Moczulskiego *Rozmowy z katem*. Byłaby to okazja do tworzenia w klasie niewielkich grup zainteresowanych przeszłością.

Przywoływane w literaturze pedagogicznej sukcesy nauczania w szkołach fińskich polegają właśnie na takiej indywidualizacji nauczania w małych grupach. Uczniowie razem z nauczycielem układają listę lektur na cały rok. Są oni traktowani jak partnerzy w układaniu i realizacji programu. Uczeń ma świadomość, że czynnie uczestniczył zarówno w doborze lektur, jak ich realizacji. Wszystkie te zabiegi zmierzają do ujawniania i rozwijania talentów przydatnych w gospodarce opartej na wiedzy, a nie – jak w czasie rewolucji przemysłowej tysiący robotników o jednakowych kwalifikacjach. W Polsce, opóźnionej gospodarczo i technicznie w porównaniu z krajami Zachodu, model jednolitego kształcenia pracowników na potrzeby przemysłu ciężkiego i wydobywczego był jednolity i odpowiadał jego strukturze. Stwarzał on możliwości zatrudnienia i szybkiego usamodzielnienia się pod względem zarobków.

Transformacja, począwszy od lat dziewięćdziesiątych, powstanie gospodarki rynkowej spowodowały zamykanie kopalń i wielkich zakładów produkcyjnych. Nowe sytuacje, bezrobocie ujawniły, że nie każdy się w tej nowej rzeczywistości potrafi odnaleźć. Istotną

przeszkodą był brak elastyczności w zakresie przekwalifikowania tysięcy ludzi, którzy znaleźliby swoje miejsce na rynku pracy.

Szkoła może stwarzać warunki do uczenia się. Lepsze lub gorsze programy nauczania tworzą jego podstawę. Ale w całym systemie edukacyjnym ogromna rola przypada rodzinie. To w środowisku rodzinnym dziecko nabywa w sposób niespostrzeżony masę wiadomości, czasem nawet nie wie skąd dowiedziało się o faktach historycznych lub zjawiskach społecznych czy przyrodniczych.

W wielu krajach, np. Stanach Zjednoczonych, krajach skandynawskich rodzice mają duży wpływ na to, co dzieje się w szkole. Komitety rodzicielskie, wszelkiego rodzaju komisje mają wpływ na pracę szkoły. W Stanach Zjednoczonych komitety rodzicielskie uczestniczą w opracowaniu programów nauczania. Bywa, że żądają, by zamiast przedmiotu poświęconego literaturze wprowadzić temat, jak przygotować przyjęcie weselne albo żeby wycofać z listy lektur szkolnych *Chatę wuja Toma*, ponieważ podaje ona nieprawdziwą wiedzę o sytuacji Murzynów na plantacjach Południa.

W Polsce udział rodziców w pracach szkoły jest niewielki. Znakomita większość rodziców uważa, że wychowanie ich potomstwa jest zadaniem i obowiązkiem szkoły, zwłaszcza tam gdzie, matki samotnie wychowują dzieci i pracują. Jakimś usprawiedliwieniem tego braku zainteresowania jest chroniczny brak czasu. Dzieci z rodzin niepełnych łatwiej niż inne ulegają wpływom otoczenia. Alkohol, narkotyki, destrukcyjne zachowania są znacznie częstsze niż w rodzinach pełnych. W Polsce tylko nieco ponad połowa rodziców uczęszcza na wywiadówki, z tego 92% nie utrzymuje żadnych kontaktów ze szkołą. Podobnie jest w bibliotece szkolnej i publicznej. Na palcach jednej ręki można policzyć rodziców, którzy interesują się lekturami swoich dzieci.

Wpływ rodziny i współpraca ze szkołą są drogą do efektywności nauczania i również wychowania. Ale oto na naszych oczach wyrasta nowy element, o którym wiemy niewiele, a wiedza nasza dotyczy głównie rozmiarów ilościowych samego zjawiska. Elektronika przenika dziś wszystkie dziedziny życia: naukę, oświatę, wszelkiego rodzaju usługi, medycynę czy wreszcie rozległy obszar rozrywki.

Dzieci i młodzież radzą sobie z nią doskonale. Telewizja, kompu-

ter, głównie Internet, wypełniają czas, ułatwiają zdobywanie informacji, a w programie nauczania szkolnego stają się głównym narzędziem. Nie ulega wątpliwości, że korzystanie z Internetu wypiera lektury, spycha książkę na dalszy plan. Za pomocą Internetu można napisać wypracowanie, pracę dyplomową, a nawet magisterską. Szkoły i biblioteki zabiegają o zakupy sprzętu elektronicznego, bez niego czują się zacofane, zwłaszcza że dookoła zachęca do zakupów reklama. Stwierdzenie, że oto żyjemy w cywilizacji elektronicznej, nie jest przesadne, choć ilościowy rozkład sprzętu jest dość zróżnicowany, a do jego powszechności też trochę brakuje. Młody człowiek niosący w teczce laptopa, z telefonem komórkowym przy uchu staje się już pewnego rodzaju standardem oraz wzorem odniesienia dla innych. Coraz młodsze dzieci radzą sobie z komputerem i Internetem, przesyłaniem e-maili i SMS-ów. Korelacje między wiekiem a zainteresowaniami czytelnickimi coraz mniej znaczą. Granice przebiegają dziś gdzie indziej. Umiejętności posługiwania się Internetem dzielą populację dziecięcą i młodzieżową na tych, co dopiero się uczą i tych, którzy korzystają z niego sprawnie. Wyznacznikiem jest miejsce zamieszkania (miasto – wieś), tradycje kulturowe w rodzinie i stan jej zamożności, wreszcie wyposażenie szkoły i instytucji stanowiącej jej otoczkę, w której mieści się biblioteka publiczna.

W publicystyce występują pretensje do szkoły, że zmusza dzieci do czytania całych tomów, choć w życiu nie przyda się to na nic. Nie znam studenta, który przeczytałby kilkanaście zaleconych na początku roku pozycji lekturowych. Dwie, trzy to wszystko, na co można liczyć. Rodzi się opinia, że literatura odchodzi do lamusa i nic się na to nie poradzi. Najważniejsza jest informacja, przez co rozumie się streszczenia, cytaty, wyciągi zaczerpnięte z Internetu.

Wydaje się, że rację mają ci, którzy twierdzą, że dziecko (i również dorośli) powinno poznawać świat prawdziwy trójwymiarowy, z zapachami, smakiem, kształtem. Jak tego dokonać, jeżeli w Polsce statystyczny przedszkolak spędza przed telewizorem ponad trzy godziny, a powinien najwyżej dwie? I nie da się tego czasu zredukować, bowiem telewizor pełni dziś (nie tylko w Polsce) funkcję niani, ciotki oraz mamy, która nie ma dla dziecka czasu, bo pracuje, musi być dyspozycyjna, by wytrzymać konkurencję itp.

Zaprzyjaźniona góralska babcia żaliła mi się, że jej dwuletni wnuczek nie mówi. Dziecko całymi dniami oglądało japońskie kreskówki. Po wyłączeniu telewizora i wysłaniu go do rówieśników na podwórko wszystko się zmieniło. Już po paru tygodniach buzia mu się nie zamykała. Rzecz polega nie tylko na wzbogacaniu języka ojczystego, choć jest to wartość podstawowa, ale na kształtowaniu obrazu świata, jego widzeniu, przyjmowaniu za własne. Zaczyna się to właśnie od oglądania kreskówek, które serwuje telewizja. To w nich czai się agresja, pogarda dla słabości, wulgarny język³.

W kreskówkach typu: *Laboratorium Dexter*, *Bliźniakach Scram*, *Yin Yang* i wielu innych, dzieci oglądają ten wykoślawiony świat, ale przecież nie uczą się jak w nim żyć. To, co jest charakterystyczne to fakt, że całą tę kreskówkową brutalizację przejmują nie tylko chłopcy, ale i dziewczynki. Jest to o tyle groźne, że małe dzieci z natury rzeczy są bezkrytyczne, nie potrafią ocenić i odróżnić dobra od zła, magazynują w sobie agresję, która w pewnych okolicznościach, w sprzyjających warunkach wybucha. Ponadto, jeśli dziecko nasycy się pełną przemocą wizją świata, to nabiera przekonania, że jest ona normalna, że świat jest po prostu taki. Własne agresywne zachowania nie wywołują u dzieci zdrowego poczucia winy, bo są oceniane jako normalne. Tam gdzie dominuje agresja, trudno o zdolność współodczuwania, o chęć niesienia pomocy słabszym, umiejętność współżycia z innymi, przyjmowania inności jako zjawiska normalnego.

Bibliotekarze powinni uważnie obserwować zachowania swoich małych czytelników. Między innymi dlatego, że korzystanie z telewizji, Internetu nie jest tylko narzędziem wyszukiwania informacji, ale również kształtowania charakterów. Pewne procesy są nieodwracalne, zwłaszcza dotyczące technologii, która rządzi się swoimi prawami. Nie znaczy to jednak, że jej wpływ na młode pokolenie musi być pozbawiony jakiegokolwiek kontroli. Czy cywilizacja słowa drukowanego (również mówionego) da się pogodzić z cywilizacją elektroniczną? Nie chodzi tu o licytowanie się o zakres korzystania z informacji i możliwości umysłowego jej przetwarzania. „Rezygnacja z czytania książek – pisze Bronisław Łagowski – jest pozbawieniem

³ A. Gata: *Kreskówki wyrządzają krzywdę*. „Gazeta Wyborcza” 2008, nr 36.

się umysłowych warunków skupiania uwagi. Wyszukiwanie informacji w Internecie nie jest nabywaniem wykształcenia. Internetowe informacje nie ułożą się w konsekwentny obraz przeszłości. Na ich podstawie nie da się stworzyć tego, co było dawniej. Ani w odniesieniu do życia jednostki, ani grupy, czy całego społeczeństwa”⁴. Nieprzypadkowo więc ludzie sięgają po pamiętniki, wspomnienia, szukając w nich analogii i potwierdzenia własnych doświadczeń. A one nie zawsze są zgodne z oficjalną akademicką wykładnią historyczną.

W 2007 r. 40% Polaków korzystało regularnie z Internetu. Rok wcześniej połowa osób niekorzystających twierdziła, że nie ma potrzeby, by mieć do niego dostęp. Między 2005 a 2007 r. z Internetu przestało korzystać 13% internautów. Powody są rozmaite. W porównaniu z innymi krajami, jak Holandia czy kraje skandynawskie mamy dwa razy mniej internautów. Cena miesięcznego abonamentu jest najwyższa w Europie. Ludzie starsi też nie kwapią się do jego wykorzystania. Internet jest powszechniejszy w rodzinach, gdzie są uczniowie lub studenci.

Mobilność polskiej populacji nie jest wysoka. Autorzy *Raportu o Kapitale Intelektualnym Polski* mają nam za złe, że w porównaniu z krajami zachodnimi nie lubimy zmieniać miejsca pracy, przekwalifikowywać się, nie traktujemy serio globalizacyjnych procesów zachodzących w świecie. Wiele w tym racji, ale nie wydaje się, by można było lekceważyć tradycję, strukturę społeczną, mobilność przestrzenną. To, że zmienia się struktura społeczna widać gołym okiem. Ubywa ludzi na wsi, nasiliła się emigracja zarobkowa (Irlandia, Wielka Brytania), w ponad 70% gospodarstwa rolne są przejmowane przez młode pokolenie, co świadczy o zachowaniu ciągłości, choć wiele hektarów, zwłaszcza kiepskiej ziemi, zmienia się w daczowiska. Wysokie ceny mieszkań w miastach utrudniają przemieszczanie się, choć w tej dziedzinie widać wyraźny postęp.

Do słabej ruchliwości przestrzennej ludności przystosowało się prywatne szkolnictwo wyższe. Kilkaset szkół wyższych o bardzo różnym poziomie powstało po 1989 r., głównie na prowincji, i to w miejscowościach liczących kilkanaście tysięcy mieszkańców

⁴ B. Łagowski: *Duch i bezdusność III Rzeczypospolitej*. 2007, s. 464.

powodując ogromne ożywienie. Powstawały przy okazji restauracje, sklepy, punkty usługowe, a studenci znaleźli niedrogie stancje. Trudności mają absolwenci ze znalezieniem pracy, zwłaszcza kierunków humanistycznych.

W miejscowościach, gdzie powstały szkoły wyższe, zmienia się na lepsze sytuacja bibliotek publicznych. Bardzo szybko okazało się, że trzeba uzupełnić i wzbogacić księgozbiory, zaopatrzyć je w literaturę naukową, zintensyfikować usługi informacyjne, wyposażyć bibliotekę w komputery i dostęp do Internetu. Nie wszędzie to się udało, między innymi dlatego, że nie powstał dotąd spójny system łączący biblioteki różnych typów, usprawniający obsługę uczących się i studiujących użytkowników. Brak wspólnych źródeł finansowania umożliwia utrzymanie przestarzałego systemu dzielącego biblioteki według resortów. Bardzo powoli dociera do czynników decydujących świadomość, że rodzi się nowa jakość życia również w zakresie uczestnictwa w kulturze. Bez tego typu uczestnictwa próżno marzyć o rozwijaniu innowacyjności, zwiększeniu efektywności pracy i konkurencyjności na rynku krajowym i zagranicznym.

Jakość życia to nie tylko ekonomia, postęp technologiczny i podejmowanie współzawodnictwa ze światem. Równie ważne, choć tej sprawie poświęca się najmniej uwagi, jest tworzenie społeczeństwa obywatelskiego, poczynając od najmniejszych skupisk wiejskich, osiedli miejskich, wielkich aglomeracji i całego kraju. Tego społeczeństwa nie da się stworzyć za pośrednictwem dekretów i programów ministerialnych. Tu otwiera się pole do działania dla bibliotek publicznych, między innymi dlatego, że są one miejscem naturalnych spotkań ludzi, którzy mogą porozmawiać, wymienić poglądy, podjąć różne inicjatywy. Dla społeczności lokalnej takie naturalne kontakty są niezwykle ważne. Rozmowy o książkach, o tym co się dzieje w środowisku i w kraju, rodzą ciekawość, sprzyjają wymianie, kontaktom międzypokoleniowym, zakorzenieniu w tradycji i współczesności. Nie pomogą badania, że mamy niską frekwencję w wyborach samorządowych i parlamentarnych. To się może zmienić, gdy ludzie uwierzą, że ich głos coś znaczy, że jest ważny, że oddają go na osoby znane i godne zaufania.

Jesteśmy nieufni. 80% Polaków twierdzi, że w relacjach z inny-

mi ludźmi ostrożności nigdy za wiele. W Danii, Szwecji, Holandii, Finlandii takich niedowiarków jest tylko 30%. Nieufność jest powszechna i dotyczy właściwie wszystkich dziedzin naszego życia. Nie ufamy sąsiadowi, lekarzowi, księdzu, sędziemu, nauczycielowi itp. Trudno się żyje w takim kraju.

Dlatego warto zabiegać o upowszechnienie poczucia obywatelskości, które leży u podstaw rozwoju społecznego. Bez niego jesteśmy tylko zbiorowiskiem o trudno sprecyzowanych cechach. Pierwszy raz z określeniem „obywatel” zetknęłam się w czasie powstania warszawskiego. Wraca ono co jakiś czas w sytuacjach wyjątkowych. Stając się obywatelami, godzimy się z tym, że jesteśmy równi, że mamy zależne od sytuacji jednakowe obowiązki. Gdy mija zagrożenie, nasze obywatelstwo schodzi na dalszy plan. Wyróżnikiem staje się wówczas przynależność do różnych grup społecznych, wracają tytuły zawodowe. Znow jesteśmy panem doktorem, mecenasem, profesorem, posłem, dyrektorem, hydraulikiem i ślusarzem. Ale to pojęcie obywatelstwa funkcjonuje nadal, choć ujawnia się nieco inaczej. Jakże często słyszymy, że będąc obywatelami jesteśmy równi wobec prawa. Znaczy to, że mamy prawo oczekiwać neutralności wymiaru sprawiedliwości wobec nas. Daje to nam pewność, że z racji naszego wyznania, przekonań politycznych, stanu majątkowego, płci nie będziemy faworyzowani ani dyskryminowani przez struktury państwowe.

Jako drugą zasadę obywatelskości wypada przyjąć, że państwo nie będzie narzucać nam swoich poglądów, wnikać w nasze życie prywatne, nasze zasady i upodobania. Pokusy takie są powszechnie znane z niedalekiej przeszłości. To państwo realizowało zasady czystości rasowej, ideę społeczeństwa bezklasowego, supremacji jednej klasy społecznej nad innymi, takiemu państwu marzy się rewolucyjna odnowa moralna, globalna czystość w tym względzie. A wszystko to pachnie „siarką piekielną”, bowiem za każdym takim pomysłem stoją silne narzędzia przymusu, jakimi państwo dysponuje by swoje utopie realizować na żywym ciele społecznym, czyli na nas.

Jako obywatele jesteśmy różni lub – inaczej – pluralistyczni. Jako jednostkom zależy nam, by pluralizm był nie tylko faktem, ale wartością chronioną właśnie przez państwo. „Pluralizm – pisze Paweł

Śpiewak – prowadzi często nie tylko do kolizji opinii, ale również do konfliktów interesów, potrzeb, wizji świata. Dlatego potrzebna jest tolerancja z jednej strony, z drugiej zaś zmysł kompromisu, tak by napięcia i sprzeczności mogły być łagodzone, równoważone, ograniczane”⁵.

Wiedzą o tym doskonale bibliotekarze stykający się na co dzień z przedstawicielami władz samorządowych. Umiejętności słuchania innych nie dziedziczy się, tego trzeba się nauczyć i to możliwie najwcześniej. Jednostka z natury nieustępliwa, pełna uprzedzeń i hołdująca stereotypom niewiele dla biblioteki załatwi. Bibliotekarzki studiujące zaocznie niejednokrotnie podkreślają, że w kontaktach z władzą trzeba być w zależności od sytuacji: lisem a w innych lwem.

Poczucie obywatelskości rodzi się w małych grupach lokalnych. Nikt się specjalnie nie przejmuje likwidacją bibliotek w skali krajowej, ani brakiem środków na zakupy nowości wydawniczych. Tak się dzieje tylko do momentu, kiedy władza lokalna poweźmie decyzję o zamknięciu biblioteki w naszej wsi, albo kiedy nie da środków na zakupy nowości wydawniczych. To wtedy przypominamy sobie, że są jakieś ustawy, które zapewniają nam dostęp do informacji lokalnej i publicznej, do książki i czasopisma oraz innych materiałów nieksiążkowych. Przypominają się nam, obywatelom tego kraju, i bibliotece stanowiącej integralną część kapitału intelektualnego.

O ile poprzedni *Raport*, z 2008 r., był analizą najważniejszych zjawisk społecznych, które wystąpiły w dwudziestoleciu III Rzeczypospolitej, o tyle następny dokument z 2009 r. pt. *Raport Polska 2030. Wyzwania rozwojowe* ma już inny charakter. Opracowany przez zespół młodych ekonomistów, prawników i socjologów pod kierunkiem Michała Boniego, różni się od poprzedniego tym, że tworzy obraz długofalowego programu wmontowując go dla celów porównawczych w to, co się dzieje w świecie. „Liberalnemu spojrzeniu na gospodarkę – pisze Wawrzyniec Smoczyński – akcentującemu mobilność i konkurencję, towarzyszy wrażliwe podejście do kwestii społecznych, z naciskiem na solidarność pokoleń, walkę z wykluczeniem i opiekę nad potrzebującymi”⁶.

⁵ P. Śpiewak: *Obietnice demokracji*. Warszawa 2004, s. 28.

⁶ W. Smoczyński: *Polskie koleiny?* „Polityka” 2009, nr 25.

Dla bibliotekarstwa jest to pierwszy i najważniejszy dokument, bowiem umożliwia odejście od spraw organizacyjno-warsztatowych, modernizacji traktowanej niemal wyłącznie w aspekcie komputeryzacji bibliotek (co jest oczywiście ważne, bowiem nikt nie chce powrotu do ręcznego katalogowania), ale włączenia ich w procesy społeczne, bowiem to one decydują o przyszłych szansach rozwojowych kraju. To, że jej motorem będzie gospodarka jest oczywiste, ale pewnym odejściem od stereotypów jest w *Strategii 2030* postulat, by państwo stało się bardziej niż dotąd promotorem w sprawach rozwojowych. Bibliotekarze domagający się od lat większej aktywności państwa w swojej dziedzinie otrzymali, ze strony Michała Boniego zapowiedź opracowania priorytetów na podstawie analiz różnych sfer życia społecznego. Zaproszono do wspólnych prac różne środowiska, zatem także bibliotekarzy⁷.

Wśród 10 wymienionych w problemów część dotyczy gospodarki, wzrostu PKB, polskich zapóźnień w dziedzinie technologii, niskiego eksportu, niedostatku inwestycji itp. Kilka z nich powinno zainteresować bibliotekarzy, bowiem to one wpłyną na kształt organizacyjny bibliotek.

Jako pierwszy wypada wymienić problem demograficzny. Obserwuje się spadek liczby ludności i starzenie się naszego społeczeństwa. Począwszy od 2000 r. w pracach magisterskich dotyczących poszczególnych bibliotek publicznych na wsi zwracano uwagę na malejący udział dzieci i młodzieży w szkołach i w bibliotekach. Ubywało również dorosłych. Nikt się wówczas tym nie przejmował. *Raport* ujawnia, że do 2030 r. liczba emerytów wzrośnie z 5,6 do 9 mln osób, a na każdego pracującego Polaka przypadać będzie 1,9 obywateli pobierających emerytury i renty. Na profil demograficzny składają się różne przyczyny: praca zawodowa kobiet, brak żłobków i przedszkoli, ale też i to, że małżeństwa są zawierane później, a posiadanie potomstwa odraczane w czasie. Pracujące matki nie są rozpieszczane ani przez instytucje opieki społecznej, ani przez pracodawców. Państwo będzie musiało wydłużyć czas pracy i zredukować wcześniejsze przechodzenie na emeryturę. W efekcie tych

⁷ *Raport Polska 2030. Wyzwania rozwojowe*. Cały tekst zob. [Dokument elektroniczny]: http://www.zdp.kprm.gov.pl/userfiles/PL_2030_wyzwania_rozwojowe.pdf [dostęp 4.04.2010].

działań ludzie starsi nie będą się obawiali utraty pracy, a system zdobywania nowych umiejętności i kwalifikacji może się upowszechnić. Wzorem innych krajów biblioteki publiczne mogą przyjąć na siebie rolę organizatora kształcenia oraz ośrodków informacji dla poszukujących pracy.

Drugim wskaźnikiem, już bezpośrednio dotyczącym bibliotekarstwa, jest wzrost liczby osób z wyższym wykształceniem. Jest to najbardziej widoczne osiągnięcie naszej transformacji.

Przed 1989 r. osoby z wyższym wykształceniem stanowiły 7% ogółu społeczeństwa, zaś w 2009 r. już 17%. Autorzy *Raportu* oceniają go jako niewątpliwy sukces, ale głównie ilościowy. Nie ma on większego wpływu na rozwój gospodarczy, który wciąż nastawiony jest na wydajność, a nie na innowacyjność.

Nastawienie to jest ciągle obecne w bibliotekarstwie. Liczba bibliotekarzy z wyższym wykształceniem zwiększyła się w latach 1998-2007 z 14 do 32%. Jest to duża i niewątpliwie korzystna zmiana. Potoczne obserwacje wskazują jednak, że – tak jak w przemyśle – głównie ilościowa. Na palcach jednej ręki można wskazać dyrektorów większych bibliotek publicznych, którzy byliby absolwentami akademickich ośrodków kształcących bibliotekarzy. Konkursy na te stanowiska są fikcją, a nominaci przeważnie pochodzą z nadania dominujących w danym środowisku partii politycznych. Rzecz pogorsza jeszcze to, że wśród kadry akademickiej, zatrudnionej w ośrodkach kształcących przyszłych bibliotekarzy, dominują najrozmaitsze specjalizacje, często odległe od bibliotekarstwa. Dotyczy to również kierowników tych ośrodków. W pogoni za samodzielnymi pracownikami, dającymi tym ośrodkom uprawnienia do nadawania stopni naukowych, zatrudniają pracowników, którzy dokładają swoje cegiełki tematyczne, nie troszcząc się o całość. Jak przed laty twierdziła prof. Helena Więckowska, nawet znawca mchów i porostów na księżycu, byle samodzielny, też może być cennym nabytkiem. Używając języka *Raportu*, skutki tych działań są takie, że cała dziedzina bibliotekarstwa – zarówno teoretyczna, jak i praktyczna – jest słabo wspierana przez ośrodki akademickie. Brakuje studiów ogólnych, określających funkcje bibliotek w zmieniającym się społeczeństwie, w publikacjach fachowych dominują prace o coraz

węższej problematyce warsztatowej, albo dywagacje przenoszące na bibliotekarski grunt praktyki stosowane w przemyśle, zwłaszcza w zakresie zarządzania i marketingu. Zwracał na to uwagę prof. Jacek Wojciechowski i miał świętą rację. Dotyczy to głównie zmian jakościowych.

Autorzy *Raportu* postulują reformę oświaty. I słusznie.

Nie wydaje się, by zwiększenie liczby studentów na kierunkach inżynieryjno-technicznych zwiększyło innowacyjność i przyczyniło się do wspomnienia gospodarki opartej na wiedzy. By się tak stało, potrzebni są absolwenci o szerszych, właśnie humanistycznych horyzontach, tacy, którzy oprócz swojej specjalności nie pomylą Platona z Płatonowem, powstania styczniewego z warszawskim, struktury społecznej ze strukturą kryształu. Wiedza ogólna jest potrzebna wszystkim ludziom z dyplomami szkół wyższych między innymi dlatego, na co wskazuje *Raport*, że w dalszym ciągu mamy w kraju do czynienia z dużym zróżnicowaniem regionalnym i że obejmuje ono zarówno obszar cywilizacyjny, jak i kulturowy.

Województwa zachodnie i północne w porównaniu ze wschodnimi i południowymi są zasobniejsze, lepiej zagospodarowane, wykształcone, bardziej nowoczesne. W dalszym ciągu linia podziału dzieli miasto i wieś. Na wsi dostęp do edukacji jest trudniejszy (choć są widoczne zmiany na lepsze). Infrastruktura kulturalna na wsi jest uboga. Bardzo często jedyną placówką umożliwiającą dostęp do książki jest biblioteka publiczna, bywa że zagrożona likwidacją. Rzecz w tym, że zróżnicowań środowiskowych nie da się zlikwidować, ale można zapobiegać ich pogłębianiu się. Jest to rola samorządów, szkoły, organizacji pozarządowych, również bibliotekarzy.

Raport może stanowić podstawę do opracowania strategii rozwoju bibliotek, traktowanych jako integralna część infrastruktury kulturalnej kraju. Opracowanie tej strategii mogą wspomóc prace badawcze. Ukazują się prace stanowiące wynik solidnych rozpoznaniań w zakresie organizacji bibliotek oraz skutków ich działania. Przykładowo wypada wymienić studia dotyczące efektywności pracy bibliotek. Są to: prace Ewy Głowackiej na temat kompleksowego zarządzania jakością (Total Quality Management); rozprawa doktorska Barbary Budyńskiej *Publiczne biblioteki powiatowe w Polsce*

w latach 1918-2007. *Modele organizacyjno-funkcjonalne. Koncepcje i rzeczywistość* (obroniona z wyróżnieniem w 2009 r. w Instytucie Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego); mieszcząca się w problematyce antropologii kultury praca Katarzyny Wolff *Książka w społecznej przestrzeni polskiej wsi* (2008); Zofii Zasackiej *Nastoletni czytelnicy* (2008); studium Grażyny Straus, Katarzyny Wolff i Sebastiana Wiernego *Czytanie, kupowanie, surfowanie* (2008). Optymistycznym przykładem jest również zbiorowa praca pod redakcją Anny Dymmel *Bestsellery – literatura popularna – odbiorcy. Empiryczne badania współczesnego czytelnictwa* (2009) stanowiąca pokłosie seminarium magisterskiego prowadzonego przez Janusza Ankudowicza w Uniwersytecie im. M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Podejmowane są badania zgodne z sugestiami zawartymi w *Raporcie o potencjale intelektualnym Polski*, między innymi na temat czytelnictwa seniorów i usług bibliotecznych pełnionych na ich rzecz (Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego). Prac drobniejszych można by wymienić znacznie więcej. Wszystkie one dowodzą, że problematyka bibliotekoznawcza choć z trudem, przebija się jednak w gąszczu tematów bibliologicznych i warsztatowych.

Uzupełnieniem tych dwu raportów są dwa powstałe w 2009 r. dokumenty dotyczące bibliotekarstwa. Pierwszy to *Program Rozwoju Bibliotek*, powstały w ramach międzynarodowego programu **Global Libraries**, realizowany przez Fundację Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego, utworzoną przez Polsko-Amerykańską Fundację Wolności, oraz drugi – rządowy projekt modernizacji gminnych bibliotek publicznych **Biblioteka+** .

Opracowanie tego drugiego projektu Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Bogdan Zdrojewski zlecił Instytutowi Książki. Podpisano w związku z tym porozumienie między Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego a prezesem Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności. Według autorów obu tych projektów powinny się one uzupełniać i wzajemnie wzmacniać. Nic nie wiadomo o nakładach finansowych umożliwiających modernizację bibliotek na wsi i w małych miastach, a ograniczenia budżetowe nie ominęły

resortu kultury, więc na realizację zawartych w nich postanowień trzeba będzie poczekać, zwłaszcza że Program Rozwoju Bibliotek przewiduje zakupy sprzętu teleinformatycznego, szkolenie bibliotekarzy w zakresie umiejętności rozwijania usług informacyjnych w małych środowiskach. Szkoda, że szkolenia takie będzie prowadził zespół spoza środowiska bibliotekoznawców, że nie wzięto pod uwagę pracowników Instytutu Książki i Czytelnictwa, kompetentnych do podejmowania prac naukowych i badawczych w zakresie bibliotekarstwa⁸.

⁸ Program ten włączył środowisko uczelni kształcących bibliotekarzy do zajęcia się opracowaniem zestawu treści i umiejętności, które włączą potrzeby bibliotek w zapóźnionych cywilizacyjnie regionach do procesu wyrównywania różnic kulturowych.

Podsumowanie

Dla wielu bibliotekarzy rozważania zawarte w tej pracy mogą się wydać odległe od bibliotekarskiej codzienności, na którą składają się sprawy warsztatowe, konieczność modernizacji pojedynczych placówek i całych sieci w różnych układach lokalnych: gminnych, powiatowych i wojewódzkich. Jednakże przyszłe losy bibliotek rozstrzygną się nie w sferze problemów fachowych, ale w bliższym i dalszym otoczeniu społecznym, w tym, co dzieje się w polityce, gospodarce, administracji, oświacie i kulturze. Chciałam zachęcić bibliotekarzy do przypatrzenia się bibliotekom z nieco innej, niż warsztatowe perspektywy, zwrócić uwagę na zmiany w strukturze społecznej, które wpływają na ich sytuację. Wychodzę bowiem z założenia, że to zmieniające się społeczeństwo wyznacza nowe kierunki i zadania bibliotekom, choć pozornie procesy te nie są widoczne gołym okiem, a ujawniają je wyniki badań. Kierowała mną również obawa, że tradycyjne widzenie funkcji bibliotecznych, trzymanie się stereotypów, powielanie nieadekwatnych do rzeczywistości poglądów – czyni środowisko bibliotekarskie bezbronne wobec niefachowych, dyletanckich zakusów, dotyczących głównie aspektów organizacyjnych. Trzeba więc, zwrócić uwagę na kilka elementarnych spraw, które być może podejmą i rozwiną młodsze generacje bibliotekarzy. Konsekwentnie do tego założenia traktuję bibliotekę jako:

1. Integralną część sfery publicznej na analogicznych zasadach, jak oświatę, ochronę zdrowia, opiekę społeczną, kulturę.

2. Powinność samorządów i administracji państwowej w zakresie zapewnienia jej środków na utrzymanie i rozwój.

3. Instytucję kultury, zapewniającą dostęp do słowa drukowanego – również w innej postaci – oraz usług informacyjnych.

4. Instytucję, która zachowując swoje tradycyjne funkcje, staje się miejscem spotkań integrując pokolenie młodsze i starsze i obsługując również niepełnosprawnych.

5. Instytucję, która poprzez swoją skierowaną na zewnątrz działalność, staje się załącznikiem lokalnego społeczeństwa obywatelskiego. Umożliwia wymianę poglądów, formułowanie pytań, wzbogaca wiedzę o różnych dziedzinach nauki.

6. Instytucję zapewniającą ciągłość w znajomości kanonu literackiego i doskonaleniu języka polskiego.

7. Instytucję współdziałającą z lokalnymi ośrodkami oświatowymi, społecznymi, kulturalnymi, ze szkołą, domem kultury, ochotniczą strażą pożarną, kołem gospodyń wiejskich, itp.

8. Instytucję, która zaspokaja potrzeby nie tylko większości, ale dba o rozwój mniejszości narodowościowych, etnicznych i innych.

Wymienione funkcje nie wyczerpują listy tych, które biblioteki publiczne pełnią w rzeczywistości. Ich realizacja może przyczynić się do zmian opinii o znaczeniu bibliotek w społecznościach lokalnych. Jak się wydaje jest to główna droga zapewniająca bibliotekom publicznym rozwój w przyszłości.

*

Serdecznie dziękuję Pani Profesor dr. hab. Elżbiecie Gondek za wnikliwe i wielce kompetentne uwagi recenzenckie, które pomogły mi umniejszyć mankamenty tej pracy.

Bibliografia

1. Bagby Philip: *Kultura i historia. Prolegomena do porównawczego badania cywilizacji*. Przeł. Jerzy Jedlicki. Przedmową opatrzył Jerzy Topolski. Warszawa 1975.
2. Bauman Zygmunt: *Życie na przemiał*. Kraków 2004.
3. Beevor Antony: *Walka o Hiszpanię 1936-1939. Pierwsze starcie totalitaryzmów*. Przekł. Hanna Szczerkowska. Kraków 2009.
4. Drozdowski Marian: *Klasa robotnicza Warszawy 1918-1939. Skład i struktura społeczna*. Warszawa 1968.
5. Estreicher Karol: *O bibliografii*. Warszawa 2008.
6. Huntington Samuel P.: *Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego*. Przeł. Hanna Jankowska. Wyd. 10. Warszawa 2008.
7. Kersten Krystyna: *Ludzie na drogach*. „Res Publica” 1987 nr 4.
8. Kołodziejska Jadwiga: *Publiczne biblioteki samorządowe w okresie międzywojennym*. Warszawa 1967.
9. Kołodziejska Jadwiga: *Szerokie okno biblioteki*. Warszawa 2006.
10. *Mały Rocznik Statystyczny 1939*. R. 10. Warszawa 1939.
11. Micińska Magdalena: *Inteligencja na rozdrożach 1864-1918*. Warszawa 2008.
12. Garlicki Andrzej: *Piękne lata trzydzieste*. Warszawa 2008.
13. Pobóg-Malinowski Władysław: *Najnowsza historia polityczna Polski. T. 2. 1914-1939*. Gdańsk 1990.
14. Shore Marci: *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*. Przeł. Marcin Szuster. Warszawa 2008.
15. Siekierski Stanisław: *Książka we współczesnej kulturze polskiej*. Pułtusk 2006.
16. Olechnicki Krzysztof, Załęski Paweł: *Słownik socjologiczny*. Toruń 2004.
17. Snyder Timothy: *Tajna wojna. Henryk Józefski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę*. Przeł. Bartłomiej Pietrzyk. Kraków 2008.
18. Straus Grażyna, Wolff Katarzyna, Wierny Sebastian: *Czytanie, kupowanie, surfowanie. Społeczny zasięg książki w Polsce w 2006 roku*. Warszawa 2008.

19. Szczygieł Mariusz: *Gottland*. Wołowiec 2006.
20. Sztompka Piotr: *Socjologia. Analiza społeczeństwa*. Kraków 2002.
21. Wieczorek Wojciech: *Życiorysy pokornych*. Warszawa 2007.
22. Wolff Katarzyna: *Książka w społecznej przestrzeni polskiej wsi*. Warszawa 2008.
23. Zasacka Zofia: *Nastoletni czytelnicy*. Warszawa 2008.
24. Żarnowski Janusz: *Struktura społeczna inteligencji w Polsce w latach 1918-1939*. Warszawa 1964.

SBP.PL

Nowy ogólnopolski portal dla wszystkich bibliotekarzy

W lipcu planowane jest uruchomienie nowej platformy cyfrowej Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich pod adresem www.sbp.pl.

Misją serwisu jest stworzenie przestrzeni w Internecie, służącej aktywizacji środowiska bibliotekarskiego, w tym członków SBP.

Celem portalu jest również wzmocnienie wizerunku zawodu bibliotekarza i popularyzacja inicjatyw podejmowanych przez różnego typu biblioteki.

Przestrzeń internetowa www.sbp.pl ma być środkiem przekazu dla bibliotek, które pragną relacjonować swoje przedsięwzięcia i skutecznie informować o ofertach pracy, staży i praktyk.

W serwisie przewidziane jest uruchomienie różnych modułów przeznaczonych m.in. do obsługi konferencji i warsztatów, promocji wydawnictw. Integralną częścią portalu będzie sklep, umożliwiający dokonywanie zamówień publikacji SBP przez Internet.

Redakcja portalu zachęca do zapoznania się z informacjami na temat serwisu publikowanymi w Internecie na Facebooku (profil Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich) oraz zaprasza bibliotekarzy do współpracy przy współtworzeniu portalu.

Kontakt:

redakcja.portal@sbp.pl

Wioletta Lipińska – redaktor naczelny, wlipinska@sbp.pl, tel. 22 608-28-27

Małgorzata Szmigielska – sekretarz redakcji, mszmigielska@sbp.pl, tel. 22 608-28-25

Konrad Stepanajtys – redaktor webmaster, kstepanajtys@sbp.pl, tel. 22 608-28-25

Drogi Czytelniku !

Oferujemy kilka najnowszych książek, które są przydatne zarówno do pogłębiania wiedzy oraz umiejętności zawodowych. Oto one:

1. G. Leszczyński: *Bunt czytelników. Proza inicjacyjna netgeneracji.*
Cena 46 zł.
2. J. Papużyńska: *Mój bajarz. Szkice i studia o literaturze młodzieżowej.*
Cena 32 zł.
3. M. Antczak, A. Nowacka: *Przypisy, powołania, bibliografia załącznikowa. Jak tworzyć i stosować.*
Cena 45 zł.
4. M. Kisilowska: *Biblioteka w sieci – sieć w bibliotece.*
Cena 33 zł.
5. Praca zbior. pod red. K. Boryczki: *E-learning wyzwaniem dla bibliotek.*
Cena 28 zł.
6. K. Stępień: *Folksonomie, czyli społecznościowe opisywanie treści.*
Cena 22 zł.

Zamówienia i sprzedaż odręczna:

Dział Promocji i Kolportażu

02-086 Warszawa

Al. Niepodległości 213

tel. (22) 825-50-24 lub (22) 608-28-26

faks (22) 825-53-49

e-mail: sprzedaz@sbp.pl





27437 *2012*

Książka prof. Jadwigi Kołodziejkiej *Biblioteki publiczne w strukturze społecznej*, to panoramiczny obraz polskiego bibliotekarstwa na przestrzeni 90 lat obejmujący okres II Rzeczypospolitej (1918-1939), Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (1945-1989) oraz Rzeczypospolitej Polskiej (1989-2009). Pod względem ustrojowym, głównie politycznym, gospodarczym i kulturowym są to okresy wielce zróżnicowane, wręcz nieporównywalne. Niezależnie od tych zróżnicowań biblioteki publiczne zachowały swoją ciągłość rozwojową. W tej ciągłości zarówno w okresie międzywojennym, jak i współcześnie znaczącą rolę odegrały:

- Struktura ludnościowa Polski z uwzględnieniem mniejszości narodowych i etnicznych.
- Urbanizacja kraju oraz dominujące grupy zawodowe: chłopów, robotników, rzemieślników, inteligencji.
- Poziom wykształcenia ludności, organizacja szkolnictwa, efekty nauczania, analfabetyzm.
- Ruchliwość społeczna ludności: procesy migracyjne, emigracja zarobkowa, zmiany pokoleniowe i rodzinne, awanse i degradacja.

Głównym celem Autorki jest uświadomienie bibliotekarzom tych zmian społecznych, które wywierają wpływ zarówno na organizację, jak i na formy pracy bibliotek. Zmiany te zaznaczyły się wyraźnie po 1989 r. i to we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Seria wydawana przez Wydawnictwo
STOWARZYSZENIA BIBLIOTEKARZY POLSKICH
we współpracy
Z INSTYTUTEM INFORMACJI NAUKOWEJ
I STUDIÓW BIBLIOLOGICZNYCH
UNIwersytetu Warszawskiego